tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 12 (1367)
16-22.03.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

HISTORIA KAJETAN
Od ścierniska do Światowego Centrum Słuchu

Prof. Henryk Skarżyński
– twórca najnowocześniejszej kliniki na świecie

ROZMOWA Z MINISTER ZDROWIA
JOLANTĄ SOBIERAŃSKĄ-GRĘDĄ



Miliardy dolarów na Abramsy i Apache

KURIOZALNE ZAKUPY BŁASZCZAKA

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl 30e64a71d6

PATRONAT HONOROWY

MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA WARMIŃSKO-MAZURSKIEGO Marcin Kuchciński

Patronat Honorowy Michał Missan Prezydent Elbląga

CENTRUM SPOTKAŃ EUROPEJSKICH ŚWIATOWID W ELBLĄGU

Instytucja Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego



XXVIII OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL Sztuki Słowa

„...czy to jest kochanie?"

19.03.2026
godz. 19:00
Duża Sala Kina Światowid
cena biletu: 150zł

SPEKTAKL TEATRU CAPITOL „RAZEM CZY OSOBNO"

20.03.2026
godz. 19:00
Galeria NOBILIS
cena biletu: 30zł

KONCERT ZESPOŁU ŚWIATŁO ŚWIEC
„Osiecka i Grechuta w świetle świec"

21.03.2026
godz. 10:00
Scena na piętrze
wstęp wolny

Prezentacje konkursowe w kategorii recytacja

godz. 17:00
Galeria NOBILIS
wstęp wolny

Prezentacje konkursowe w kategorii piosenka poetycka

22.03.2026
godz. 17:00
Duża Sala Kina Światowid
cena biletu: 150 zł

Koncert Galowy
Koncert Laureatów XXVIII edycji OFSS
„...czy to jest kochanie?"
oraz
Koncert „Nie dokazuj"
w wykonaniu Katarzyny Pakosińskiej, Staszka Karpiela-Bułecki oraz Macieja Miecznikowskiego

Zastrzegamy sobie możliwość zmian w programie. Aktualne informacje na stronie www.swiatowid.elblag.pl lub pod numerem telefonu 55 611 20 59

Centrum Spotkań Europejskich „Światowid" w Elblągu, Plac K. Jagiellończyka 1, 82-300 Elbląg
tel. 55 611 20 50, fax 55 611 20 60 email: info@swiatowid.elblag.pl www.swiatowid.elblag.pl

Sponsorzy:
HOTEL ANDERS
WiK w Elblągu
OPTIMA
SGB BRANIEWSKO-PASŁĘCKI BANK SPÓŁDZIELCZY Z SIEDZIBĄ W PASŁĘKU
Stanisław Jasina obezpieczenia

Patronat medialny:
RADIO OLSZTYN
DZIENNIK ELBLĄSKI
eska
portEl.pl
BogatyRegion.pl
RADIO ŻUŁAWY
ŻuławyTV

eprasa.pl 30e64a71d6



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Żałosny zwierzchnik

Stało się tak, jak chciał Kaczyński. Gdy prezes PiS wezwał do zawetowania SAFE, było oczywiste, że Nawrocki to zrobi. I że ekipa prezydenta będzie rozpaczliwie szukała czegoś, co mogłoby weto jakoś usprawiedliwić. A że pod ręką był polityk od dziesięcioleci związany z prezesem i z PiS, to użyto Glapińskiego. Ośmieszając przy okazji Narodowy Bank Polski. To, co plótł Piekarski na mękach, jest niczym w porównaniu z wystąpieniami prezesa banku. Glapiński, wiedząc, że tańczy na linie i każdy błąd prowadzi go wprost do Trybunału Stanu, kluczył i kłamał. Ze 100 mld strat zrobił równie wielkie, choć tylko potencjalne zyski. W odwracaniu kota ogonem ściga Kaczyńskiego i jego „nikt nam nie wmówi, że białe jest białe, a czarne czarne".

Piszę o Kaczyńskim, bo to on jest pierwszy na liście ojców weta, które ogłosił Nawrocki. Prezydent w tej sprawie odegrał wyłącznie rolę megafonu. Pan prezes ogłosił swoją decyzję, więc Nawrocki mógł jedynie podać ją do wiadomości publicznej.

Jeśli najwyższy zwierzchnik Sił Zbrojnych RP podpisał tak haniebną i kompromitującą go przed wojskiem decyzję, to znaczy, że prezes PiS, stawiając na niego, dobrze się zabezpieczył. Do bajek trzeba zaliczyć opowieści, jak to w osobie Nawrockiego wyrósł nowy lider obozu prawicy. Skończyło się paromiesięczne puszenie i nadymanie. Nie po to Bogucki, szef Kancelarii Prezydenta, co tydzień – jak sam mówi – spotyka się z Kaczyńskim, by coś wymknęło się im spod kontroli. Na tym tle żałośnie brzmią dywagacje prezydenta na temat utraty przez Polskę, po podpisaniu SAFE, suwerenności. Suwerenność Nawrockiego, którą ostatnio oglądaliśmy, jest jakąś nową, bledziutką odmianą tego słowa.

Za wetem stoi także wielki cień Trumpa. Polakom trudno uwierzyć, że tytularna głowa państwa i największa partia opozycyjna mogą tak bezwstydnie lobbować na rzecz zakupów w USA. Najbardziej martwili się nie o rozpaczliwy stan polskiej zbrojeniówki, ale o to, czy Amerykanie będą ciągle dostawali, co tylko zechcą. Nie będą. Bo i nie powinni. Znakomity ekspert i analityk Wojciech Łuczak pokazuje, jak bezsensowne były zakupy Abramsów i Apache'ów. Błaszczak i związani z nim generałowie, często z zaciągu Macierewicza, myślą w kategoriach minionych wojen. Nie wyciągnęli wniosków z tego, co się dzieje w Ukrainie.

Z taką ekipą trudno się czuć bezpiecznym. Dziś wszyscy mówią: drony, drony, a przecież za kilka lat będzie w militariach kolejna rewolucja. Co na to zwierzchnik Sił Zbrojnych? Nie ta głowa. I nie ten charakter. Pokazał, że tyle ma wspólnego z wojskiem, że wsadził wszystkich żołnierzy na minę. Świat jeszcze takiego numeru nie oglądał.

BĄKOWSKI



eprasa.pl 30e64a71d6

W NUMERZE

ZAGRANICA
8 **Mamy akt brutalizacji, prymitywnej i barbarzyńskiej**
– rozmowa z prof. Romanem Kuźniarem
48 **Cypr nie chce być trampoliną do wojny**
Za blisko strefy konfliktów
50 **Amerykański atak na szkołę dla dziewcząt w Iranie**
52 **Wstyd musi zmienić obóz**
Korespondencja z Francji

KRAJ
11 **Apel „Przeglądu”**
12 **Upadek Śląskiego Księcia**
Kim był prokurator Jerzy Hop
20 **Wojny zupełnie innego świata**
– rozmowa z Wojciechem Łuczakiem
25 **SAFE 0% – na to liczą Amerykanie**
Wiedzą, że nie umiemy kupować
32 **NBP – prywatny folwark Glapińskiego**
Nadmiar niezależności banku centralnego
36 **Sprowokowane zęby Jana Rulewskiego**
Wielki sukces propagandy Solidarności
44 **Ciekawy przypadek Grudziądza**
Dlaczego ubywa mieszkańców
46 **Adwokat od „trumien na kółkach” trafi do więzienia?**
Zapadł prawomocny wyrok

ZDROWIE
15 **Robimy to, co najważniejsze dla pacjentów**
– rozmowa z Jolantą Sobierańską-Grendą
28 **Czas Henryka Skarżyńskiego**
Jak powstało centrum w Kajetanach

OPINIE
38 **Stanisław Kwiatkowski**
O spóźnionych antykomunistach

HISTORIA
40 **Łzy pradziadka**
Pamiętnik czasu rabacji galicyjskiej

KULTURA
56 **Ząbkowska. Najważniejsza ulica świata**
– rozmowa z Wiesławem Ochmanem
59 **Qulturalia**
66 **Małgorzata Sęk. Utkane z emocji**

SPORT
60 **Brasiliana w Poznaniu**
Nasze pucharowe ambicje poskromione

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Załosny zwierzchnik
7 **Jerzy Bralczyk**
Weto i azyl
19 **Andrzej Romanowski**
Dwie Polski
27 **Jan Widacki**
Konfederat Leszek Miller
35 **Andrzej Szahaj**
Demokracja jako aberracja?
39 **Roman Kurkiewicz**
OZE-sroze, Czarnek-Srarnek
47 **Tomasz Jastrun**
Ciemniak
55 **Wojciech Kuczok**
Trzy Konfy w łódce (nie licząc Psa)



25
KRAJ

SAFE 0% – NA TO LICZĄ AMERYKANIE
Wiedzą, że nie umiemy kupować



50
ZAGRANICA

AMERYKAŃSKI ATAK NA SZKOŁĘ DLA DZIEWCZĄT W IRANIE

66
KULTURA

UTKANE Z EMOCJI
Obrazy Małgorzaty Sęk



Projekt okładki: Iza Mierzejewska



FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 30e64a71d6

Od zera do zera



Wiele mówiąca okładka, pokazująca fragment walki. Kiedy zamknę oczy, widzę naprzeciw tych pokazanych podobnych im „mężów stanu”, ale z innej piaskownicy! Ścierają się żołnierze dwóch mafii w imię własnych ciemnych interesów. Co ma z tego Polska, co ma z tego naród, który przez 45 lat będzie mieć sznur dłużny na szyi? Nie popieram ani jednych, ani drugich żołnierzyków. Chciałbym zrozumieć sens tego zadłużenia. Rząd zaciągnie „w imieniu Narodu” kredyt. Część z tych pieniędzy pójdzie do fabryk zbrojeniowych na terenie Polski. Te fabryki zaczną produkować więcej sprzętu do zabijania, zaczną zarabiać. Gdzie pójdzie zysk: na spłatę zadłużenia, do budżetu czy na prywatne konta zarządu i akcjonariuszy? Ta gorączka wojenna zwana SAFE to trzeci strumień pieniędzy, który w amoku wojennym przeznaczamy na obronność, a dodatkowo łaskawi senatorzy w poprawkach zagwarantowali spłatę pożyczki spoza budżetu MON. Polska, Francja i Niemcy. Polska zaciąga kredyt na prawie 44 mld euro, Francja na 12 mld euro, Niemcy – zero. Wydatki na obronność, dane za 2025 r.: Polska – 4,48% PKB, Francja – 2,05%, Niemcy – 2%; Stany Zjednoczone, które próbują wymuszać na innych 5% PKB, aby te pieniądze wydawać na amerykański sprzęt – na wojsko przekazują 3,22% PKB! Lobbyści ze zbrojeniówki nieźle namieszali ludziom w głowach.

Józef Brzozowski

Prawda ich dogoni



Jedyny tygodnik, który widzi bezsens tej wojny. I pisze, co innym mediom, także politykom (wszystkich opcji) nie przejdzie przez gardło.

Józef Nowak

Ołowiana prawda

Serial wpisuje się w standardową propagandę pogardy dla klasy robotniczej. Oczywiście klasa robotnicza musiała zostać przedstawiona jako motłoch nieuznający nauki i medycyny, rzucający kamieniami w lekarkę i przeklinający, a nie jako emancypacja społeczna. I tak już od lat 80. „inteligencja” obrzydza klasę robotniczą jako „roboli”, którzy nie dążyli do nowoczesności i hamowali rozwój w ostatniej dekadzie PRL. O latach 90. i późniejszych lepiej nie wspominać. I tak do dzisiaj. Poza tym same schematy i kalki. Musiał być np. Urząd Bezpieczeństwa, który prześladował i porwał lekarkę. Musiał być cyniczny i tępy działacz partyjny itd.



Artur Kozłowski

ZDJĘCIE TYGODNIA



„Idźcie do diabła!”. Wiec poparcia dla narodu palestyńskiego z okazji Dnia Jerozolimy. Teheran, 13 marca 2026 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 30e64a71d6

Prezydent Karol Nawrocki zawetował ustawę o SAFE. Potwierdził tym, że jest marionetką prezesa Kaczyńskiego. Takiego zwierzchnika sił zbrojnych, który by jawnie działał na szkodę wojska, jeszcze nie było.

•

Rozdano Orły, Polskie Nagrody Filmowe. Pięć zdobył **„Dom dobry" Wojciecha Smarzowskiego**: jako film roku, za reżyserię, muzykę, najlepszą główną rolę kobiecą (**Agata Turkot**) i główną rolę męską (**Tomasz Schuchardt**). Zwycięzcą plebiscytu publiczności zostali **„Ministranci" Piotra Domalewskiego**. Orła za osiągnięcia życia odebrała **Krystyna Janda**.

•

Magazyn „Press", którego pierwszy numer ukazał się 15 lutego 1996 r., przeżył bardzo trudne 30 lat w dobrej formie. Lepszej niż wiele tytułów na rynku mediów. **Twórcą pisma jest Andrzej Skworz.** „Press" to odważne i wnikliwe dziennikarstwo, które pokazuje świat mediów bez osłony. Warto mieć w bibliotece 301 numerów „Press". **Gratulujemy!**

•

Ceny ropy naftowej po ataku Izraela i USA na Iran biją kolejne rekordy, przekraczając 100 dol. za baryłkę ropy Brent.

•

Przemysław Czarnek, kandydat PiS na premiera, miał na starcie tak ekstremalne wystąpienie, że Radosław Sikorski uznał go za dobrego kandydata na premiera… Afganistanu.

•

Michał Przedlacki, reporter magazynu „Superwizjer" TVN, został **laureatem Nagrody Radia ZET im. Andrzeja Woyciechowskiego**.

•

Sejm wybrał sześcioro nowych sędziów Trybunału Konstytucyjnego. To sędzia Sądu Okręgowego w Katowicach **dr Krystian Markiewicz**, profesor Polskiej Akademii Nauk **dr Maciej Taborowski**, profesor Uniwersytetu Warszawskiego **dr hab. Marcin Dziurda**, prezes Sądu Okręgowego w Opolu **sędzia Anna Korwin-Piotrowska**, **dr Magdalena Bentkowska** z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej i profesor Uniwersytetu Śląskiego **dr hab. Dariusz Szostek**.

•

Miesięcznik „Odra" obchodzi 65-lecie. Założony i wydawany we Wrocławiu jest jednym z najważniejszych ogólnopolskich pism kulturalno-społecznych oraz forum ważnych debat i dyskusji.

•

Neosędzia Zbigniew Kapiński odrzucił wniosek prokuratury „o zbadanie spełnienia przez prezesa Sądu Najwyższego Zbigniewa Kapińskiego wymogów niezawisłości i bezstronności". Wiemy, że w prawie obowiązuje zasada nemo iudex in causa sua (nikt nie może być sędzią we własnej sprawie). Okazuje się, że neosędzia Kapiński kpi sobie z tego.

•

Decyzją Prezydium Sejmu Zbigniew Ziobro, wiceprezes PiS, nie ma wreszcie diety parlamentarnej, a uposażenie parlamentarne ma obniżone do 1350 zł brutto.

•

Niemal 900 tys. Polaków pracuje mimo osiągnięcia wieku emerytalnego. To prawie 5% wszystkich pracujących w Polsce.

•

Według magazynu „Forbes" najbogatszym Polakiem jest **Michał Sołowow** (27,65 mld zł). By się znaleźć w pierwszej setce, trzeba mieć przynajmniej 1,3 mld zł.

PRZEBŁYSKI

Apel Izby Wydawców Prasy


Odkażanie własnej wydawczy

CZYSTE NOŚNIKI
– demokratyczny rząd nie może być obojętny na los ludzi kultury

Apel Izby Wydawców Prasy

Izba, do której należy także „Przegląd", nieustannie o coś prosi Martę Cienkowską, ministrę kultury. Ta w obietnicach jest prawdziwą królową. Gorzej z realizacją. Od 1 stycznia miała być nowelizacja rozporządzenia poprawiającego finansowanie kultury bez obciążania budżetu państwa. Chodzi o tzw. czyste nośniki i wprowadzenie do wykazu urządzeń objętych opłatą: komputerów, smartfonów, telewizorów i tabletów. Cienkowska nie zdążyła z podpisem. Zarobiona jest. A precyzyjniej – nieobecna w ministerstwie, bo kocha podróże, zwłaszcza zagraniczne. 27 wyjazdów, m.in. do Australii, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Japonii, Uzbekistanu i na Maltę. Lista jest zresztą niepełna.



Standardy Opolskiej

Taki numer mógł wykręcić tylko on. Tomasz Sygut, dyrektor TVP w nieustającej likwidacji. Nominat PO, ręcznie zarządzający TVP Info. Robi to, na co mu pozwalają polityczni patroni. Ciekawe, który kazał wysłać do Sejmu Karolinę Opolską. Autorka książki „Teoria spisku, czyli prawdziwa historia świata" zamieściła w niej przypisy o pozycjach, które w ogóle nie istnieją. W ten sposób skandalistka Opolska w listopadzie i grudniu ub.r. stała się antybohaterką mediów. Ale nie w TVP Info.

Dzięki Sygutowi była cały czas na wizji. Prawdziwy wzór zaufania publicznego. W TVP Info odpytywała polityków z rzetelności i wiarygodności. Zasłużyła więc na nowy program – „Sejm Opolskiej". Bardzo tam pasuje do Goska, Mateckiego, Ozdoby i Kowalskiego.

Łaskawość sądów biskupich

Kościół katolicki nie uznaje rozwodów. Po ślubie kościelnym ma być dosłownie, „że cię nie opuszczę aż do śmierci". Ma być. Ale coraz więcej małżeństw kościelnych jest wymazywanych z rejestru gumką myszką. Do sądów kościelnych trafia rocznie ok. 5 tys. wniosków o stwierdzenie nieważności małżeństwa. W 2020 r. wydano 2813 decyzji pozytywnych. Najwięcej zadowolonych z tej łaskawości było w Sądzie Metropolitalnym w Przemyślu (ok. 94%), Sądzie Biskupim Diecezji Sosnowieckiej (ok. 92%) i Sądzie Biskupim Diecezji Ełckiej (ok. 91%). Są już tacy, którzy chcą unieważnienia także tego drugiego małżeństwa kościelnego. I nie są bez szans.

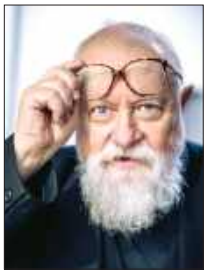


FOT. SHUTTERSTOCK, ARCHIWUM, ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

eprasa.pl 30e64a71d6



mleczko.pl
sklep.mleczko.pl



Jerzy Bralczyk

Zrządzenia i zrzędzenia

Weto i azyl

Kiedy uczymy się w młodości, a i później, nowych słów, to ich znaczeniom towarzyszą zazwyczaj konotacje. Już jako dzieci chcemy wiedzieć, czy coś jest dobre, czy złe, cacy czy be. Obce słowa, które poznajemy, ucząc się historii w szkole, mają też ten wymiar – mówi się nam, czy to, co się tak nazywa, jest lub było dla nas dobre. I uczono nas, że weto, czyli szlacheckie „nie pozwalam", szkodziło sejmowi, gdy chciał dobrze, przeszkadzało ustawom, było przejawem sarmackiego wichrzycielstwa, a często wynikiem korupcji. A że szlachta uważała je za prawnie sankcjonowaną „źrenicę wolności", tym gorzej. Liberum veto, „wolne nie pozwalam", było szkodliwe, to z historii zapamiętaliśmy i już.

Azyl natomiast był raczej dobry. Uczyliśmy się tego słowa często razem z wiadomościami o represjach lub nieokiełznanych tumultach i postrzegaliśmy azyl nie tyle jako miejsce ucieczki przestępcy przed prawem, ile jako schronienie przed prześladowaniami, a te z definicji są niedobre. Do tego stopnia lubiliśmy azyl, że mówiliśmy tak na bezpieczne miejsce, gdzie się nie przeszkadza – i sami takich azylów szukaliśmy, jako schronienia przed niewygodami świata.

Weto i azyl coś łączy. Oba zdają się wnosić element nieostateczności, dający poczucie jakiegoś wybiegu, uniku, myku. Już coś postanowione, a tu weto. Już zapadł wyrok, a tu azyl. Jak biała chusta na szafocie, jak „zamawiam" w grze w chowanego. Dla wielu ma to urok, że w tym ogródku gąska nie daje się złapać.

Ale instytucjonalizacja prawnej nieostateczności, dająca szczególne poczucie bezpieczeństwa w sytuacji już zdawałoby się ustalonej, łączy się z niezbyt społecznie pożądaną chwiejnością prawa. I dziś może czasem powodować wątpliwość skuteczności tego, czego skuteczność przecież także poczuciu bezpieczeństwa służy. Bo po co coś ustalać czy wyrokować, jak to można odkręcić albo uczynić nieważnym? Widzimy ten piasek do sypania w tryby, ten kij pasujący do szprych, i może się odechcieć…

A jak jeszcze dodamy prawo łaski, które to słowo także brzmi łaskawie i niezwykle miło… ■

eprasa.pl 30e64a71d6

Mamy akt brutalizacji, prymitywnej i barbarzyńskiej

Trump udziela licencji na zabijanie

Rozmawia Robert Walenciak



PROF. ROMAN KUŹNIAR
– politolog, profesor nauk humanistycznych, dyplomata, w latach 2005-2007 dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych.

Panie profesorze, jak atak Stanów Zjednoczonych i Izraela na Iran zmienił świat?

– Myślę, że wojna w Iranie jedynie potwierdziła to, co już o świecie wiedzieliśmy od ponad roku. Jest przecież egzemplifikacją władzy Donalda Trumpa, egzemplifikacją jego polityki. Tego się spodziewaliśmy po Trumpie. I po jego najbliższym sojuszniku, który właściwie go w tę wojnę wciągnął.

Spodziewaliśmy się?

– Jej wybuch był zapowiedziany w tej, jak ją nazwałem, „strategii predatora" ogłoszonej przez Stany Zjednoczone w grudniu 2025 r. – Strategii Bezpieczeństwa Narodowego USA. Tam jest ta cała ideologia. Kto czytał ten dokument dokładnie, wiedział, czego możemy się spodziewać.

Jaki interes ma Ameryka w tej wojnie?

– A nie, my nie mówimy o interesach Ameryki. To był interes samego Trumpa. Owszem, Ameryka jest, można powiedzieć, współwinowajczynią w tej wojnie. Jest w jakimś spisku ze swoim prezydentem. Ale to jest wojna zdecydowanie bardzo osobista, bo taka jest ta prezydentura. Trump uwolnił się od ograniczeń republiki – mówię o trójpodziale władzy, o opozycji, która jest bardzo słabiutka, mam też na myśli wolę poddanych, bo już nie można powiedzieć o Amerykanach, że są obywatelami, oni to poczucie obywatelskości stracili. Stali się w dużym stopniu zniewolonymi konsumentami, zarówno dóbr materialnych, jak i tej papki, którą im serwuje Donald Trump. On i jego klan, jego obóz, łącznie z big techem, który obsługuje interesy klanu Trumpa. Nie jest to zatem wojna w interesie Ameryki, na pewno.

Więc?

– To przede wszystkim wojna Izraela. Agresję na Iran rozpoczął Izrael, potem dołączyły siły USA. Myślę, że to była świadoma decyzja Netanjahu, widział wahania Trumpa, ponieważ toczyły się rozmowy amerykańsko-irańskie, które mogły przynieść dobry rezultat, bo takie mieliśmy oświadczenia. Umówili się na kolejną turę, po Genewie miał być Wiedeń. I nagle, ni stąd, ni zowąd…

Wojna!

– Dosyć symptomatycznie nazywa się „Epicka Furia". Furia, jak wiadomo, nie jest aktem racjonalnym, nie ma nic wspólnego z interesami furiata, a Trump występuje w niej przecież trochę w tej roli. Został do wojny wciągnięty przez przebiegłego premiera Izraela. Tak że ja tutaj nie widzę interesu Ameryki, widzę za to interes Trumpa, również taki, że chciałby w jakiś sposób uciec od coraz bardziej niewygodnej dla niego afery Epsteina. No i swój interes wyczuł wielki biznes…

Wielki biznes zarobi.

– Wielki biznes na tej wojnie skorzysta, mam na myśli przede wszystkim koncerny zbrojeniowe. Oczywiście część tego klanu, która żyje z tej prezydentury, skrajny odłam Partii Republikańskiej, nawet nie MAGA, ale ludzie o gangsterskiej mentalności, którzy są także w establishmencie amerykańskim – też skorzystają.

A jakie Izrael ma interesy w tej wojnie?

– Na pewno klarowny interes ma Netanjahu. On wojny potrzebuje, żeby przedłużać swoją władzę. Bo tak długo, jak jest premierem, pozostaje

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 30e64a71d6

poza zasięgiem wymiaru sprawiedliwości. To przypadek podobny trochę do przypadku Trumpa, który, gdyby nie został prezydentem, pewnie trafiłby do więzienia, przynajmniej za to, co się stało 6 stycznia. To pokazuje, z jakimi ludźmi mamy do czynienia. Jeden jest słusznie oskarżony o zbrodnie wojenne przez Międzynarodowy Trybunał Karny, mam tu na myśli Gazę. Drugi też ma dorobek bardzo zaszargany. Natomiast, jeżeli mówimy o jakimś interesie Izraela…

Trump został do wojny wciągnięty przez przebiegłego premiera Izraela.

Izrael wyhodował sobie wroga, tak on to przynajmniej postrzega, w postaci Iranu, który był wsparciem dla palestyńskich grup terrorystycznych działających w otoczeniu Izraela.

Netanjahu ma takie podejście, że po co szukać sprawiedliwego rozwiązania problemu palestyńskiego, problemu dwóch państw, skoro można po prostu zrobić z Iranu drugą Gazę. Zamienić go w morze ruin i przynajmniej na jakiś czas osłabić jego zdolności do udzielania pomocy wrogom Izraela. Bo oczywiście bezpośredni atak Iranu na Izrael nie wchodził w grę. To, co mówili Izraelczycy w pierwszych godzinach wojny, że jest to *preemptive strike*, było zwykłym kłamstwem.

Uderzenie wyprzedzające…

– I proszę nie mylić tego z prewencją, co czasem pada w polskich mediach. To są dwie różne sytuacje. Otóż absolutnie nie ma potwierdzenia, nawet najmniejszego, że atak na Iran mógłby być uderzeniem wyprzedzającym. Gdyby tak było, Izrael musiałby przedstawić dowody tego w Radzie Bezpieczeństwa.

Nie przedstawił nic.

– Mówienie więc o *preemptive strike* było kłamstwem. Podobnie jak kłamstwem było to, co mówiła administracja amerykańska, że chodzi o potencjał nuklearny Iranu. On nie istniał. Słuchałem dłuższej rozmowy z szefem Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, który absolutnie to wykluczał. A przedstawiciele MAEA w Iranie byli, robili badania. Zwłaszcza po atakach w ubiegłym roku. No to po co one były? Ale i wcześniej nie wyglądało na to, aby Iran prowadził prace, które mogłyby go doprowadzić do broni nuklearnej. Gdyby coś miało być, to zarówno wywiad izraelski, jak i agencja wiedeńska, i nie tylko one, o tym by wiedziały. A nie ma takich dowodów.

Interesujące jest zachowanie państw arabskich, które – chociaż są atakowane – wyraźnie nie chcą wejść do tej wojny.

– Państwa Zatoki to państwa, w których rządzi pieniądz. Są całkowicie bez zasad czy poczucia solidarności, jakiejś lokalnej troski o bezpieczeństwo w regionie. To ich zupełnie nie obchodzi. Tu się zdają na Stany Zjednoczone. Natomiast rzeczywiście nie wchodzą w wojnę, mimo że są prowokowane przez Iran. Ale trudno to uznać za prowokacje, ponieważ jeżeli Iran jest atakowany z terytorium tych krajów, z baz amerykańskich, to państwa te stają się uczestnikiem wojny…

Interes Trumpa jest taki, że chciałby w jakiś sposób uciec od coraz bardziej niewygodnej dla niego afery Epsteina.

A Europa? Czy Europa da się wciągnąć w tę wojnę?

– Europa początkowo zachowała się bardzo nie w porządku. Język europejski w odniesieniu do Trumpa był przed wojną taki, że my jesteśmy po stronie porządku międzynarodowego. Pamiętamy te słynne polemiki z Davos, Monachium. A kiedy wojna się zaczęła, to wypowiedzi przywódców europejskich, Macrona czy Ursuli von der Leyen, były wobec Iranu bardzo napastliwe. Za to, że Iran się broni. Jakby nie wiedzieli, kto tę wojnę rozpoczął. Dopiero po jakimś czasie nastąpiło w Europie wyrównanie kursu, jakieś otrzeźwienie. Ale ta pierwsza reakcja była bardzo zestrachana. Podkulili ogon.

Też byłem tym zaskoczony.

– Wcześniej bardzo dużo trąbili o suwerenności, samodzielności strategicznej itd., a tu nagle popłynęli za Trumpem. To się zmieniło w kolejnych dniach. W tej chwili postawa Europy jest bardziej zrównoważona. Ale rzeczywiście Europa jest w kłopocie. Jest bardzo silnie połączona, różnego rodzaju więziami, współzależnościami, ze Stanami Zjednoczonymi. Dlatego nie chce sobie pozwolić na jakąś dalej idącą krytykę. Problemem jest też sam Iran, który nie może budzić sympatii. Ale przecież pamiętamy, że w 2003 r., podczas amerykańskiej agresji na Irak, uzasadnienie ataku było tak samo nieprawdziwe. Lecz wtedy niektóre kraje europejskie, Francja, Niemcy, w sposób zasadniczy zajęły krytyczne stanowisko wobec agresji.

A teraz tak pół na pół.

– Mamy do czynienia z fundamentalnym łamaniem prawa międzynarodowego. A także z czymś, co jest bardzo niebezpieczne i na co Europa nie zareagowała należycie – brutalizacją życia międzynarodowego. Mamy akt brutalizacji, takiej prymitywnej, barbarzyńskiej. Bo jeżeli się morduje, na odległość, przywódcę duchowego, cokolwiek o nim sądzimy, to jest akt barbarzyństwa. I jeżeli mamy do czynienia z tego rodzaju sytuacją, to trzeba mieć odwagę, taką jak premier Hiszpanii, który zachował się z klasą, ale przede wszystkim stanął po stronie zasad porządku międzynarodowego. Właśnie po stronie owych *rules-based orders* (ład oparty na zasadach – przyp. red.), które zdradzili Macron i kanclerz Niemiec.

Wzrost cen ropy naftowej zmienił też geopolitykę świata, bo nagle Ameryka zaczęła na tym zarabiać, Europa – tracić. No i Rosja zaczęła zarabiać.

– Absolutnie było to w jej interesie. Niektórzy nasi komentatorzy mówili, że ponieważ Iran to sojusznik

eprasa.pl 30e64a71d6

Rosji, to oczywiście gorzej dla niej. To była krótkowzroczność. Iran nie upadnie. Rosja pozostanie jego sojusznikiem, bo tam są powiązania trwalsze, niż nam się wydaje. To sojusz krajów antyzachodnich: Rosja, Iran, Chiny... A Zachód daje dobre powody, by one w takim antyzachodnim przymierzu pozostawały.

Ale nie są to powody takie jak do tej pory – że prawo, demokracja, wolność...

– Putin kiedyś powoływał się na Trumpa – atakując Ukrainę, przypomniał atak Ameryki na Irak. A teraz Trump powołuje się na Putina. Co mówi? Że nie napadł na Iran, tylko to jest Major Combat Operation. To dokładnie język Putina – specjalna operacja wojskowa. I mówi, że będzie prowadził ją tak długo, aż osiągnie założone cele. Trump pozazdrościł Putinowi, poszedł w jego ślady, dołączył do grupy mocarstw zbójeckich, które łamią prawo międzynarodowe, stwarzają zagrożenie dla bezpieczeństwa innych.

Co z tego wynika?

– Implikacje będą rozległe. Wiele krajów, łącznie z Chinami, będzie musiało przede wszystkim o wiele szybciej się zbroić, ponieważ wiedzą, że Stany Zjednoczone nie mają żadnych hamulców. Że człowiek, który rządzi w USA, mówi, że nie ma żadnych ograniczeń z wyjątkiem własnej moralności. A wiadomo, że to człowiek upadły moralnie. W związku z tym ograniczeń nie ma żadnych.

Czyli przychodzi czas silnych?

– Czytam artykuł jednego z amerykańskich analityków ze sfery strategicznej, który pisze: no tak, oczywiście Korea Północna miała rację z tą bronią nuklearną, ponieważ teraz śpi bezpiecznie. Iran zahamował swój program i padł ofiarą agresji. Libia się pozbyła programu, padła ofiarą agresji. Czyli jedynym sposobem na zabezpieczenie przed szaleństwami Stanów Zjednoczonych, przed ich dezynwolturą strategiczną, jest broń nuklearna. To jest sygnał dla świata.

Jaki?

– To jest sygnał dla różnych predatorów lokalnych, że predator globalny, Donald Trump, będzie ich tolerował, pod warunkiem że nie będą wchodzić mu w drogę. W związku z tym inni mają taką samą licencję na zabijanie jak Stany Zjednoczone, pod warunkiem że będą działać w swojej strefie i będą respektować interesy Stanów Zjednoczonych. Ta filozofia jest przejawem barbarzyńskiej brutalizacji życia międzynarodowego. I jeżeli nie nastąpi opamiętanie, będziemy widzieć jej kolejne przykłady w nadchodzących miesiącach i latach. Dla Polski, czego pewna część klasy politycznej zupełnie nie rozumie, to jest bardzo niedobra wiadomość. Dlatego że leżymy na styku geopolitycznych stref tektonicznych i w naszym interesie jest utrzymywanie w mocy instytucji wielostronnych prawa międzynarodowego, a nie ich brutalny demontaż. To, co robią Stany Zjednoczone, jest całkowicie sprzeczne z naszymi interesami bezpieczeństwa.

> To, co robią Stany Zjednoczone, jest całkowicie sprzeczne z naszymi interesami bezpieczeństwa.

Czyli Rosja w tej chwili dostała przyzwolenie na załatwienie sprawy ukraińskiej.

– Tak to można czytać. Będziemy też mieć zmniejszone dostawy broni obronnej i Ukraina będzie miała mniej dostaw. Jej sytuacja strategiczna czy wojskowa pogorszyła się. Zobaczymy, jak to będzie wyglądać w praktyce – bo i Rosjanie mają kłopoty. Doszli do jakiejś ściany – widać to wyraźnie. Z drugiej strony działania USA powodują, że Rosjanie się usztywniają. Że już nie wykazują gotowości do zakończenia konfliktu. Bo co widzą? Że wojna działa. Że można zabijać, że można atakować, można demolować miasta, tak jak Amerykanie to robią w Iranie, i właściwie nic z tego nie wynika.

I jest się szanowanym partnerem...

– Jeszcze jest się przyjacielem. Rosja dostała poszerzoną licencję na zabijanie. Bo Trump od początku był po jej stronie. A teraz jeszcze bardziej legitymizuje jej postępowanie.

Czyli Europa staje przed kolejnymi wyzwaniami, wobec których nie potrafi się odpowiednio zachować.

– Może się teraz ogarnie, mówiąc żargonowo. Pierwsze wypowiedzi, reakcje po stronie mocarstw zachodnioeuropejskich były i komiczne, i nieprzyzwoite. Jakby ignorujące tę wojenną rzeczywistość, to, co się dzieje, kto jest obiektem agresji, ofiarą, a kto agresorem. Mam natomiast wrażenie, że w tej chwili jest jakiś rodzaj przewartościowania. Nakazem chwili, czy czasu, powinna być samodzielność strategiczna Europy. Nie autonomia – bo to lipa, autonomia zawsze jest w ramach – tylko samodzielność strategiczna Europy. I amerykańsko-izraelska napaść na Iran powinna być bardzo mocnym argumentem na rzecz tej samodzielności.

A Bliski Wschód ma być zrujnowany zupełnie, by nigdy nie zagrażał Izraelowi? To jest pomysł Netanjahu.

> Wielki biznes na tej wojnie skorzysta, przede wszystkim koncerny zbrojeniowe.

– Takie jest założenie. Na jakiś czas to wystarczy, Iran odniósł takie obrażenia, takie straty, że prędko się nie podniesie. Nikt mu przecież reparacji nie zapłaci. Zwycięzców się nie sądzi. Więc Iran poniósł ciężkie straty, ale te straty zostaną zapamiętane. Nie ma zatem przesłanek do układania pokojowych relacji w regionie. Nie wiem, czy o to chodziło Izraelowi, który najlepiej czuje się w stanie wojny, a przynajmniej tak czuje się jego premier… Ale to jest dla Bliskiego Wschodu bardzo niedobra sytuacja.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 30e64a71d6

APEL

Nastroje społeczne w Polsce ewoluują w niebezpiecznym kierunku. Jeszcze niedawno poparcie dla Unii Europejskiej było jednym z najwyższych na kontynencie. Dziś, choć zdecydowana większość naszego społeczeństwa chce pozostać w Unii, przybywa zwolenników jej opuszczenia, skupionych w PiS i Konfederacjach. Podobne opinie płyną z ośrodka prezydenckiego, zapatrzonego w Donalda Trumpa, a więc i w jego politykę niechętną Unii. Wyjście Polski z Unii Europejskiej byłoby łatwe do przeprowadzenia. Wystarczyłaby zwykła większość parlamentarna, a następnie podpis prezydenta.

Akcesja do Unii Europejskiej nie jest zwyczajną umową. Dokonała się na mocy ogólnonarodowego referendum. Przeczyłoby zdrowemu rozsądkowi, gdyby decyzja całego narodu mogła być unieważniona przez tymczasową większość w parlamencie.

Członkostwo Polski w Unii Europejskiej jest podstawową sprawą dla naszego bytu narodowego. Nie wolno oddawać go politycznym awanturnikom ani powierzać przypadkowym partyjnym układom.

W tej sytuacji APELUJEMY do wszystkich posłów i senatorów, niezależnie od orientacji politycznej, o wsparcie ustawy o referendum.

Zespół „Przeglądu”

LISTY

Przesiedleńcy czy wypędzeni?


Przesiedleńcy czy wypędzeni?

Rozmowa relacja z rozmów Mariana Orzechowskiego z Hansem-Dietrichem Genscherem

We wspomnieniach Mariana Orzechowskiego znalazła wyraz jego przymilność zarówno wobec gościa, Hansa-Dietricha Genschera, jak i niemieckich przesiedleńców. Minister Orzechowski współczuje tym, którzy utracili Heimat „na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej i nad Bałtykiem”. Orzechowski wzruszał się tym, że jego słowa „dla prasy w RFN były swoistą sensacją”. Przyznał jednak, że zostały wykorzystane do niemieckich celów propagandowych. „Nawiasem mówiąc, prasa zachodnioniemiecka przytoczyła jedynie fragment mojej wypowiedzi, pomijając to wszystko, co dotyczyło polityki i uczuć”. Ta manipulacja była do przewidzenia. Okazana przez Orzechowskiego naiwność potwierdza ocenę Jerzego Urbana zawartą w jego „Alfabecie”: Marian Orzechowski – błąd kadrowy Wojciecha Jaruzelskiego.

Skłonność do chybionej przymilności wykazywał Orzechowski również w sprawach wewnętrznych. „Trybuna” zamieściła jego stwierdzenie: „Wałęsa powinien zostać prezydentem, ponieważ jest robotnikiem”. Jak wspominał Kazimierz Barcikowski („U szczytów władzy”, Warszawa 1998, s. 495), „roli rozbijaczy na zjeździe podjęli się Marian Orzechowski i Tadeusz Fiszbach z grupą swoich zwolenników... Moi rozmówcy zawierzyli Wałęsie, że będą jego lewą nogą, zapominając, że noga nie kończy się głową. Wkrótce się o tym przekonali i dziś nawet ślad nie pozostał po tworze powołanym do życia na zamówienie Wałęsy”. Nic dodać, nic ująć.

Andrzej Wilk

Reżyser po końcu historii


100. ROCZNICA URODZIN ANDRZEJA WAJDY

Reżyser po końcu historii

Wajda opowiadał o momentach przełomowych

Film stał się towarem, a co gorsza, wszyscy byli tym zachwyceni, cielęcina idąca na rzeź była przekonana, że Wajda będzie ważniejszy od komedii romantycznych. Szydzono ze szkół chodzących na ważne filmy. Nasza głupota, przyznaję się bez bicia, była oszałamiająca i czyniła nas bezbronnymi. Oglądaliśmy beznadziejne kasety wideo z kinem akcji klasy C i uważaliśmy, że to jest właśnie wolność.

Dariusz Łukasiewicz

Amerykańskie zbrodnie wyzwoleńcze


Amerykańskie zbrodnie wyzwoleńcze

Szokuje mnie, że gdy chodzi o tego typu przestępstwa wojenne, u nas sprowadza się problem do prostackiego klekotu o azjatyckiej dziczy, która przewaliła się przez nasz kraj. Nie dosyć, że jest to podyktowane nienawiścią do konkretnego narodu, to brakuje nawet tej oczywistej refleksji, że teksty o azjatyckiej, tudzież wschodniej dziczy czytają u nas w ambasadach i konsulatach przedstawiciele Japonii, Korei Południowej, Chin itd.

Co czują potomkowie ofiar Amerykanów w Japonii? Że wszystko, co ich spotkało, zwyczajnie im się należało? Co czują potomkowie ofiar europejskiego kolonializmu w innych azjatyckich państwach? Że są dzikusami, a przedstawiciele państw tzw. Zachodu półbogami? Tu, nad Wisłą, jest to zupełnie nieistotne. Boję się dociekać, co jeszcze u nas jest bardzo istotne, a co zwyczajnie nieważne...

Tym bardziej doceniam artykuł w „Przeglądzie”, ponieważ daje on nadzieję, że nie wszyscy u nas powariowali. Że istotne są ofiary, istotne są fatalne w działaniu mechanizmy ograniczające przemoc, a w dalszej kolejności, kto był sprawcą przemocy. To oczywiście też jest istotne. Tym bardziej, im bardziej przemilczane. Odczłowieczanie dawnego lub obecnego wroga prowadzi nas na manowce. Nie stajemy się dzięki temu lepsi. Wręcz przeciwnie.

Michał Błaszczak

eprasa.pl 30e64a71d6

Upadek Śląskiego Księcia

Jerzy Hop pozostawał szefem Prokuratury Apelacyjnej w Katowicach prawie dekadę. Przez lata uchodził za kogoś nie do ruszenia

Mateusz Cieślak

Morze wódki od rana do wieczora, nielegalne dochody i tylko luksusowe fury. Nie, nie chodzi o szefa mafii, mowa o człowieku długo kierującym jedną z najważniejszych prokuratur w Polsce.

Hopa powszechnie uznawano za jedną z tych osób, które pociągają za sznurki władzy na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim.

9 marca media obiegła sensacyjna wiadomość. Dwa dni wcześniej w Rybniku w jednym z domów znaleziono ciała 68- i 41-latka. Byli to Jerzy Hop, przez wiele lat stojący na czele Prokuratury Apelacyjnej w Katowicach, i jego syn.

Śmierć tak ważnej postaci, co więcej, nie w pojedynkę, zelektryzowała nie tylko media. Śledztwo natychmiast przekazano z Rybnika do Prokuratury Okręgowej w Gliwicach. Rzeczniczka prasowa prokuratury Agnieszka Bukowska mówiła niezbyt wiele. Informowała, że kluczowa dla dalszych działań będzie sekcja zwłok. Zlecone też zostaną badania histopatologiczne i toksykologiczne.

„Fakt" pisał: „W sobotnie popołudnie, 7 marca, znaleziono ich ciała. Według wstępnych ustaleń śledczych nic nie wskazuje na to, by do śmierci mężczyzn przyczyniły się osoby trzecie. Na ciałach nie ujawniono żadnych obrażeń. Co zatem zabiło ojca i syna?". TVN 24 swoją relację utrzymywała w podobnym tonie: „Na ciałach nie było widocznych obrażeń, sekcja zwłok ma dać odpowiedź na pytanie, co było przyczyną ich śmierci".

Kolejne informacje są na tyle wstrząsające, że konieczne wydaje się tu krótkie wprowadzenie. Jerzy Hop pozostawał szefem Prokuratury Apelacyjnej w Katowicach prawie dekadę. Nominację otrzymał w 1993 r. W 2002 r., czyli po dziewięciu latach, został odwołany. Długo uchodził za kogoś nie do ruszenia. Taki status miało jeszcze paru innych urzędników szczebla wojewódzkiego w Katowicach. Historia Hopa (oraz kilku innych) pokazuje, jak łatwo nasz kraj mógł utonąć w morzu mafijności, korupcji, bezkarności. Jak blisko byliśmy tego, by pójść drogą Ukrainy, zamiast trafić do Unii Europejskiej. Na szczęście tak się nie stało.

Jerzy Hop zasiadł na ławie oskarżonych. Udowodniono mu oszukanie 65 firm. Wyłudził od nich w sumie ok. 1,7 mln zł.

Śmierć w butelce

Nim zacząłem pisać ten artykuł, rozmawiałem z prokurator Bukowską. Dowiedziałem się, że sekcje zwłok byłego prokuratora apelacyjnego oraz jego syna zaplanowano na 10 marca. Na wyniki czekać będziemy zapewne co najmniej kilka dni. Podobnie jak na wyniki badań, które mają wykazać, czy śmierć nie nastąpiła na skutek zatrucia organizmu jakąś substancją.

Zadałem pani prokurator konkretne pytania. Nie zaprzeczała moim ustaleniom, ale też ich nie potwierdzała, podkreślając, że powinniśmy poczekać na wyniki badań i na oficjalne ustalenia śledczych. Ze względu na brak dementi uznaję, że przekazane mi informacje należy uznać za bardzo wiarygodne. Uważam moje ustalenia za istotne właśnie ze względu na to, o czym wspomniałem przed chwilą. Przecież Jerzy Hop dziewięć lat kierował jedną z najważniejszych prokuratur w kraju. Jednocześnie wiadomo było, że cierpi na ciężką chorobę alkoholową i żyje ponad stan. Jednego ani drugiego nie dało się ukryć. I on, urzędnik państwowy, i jego żona nauczycielka jeździli luksusowymi autami. On – srebrnym BMW 540i, jego żona – BMW 316 Compact. On swoje kosztowne cacko regularnie rozbijał, co nie powinno dziwić, gdyż jeździł nim pijany. Natychmiast, w odstępie kilku dni, rozbite BMW zamieniał na nowe. A mimo to pozostawał bezkarny.

Policjanci i ratownicy medyczni wezwani do domu prokuratora Hopa zastali na miejscu, delikatnie mówiąc, bałagan. Obaj mężczyźni najprawdopodobniej zmarli podczas alkoholowej libacji. Spożywane przez nich trunki nie pochodziły

eprasa.pl 30e64a71d6

ze sklepu. Kupili je na jakiejś melinie. Mieli pecha. Sprzedano im alkohol metylowy i to on miał spowodować śmierć. Przypominam, że to informacje niepotwierdzone. Na oficjalne ustalenia trzeba będzie poczekać. Jeśli jednak moje źródło się nie myli, należy jak najszybciej ustalić, skąd pochodził spożywany przez ojca i syna alkohol. Jeżeli sprzedano go innym osobom, one również mogą się zatruć.

Z chorobą alkoholową Jerzy Hop zmagał się, będąc prokuratorem apelacyjnym. Ta jego przypadłość miała ciężką postać. Wielokrotnie miał zaszywany Esperal. Przez pierwsze dni po zaszyciu Hop może nieco mniej pił, lecz nigdy nie był trzeźwy. Gdy działo się naprawdę źle, wszystkie obowiązki prokuratora apelacyjnego przejmował jego zastępca, Tomasz Szałek. W 2007 r., gdy ministrem sprawiedliwości był Zbigniew Ziobro, Szałek piastował funkcję zastępcy prokuratora generalnego. Krótko pełnił też obowiązki prokuratora krajowego, a później został naczelnym prokuratorem wojskowym.



Były szef Prokuratury Apelacyjnej w Katowicach Jerzy Hop opuszcza areszt śledczy po trzech latach pozbawienia wolności i wpłaceniu kaucji 50 tys. zł. Katowice, 18 listopada 2005 r.

Rewolwer nie wystrzelił

Jeden z bliskich znajomych wspomina sytuację, która miała miejsce już po odwołaniu Hopa ze stanowiska: „Pojechałem do niego. Był bardzo smutny. Poszedłem na chwilę do toalety. Patrzę, a tam za muszlą stoi pół litra Żytniej. Nienapoczęte. Wylałem więc tę wódkę do kibla, nalałem wody, wyszedłem. Za chwilę on poszedł do ubikacji. Szybko wrócił i mówi, żebym mu kupił wódkę. Ja na to, że nie. Gdzieś pobiegł, a ja słyszę szarpaninę. Patrzę, a to on szarpie się z synem. W ręku trzyma rewolwer. Nagle wycelował, pociągnął za spust. Na szczęście bębenek był źle założony i zablokował się. Broń nie wystrzeliła. Więc ja ją wziąłem, wysypałem z bębenka naboje, dałem je synowi. Podałem mu rewolwer. Schowaj to gdzieś, powiedziałem".

Kto dziś wie, jak nazywa się prezes miejscowego sądu, szef prokuratury czy komendant policji? Wtedy było inaczej. Jerzy Hop przecinał wstęgi, wizytował i odbierał hołdy. Budował swoją pozycję jednego z najważniejszych ludzi w województwie. W tym obrazie nie ma żadnej przesady. W jednym z numerów dwutygodnika „Jastrząb" z 1994 r. została opublikowana relacja z otwarcia nowej siedziby Prokuratury Rejonowej w Jastrzębiu-Zdroju. Gospodarzem uroczystości był właśnie Jerzy Hop, a wśród uczestników znaleźli się: prezydent miasta i przewodniczący rady miejskiej, prezes miejscowego sądu, komendant miejski policji oraz szef prokuratury wojewódzkiej. Takie „gospodarskie" wizyty często się odbywały w różnych miejscowościach województwa katowickiego, a po reformie administracyjnej Polski – województwa śląskiego. Rola odgrywana wówczas przez Hopa (zresztą nie tylko przez niego) miała w sobie coś z sekretarza partii. Ale że czasy były już inne, Hopa ochrzczono inaczej. W środowisku prawniczym przyjęło się mówić o nim Śląski Książę.

Powszechnie uznawano go za jedną z tych osób, które pociągają za sznurki władzy na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim. Wraz z dyrektorem urzędu kontroli skarbowej czy lekarzem wojewódzkim należał do bardzo wąskiego grona ludzi uznawanych za lokalnych mocarzy. Wojewodowie, prezydenci miast, posłowie czy senatorowie pojawiali się, po czym znikali. Oni trwali.

Bardzo niepokojący wymiar miała współpraca Jerzego Hopa właśnie jako prokuratora apelacyjnego ze śląskim biznesem. „Trybuna Śląska" z kwietnia 1997 r. opublikowała artykuł „Biznesmen zagrożony". Uczestnikami spotkania Loży Katowickiej Business Centre Club byli komendant wojewódzki policji i prokurator apelacyjny, czyli właśnie Jerzy Hop, który mówił: „Nie możemy wiązać sfery robienia interesów

FOT.PAP/ANDRZEJ GRYGIEL

eprasa.pl 30e64a71d6

tylko z pospolitymi przestępstwami kryminalnymi. Chodzi nam o zapewnienie takich warunków funkcjonowania biznesu, w których do minimum zmniejszy się ryzyko zetknięcia się z przestępstwami takiego typu". Prezes Loży Katowickiej BCC ujawnił zaś, że na spotkaniu rozważano formy współpracy biznesmenów z policją. Podkreślał, że nie chodzi o „sponsoring", lecz o „pomoc finansową". Komendant policji nie bawił się w takie niuanse. Mówił wprost o sponsorowaniu policji, ale zapewniał: „Wszystko odbywa się zgodnie z regułami sztuki".

Sława Śląskiego Księcia wykraczała poza granice Śląska. „Gazeta Kielecka" przedstawiała Jerzego Hopa jako niezłomnego tropiciela korupcji. A chodziło właśnie o sponsorowanie policji. Hop informował o ogromnym śledztwie, w którym wykrystalizowały się aż 22 wątki. Wszystkie dotyczyły sponsorowania policji przez biznes i związanej z tym korupcji. W policji spadały głowy.

Prokurator szuka sponsora

Jest coś symbolicznego w tym, że upadek Jerzego Hopa wiązał się ze zwalczanym przez niego sponsoringiem. Co tropił w policji, to hodował u siebie. I znamienne, że ów przestępczy proceder kwitł w prokuraturze, a został wykryty przez dziennikarzy. W kwietniu 2002 r. „Newsweek" opublikował artykuł o tym, że Jerzy Hop i jego żona żyją ponad stan. Wyliczono (pamiętajmy, że złoty miał wtedy inną wartość): dom za 280 tys. zł, jedno BMW za 280 tys. zł, drugie – za 100 tys. zł. Minister sprawiedliwości Barbara Piwnik zażądała wyjaśnień. Hop tłumaczył, że właścicielką domu i luksusowych samochodów jest teściowa. Kobieta otrzymała spadek. Przez długi czas był on przechowywany w klasztorze i stąd kłopot z jego udokumentowaniem…

„Newsweek" pisał o tym, że Hop odwiedzał różne firmy, przedstawiał im trudną sytuację prokuratury i prosił o wsparcie. O pieniądze na papier do kserokopiarki i podobne rzeczy. Firmy przekazywały datki, a faktury za zakupione dla prokuratury materiały biurowe wystawiała firma, która już nie działała. Oczywiście żadne materiały biurowe do urzędów prokuratorskich nie trafiały.

Dopiero wtedy Hopa odwołano. I dopiero wówczas wszczęto śledztwo. Sprawą zajęła się ABW. Dziwne? Dla mnie nie bardzo. Do dziś różne służby naszego państwa w głębokim poważaniu mają to, że podczas pandemii setki tysięcy badań na obecność koronawirusa zostały przeprowadzone w skandaliczny sposób, a mimo to NFZ wypłacał za nie miliony. Być może jest jeszcze gorzej niż przed laty. Wtedy krytyczna publikacja powodowała reakcję.

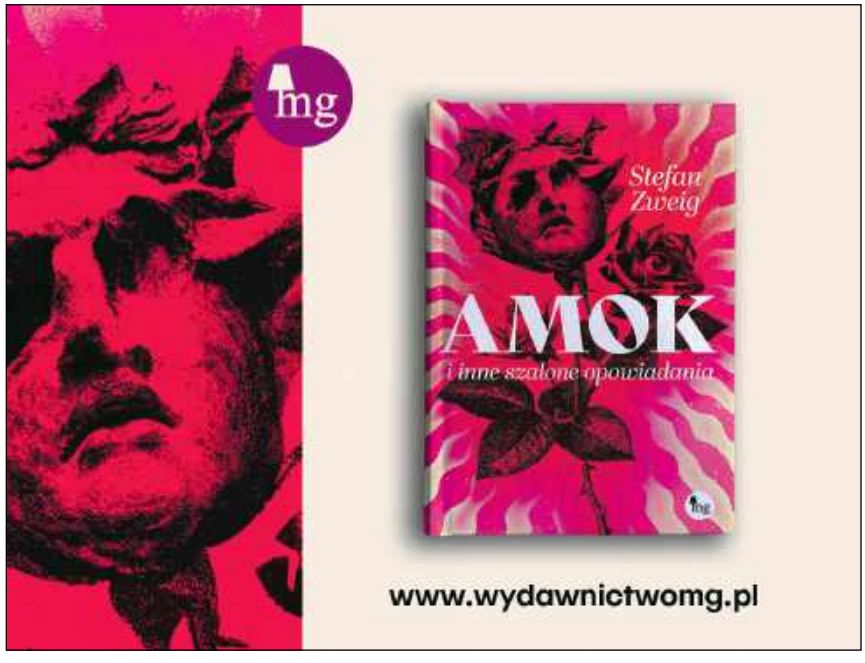
Ta historia wskazuje na coś jeszcze. Nie ma zdrowej demokracji bez niezależnej i krytycznej prasy, która patrzy ludziom władzy na ręce.

Jerzy Hop zasiadł na ławie oskarżonych. Udowodniono mu oszukanie 65 firm. Wyłudził od nich w sumie ok. 1,7 mln zł. Złoty traci na wartości, więc dzisiaj byłoby to ok. 4 mln. Jak się okazało, Hop miał sfałszowaną pieczątkę. Przedsiębiorcy, przekonani, że sponsorują prokuraturę, dostawali fałszywe faktury.

Były prokurator apelacyjny został aresztowany. Jeden z biskupów bez skutku usiłował go stamtąd wydostać. Sąd wydał wyrok – osiem lat więzienia. Za kratami Hop był trzeźwy. Pisał pisma procesowe innym osadzonym. Wreszcie robił coś pożytecznego.

Ta historia ma w sobie coś z mitu o Ikarze: wzniesienie się zbyt wysoko, upadek i śmierć. Ale wskazuje na coś jeszcze. Nie ma zdrowej demokracji bez niezależnej i krytycznej prasy, która patrzy ludziom władzy na ręce. Dziś jest z tym w Polsce coraz gorzej. Aferzyści pozywają społeczników i dziennikarzy, zarzucając im pomówienia, a sądy wydają wyroki skazujące. Kilka lat temu Parlament Europejski zauważył to niebezpieczne zjawisko. Zaapelował do krajów członkowskich o zmianę obowiązujących przepisów. W Polsce minister Bodnar obiecał, że to zrobi, ale obietnicy nie spełnił.

Mateusz Cieślak



eprasa.pl 30e64a71d6

Robimy to, co najważniejsze dla pacjentów

Zależy mi na czytelnym systemie i na tym, żeby każdy umiał się w nim sprawnie poruszać

Rozmawia Beata Igielska



JOLANTA SOBIERAŃSKA-GRENDA
– doktor nauk społecznych, prawniczka i urzędniczka samorządowa, prezes zarządu spółki Szpitale Pomorskie (2017-2025), minister zdrowia w trzecim rządzie Donalda Tuska (od 2025).

Dokąd płynie łódź zwana Ministerstwem Zdrowia? My – pacjenci, dziennikarze – mamy poczucie chaosu. Wrażenie, że ministerstwo nie tylko nie rozwiązuje problemów systemu, ale coraz częściej samo staje się ich źródłem. Na przykład są problemy z płynnością finansową rządowego programu in vitro.

– Program in vitro ma płynność finansową. Sprawdzaliśmy jego efektywność, skuteczność, wskaźniki jakościowe. Bardzo nam na tym programie zależy. Dzięki niemu urodziło się już 10,5 tys. dzieci. W 2025 r. przeznaczyliśmy na jego finansowanie 600 mln zł, a w 2026 r. budżet został utrzymany na tym samym poziomie. Podział środków na 2026 r. jest powiązany z efektami leczenia oraz poziomem wydatkowania dotacji, a co za tym idzie – potencjałem realizatorów w roku poprzednim. Podobnie jak w ubiegłym roku ośrodki mogą występować o dodatkowe finansowanie, jeśli wykażą większe zapotrzebowanie. Kryteria są jednakowe dla wszystkich, nie jest to mechanizm uznaniowy. Na razie rozdysponowaliśmy 509 mln zł, więc do dyspozycji pozostaje jeszcze 90 mln zł. Wierzę, że dzięki rządowemu programowi będzie coraz więcej ciąż.

Pytałam o chaos w Ministerstwie Zdrowia. Rozumiem, że powyższą odpowiedzią uspokaja pani, że panujecie nad wszystkim?

– Kieruję resortem siedem miesięcy, a sektor ochrony zdrowia ma przed sobą wiele wyzwań. Dzięki temu, że mam wokół siebie osoby doświadczone w zarządzaniu, mamy uchwycone strategiczne wątki, ważne z punktu widzenia pacjentów. Pierwsze miesiące w Ministerstwie Zdrowia poświęciłam na identyfikowanie wyzwań, które są najpilniejsze, i nadałam im priorytety. Zachęcamy interesariuszy i podmioty lecznicze do patrzenia na zmieniającą się demografię i wyzwania w związku ze starzejącym się społeczeństwem. A to jest zawsze dłuższy proces. Przychodząc tutaj, mówiłam, że ważne dla mnie jest, żebyśmy nie wzbudzali niepotrzebnego niepokoju wśród pacjentów. Zależy mi na czytelnym systemie i na tym, żeby pacjenci umieli sprawnie się w nim poruszać.

FOT. MINISTERSTWO ZDROWIA

eprasa.pl 30e64a71d6

Które to są „wątki strategiczne dla pacjenta”?

– Na pewno dziś jest to e-rejestracja. Widzimy, że zadziałała w pandemii, że możemy zapanować nad odwoływanymi wizytami, zarządzać czasem. To jest powiązane z profilaktyką. A właśnie na tym polu mamy najwięcej do odrobienia w stosunku do innych krajów europejskich. Chodzi o stworzenie przyjaznego systemu profilaktyki z łatwym dostępem do badań. Potrzebna jest edukacja, bo profilaktyka jest bardzo ważna. To nasz duży priorytet.

Dzięki programowi in vitro urodziło się już 10,5 tys. dzieci. W 2025 r. przeznaczyliśmy na jego finansowanie 600 mln zł. W 2026 r. budżet jest na tym samym poziomie.

Ważne jest dla nas również profilowanie podmiotów leczniczych zgodnie z potrzebami pacjentów. Tworzymy różnego rodzaju zachęty, ale decyzje na temat konkretnych zmian muszą zapadać po dyskusjach w regionach i to jest dla mnie priorytet, z którym przyszłam do ministerstwa.

„Regiony” przyjechały pod gmach MZ. Mówię o proteście dyrektorów szpitali. Frekwencja nie była wprawdzie taka, jakiej oczekiwano, ale głos dyrektorów był słyszalny. Macie więc kłopoty z dogadaniem się.

– Rozumiem emocje towarzyszące dyrektorom, bo doświadczyłam podobnych 15 lat temu, kiedy zmienialiśmy szpitale na Pomorzu. Widziałam u siebie w regionie, że mamy dużo szpitali, że konkurują między sobą, że mamy problemy finansowe, że nie wiadomo, co nas czeka za 5-10 lat, bo zmienia się demografia, społeczeństwo się starzeje. Było sporo nerwów. Nie było łatwo przekonać wszystkich do zmian, ale dziś z satysfakcją mogę powiedzieć, że się udało.

Protest przed ministerstwem dotyczył szpitali powiatowych, które już dzisiaj mogą np. przeprofilować się zgodnie ze zmianami potrzeb pacjentów w kierunku opieki długoterminowej i geriatrycznej. Do szpitali powiatowych trafiły środki z KPO i z Funduszu Medycznego. Za kilka miesięcy, kiedy będą się kończyły realizowane teraz inwestycje z KPO, zyskamy w szpitalach powiatowych 134% dodatkowych łóżek opieki długoterminowej, a w zakładach opiekuńczo-leczniczych 540% łóżek geriatrycznych.

Spotykałam się ze Związkiem Powiatów Polskich, z dyrektorami, starostami. Byłam w Pszczynie przy podpisaniu porozumienia o współpracy pomiędzy kilkoma powiatami, by usprawnić opiekę nad pacjentami. Najprawdopodobniej powstanie tam konsorcjum. Była u mnie pani dyrektor szpitala w Bartoszycach z panią starostą. Rozmawiałyśmy, jak wyjść z trudnej sytuacji finansowej szpitala. Była grupa dyrektorów szpitali powiatowych z Podlasia, przedstawiciele z Podkarpacia. W każdym regionie świadczenia układa się trochę inną metodą. Dla mnie liczy się, że przyjeżdżają, rozmawiają, widzą potrzebę zmian. Te rozmowy są trudne, bo dotykają sfery bardzo wrażliwej społecznie. Bezpieczeństwo pacjentów to nasza wspólna odpowiedzialność – moja, urzędników Ministerstwa Zdrowia, samorządowców, czyli właścicieli szpitali, dyrektorów szpitali i personelu medycznego. Pracujemy również nad Krajowym Planem Transformacji i chcemy w wakacje rozpocząć rozmowy w regionach, jak go wdrożyć.

Pani minister, nie czarujmy się, w proteście dyrektorów szpitali chodziło głównie o zabezpieczenie środków na podwyżki dla medyków. Nowelizacja ustawy podwyżkowej jest pilna. Jeżeli natychmiast nic nie zrobicie, może się okazać, że popłyną nie tylko szpitale powiatowe, lecz także specjalistyczne.

– Ustawa podwyżkowa rozgrzewa emocje wszystkich od dawna. Część postulatów w czasie protestu dyrektorów szpitali powiatowych dotyczyła wydzielenia pieniędzy na podwyżki dla personelu. To żadna wiedza tajemna, że na zespole trójstronnym reprezentujemy stanowisko, które jest popierane przez Związek Województw i Związek Powiatów, o przesunięcie wejścia w życie nowych podwyżek na 1 stycznia i zmianę wskaźnika waloryzacji, by był on bardziej zbliżony



eprasa.pl 30e64a71d6

do tego w innych zawodach sektora publicznego. Na wniosek strony związkowej termin kolejnego zespołu trójstronnego został przesunięty na 16 marca. Jeśli nie będzie chęci do rozmów na ten temat, to być może podwyżki faktycznie wejdą od 1 lipca.

Jeżeli rzeczywiście podwyżki dla medyków wejdą od 1 lipca, to szpitale powiatowe nie popłyną?

– Co roku jest rekomendacja Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji (AOTMiT) i w tym również taka będzie. Na zespole trójstronnym komunikowaliśmy, że według naszych szacunków na podwyżki od 1 lipca będzie potrzebna kwota 4,5 mld zł. Jednocześnie pani minister Kęcka wraz z zespołem pracuje nad kwalifikacjami poszczególnych grup zawodowych. Dyrektorzy szpitali oczekują jasnych kryteriów przyznawania podwyżek poszczególnym grupom zawodowym. Ich brak np. w grupie pielęgniarskiej spowodował wiele spraw sądowych. Zarówno dla pracodawcy, jak i pracownika to trudne sytuacje. Te zmiany mają im zapobiec.

Plany to na pewno dalsza rozbudowa systemu e-rejestracji. Od 1 lipca pacjenci znajdą tam dodatkowe osiem porad specjalistycznych.

Jest kryzys finansowy w programach lekowych. Szpitale skredytowały NFZ na 850 mln zł, opłacając te programy z zeszłego roku. Zapowiedziała pani dodatkowe 4 mld zł dla NFZ, z czego powyższa kwota ma pójść na zapłatę za programy lekowe. Nowi pacjenci mają problem – jest ich więcej, niż planowano w umowach szpitali z funduszem. Klinika Reumatologii i Układowych Chorób Tkanki Łącznej Szpitala Uniwersyteckiego Nr 2 im. dr. Jana Biziela w Bydgoszczy wstrzymała wydawanie drogich terapii lekowych ze względu na znaczne przekroczenie limitów zakontraktowanych przez NFZ. Za tym kryją się ludzkie dramaty.

–To jest akurat szpital, który niedawno odwiedziłam. Klinika nie wstrzymała realizacji terapii lekowych. Wszyscy pacjenci objęci programem lekowym mają zagwarantowaną pełną i nieprzerwaną kontynuację leczenia.

Obecna sytuacja dotyczy wyłącznie nowych pacjentów, którzy spełniają kryteria kwalifikacji do programu lekowego, jednak nie otrzymali jeszcze pierwszej dawki leku. Dlatego szpital wystąpił do Narodowego Funduszu Zdrowia o zabezpieczenie dodatkowego finansowania na ten cel. Znam zarządzających szpitalem Biziela i NFZ w województwie kujawsko-pomorskim. Wiem, jak ważne jest dla nich dobro pacjentów. Jestem pewna, że te rozmowy zakończą się sukcesem.

Za kilka miesięcy zyskamy w szpitalach powiatowych 134% dodatkowych łóżek opieki długoterminowej, a w zakładach opiekuńczo-leczniczych 540% łóżek geriatrycznych.

Co z 1 mld zł z Funduszu Medycznego na pomoc szpitalom, które chcą zmienić profil leczenia? Co z pożyczkami dla szpitali z Banku Gospodarstwa Krajowego?

– Wszystkie nasze spotkania z samorządowcami miały na celu zdiagnozowanie, na co oni i dyrektorzy szpitali chcieliby przeznaczyć te środki. Ten 1 mld z Funduszu Medycznego może być wydany na infrastrukturę oraz na zakup sprzętu. W tej chwili mamy już projekt uchwały Rady Ministrów ustanawiający program inwestycyjny, na podstawie którego będzie można ogłosić konkurs. Myślę, że zostanie on ogłoszony w tym półroczu. Natomiast pożyczki są jeszcze przedmiotem ustaleń pomiędzy Ministerstwem Finansów, Ministerstwem Zdrowia i Bankiem Gospodarstwa Krajowego. Ustalamy, według jakich kryteriów je przyznawać i jak później sprawdzać, czy są wykorzystywane zgodnie z programami naprawczymi.

Ogłaszamy również konkurs na szkolenia dla menedżerów z przygotowywania programów naprawczych, by z sukcesem wdrażali procesy reorganizacyjne. Są to zatem pieniądze także na rozwój umiejętności miękkich, niezwykle ważnych przy takich procesach, o czym często się zapomina. Zależało nam, żeby to wszystko współgrało, więc może dlatego czas wydaje się długi, ale był nam potrzebny na skoordynowanie wszystkiego. Wpływają do nas pytania o umorzenia – mamy już poduszkę asekuracyjną przy ewentualnych reorganizacjach: 50% płatności jeszcze przez dwa lata. To był postulat dyrektorów szpitali, ponieważ w poprzednim stanie prawnym mieli obawy, że podejmą decyzję o przekwalifikowaniu oddziału i nagle zabraknie im środków, żeby przejść przez reorganizację. Ten mechanizm osłonowy powinien wspomóc dyrektorów w odważnych decyzjach.

A co z wycenami niektórych świadczeń medycznych? Czy wystarczy być na bieżąco zarówno z NFZ, jak i z AOTMiT, jak pani deklaruje, i pieniądze się znajdują?

– W AOTMiT toczą się prace nad urealnianiem wycen zgodnie z przyjętym planem taryfikacji. W 2025 r. wzrosły wyceny świadczeń, m.in. o 13,8% w neurologii, w ginekologii o 20,9% i w rehabilitacji leczniczej o 14,4%. Największymi beneficjentami tych zmian były szpitale powiatowe. Korekty dotyczą też świadczeń, których wycena znacznie przewyższa realne koszty. Są więc zmiany w chirurgii kręgosłupa – o 13,5% i ablacji zaburzeń rytmu serca – o 15,5%. W dalszej kolejności AOTMiT zajmie się weryfikacją wycen w położnictwie i patologii ciąży oraz chorobach płuc.

NFZ nie uregulował dotychczas ok. 8 mld zł należności za świadczenia udzielone w ubiegłym roku.

eprasa.pl 30e64a71d6

– To na pewno nie jest 8 mld zł, tylko mniej, bo NFZ do ostatniego dnia pracował, aby w jak największej skali rozliczyć świadczenia z 2025 r. Datą graniczną jest 20 lutego. Dyrektorzy placówek medycznych doskonale o tym wiedzą, to nie jest żadna tajemnica. Po tym dniu wiemy już, za ile świadczeń fundusz musi zapłacić z tegorocznego budżetu: 1,6 mld zł nadwykonań nielimitowanych i ponad 1 mld zł za nadwykonania w lekach i w programach lekowych. Te nadwykonania NFZ opłaci w 100%, dzięki 4 mld zł przekazanym przez Ministerstwo Zdrowia.

Co z centrami zdrowia psychicznego?

– W tym roku pilotaż został przedłużony. Pani minister Kęcka ma za zadanie wypracować z ekspertami model docelowy. Stoimy na stanowisku, że centra zrobiły dużo dobrego w psychiatrii. Przeznaczyliśmy na nie 10 mld zł, ale chcielibyśmy mieć pewność, że te środki faktycznie zwiększają dostępność do kompleksowej opieki psychiatrycznej w modelu środowiskowym we wszystkich miejscach, gdzie centra działają. Środki na ten rok zabezpieczamy.

Żadnych problemów więc nie będzie?

– Wdrożenie nowego modelu opieki psychiatrycznej jest wyzwaniem. Współpracujemy z konsultantami krajowymi i środowiskiem. Zdrowie psychiczne to nie tylko problem naszego kraju. Od ministrów zdrowia w Europie słyszę, że wszyscy borykamy się z koniecznością zapewnienia opieki psychiatrycznej rosnącej liczbie potrzebujących.

To będą te centra zdrowia psychicznego czy nie?

– Będą, natomiast ich działalność musi być zmodyfikowana, bardziej dostosowana do aktualnych potrzeb zdrowotnych. Trzeba wybrać najlepsze przykłady w Polsce i zastosować je we wszystkich centrach. Na tym polega pilotaż.

Co ze zdrowiem kobiet? Fundacja Rodzić po Ludzku, FEDERA i Feminoteka źle zareagowały na odwołanie Dagmary Korbasińskiej-Chwedczuk, która odpowiadała m.in. za przywrócenie refundacji procedury in vitro. Słychać głosy, że kompetentna urzędniczka została odwołana z powodu braku porozumienia z wiceminister Katarzyną Kęcką.

– Jestem przekonana, że pani Magdalena Kramska, która przejęła obowiązki dyrektorskie w Departamencie Równości w Zdrowiu po pani Dagmarze Korbasińskiej-Chwedczuk, poradzi sobie z tymi tematami równie dobrze. Zapewniam, że zdrowie kobiet jest w centrum naszego zainteresowania.

W 2025 r. wzrosły wyceny świadczeń, m.in. o 13,8% w neurologii, w ginekologii o 20,9% i w rehabilitacji leczniczej o 14,4%. Najwięksi beneficjenci zmian to szpitale powiatowe.

Trzymam za słowo. A czy uważa pani za dobry pomysł komunikowanie się ze społeczeństwem za pomocą rolek? Wolelibyśmy konkret, a nie uśmiech z rolki. A ponieważ Ministerstwo Edukacji robi tak samo, pojawiają się głosy, że to z myślą o przyszłych wyborach parlamentarnych.

– Komunikacja musi być wielokanałowa. Dziennikarze dostają ode mnie konkretne dane, projekty ustaw i odpowiedzi na pytania, ale miliony ludzi czerpią dziś informacje z mediów społecznościowych. Dla mnie każda forma dotarcia jest dobra, jeśli dzięki niej więcej osób przekonamy do korzystania z e-rejestracji czy do profilaktyki, bo to dla nas zadanie priorytetowe.

A jeszcze co do komunikacji ze społeczeństwem: czy w tak nabrzmiałej od problemów rzeczywistości dobrym pomysłem było spotkanie w ministerstwie z Ewą Chodakowską, influencerką od cateringów dietetycznych?

– Przede wszystkim to było spotkanie z ministrem sportu i z minister edukacji. W ten sposób zainaugurowaliśmy międzysektorowe działanie, jeżeli chodzi o popularyzację zdrowych nawyków żywieniowych i aktywności fizycznej. Pani Ewa Chodakowska została zaproszona przez panią wicemarszałek Sejmu Monikę Wielichowską, bo dzięki swoim zasięgom w sieci propaguje aktywny styl życia. Do podobnych działań zapraszamy lekarzy, autorytety, konsultantów. Odbyło się również spotkanie z panem Wojciechem Balczunem, ministrem aktywów państwowych. Chcemy zachęcić spółki skarbu państwa, żeby na swoich nośnikach zamieszczały informacje o profilaktyce. Wszyscy powinniśmy być zadowoleni, że zdrowie urasta do priorytetu nie tylko w Ministerstwie Zdrowia. Im więcej będzie takich działań komunikacyjnych, tym lepiej dla pacjentów. W Szpitalach Pomorskich wychodziliśmy na dożynki, do marketów, na biegi uliczne, na plaże. Tak można dotrzeć do pacjentek i pacjentów i zachęcić do badań profilaktycznych, dzięki którym można wychwycić jakieś nieprawidłowości w odpowiednim momencie, a docelowo wyrobić nawyk badań profilaktycznych.

Podsumujmy: jakie ma pani plany na najbliższe pół roku? Jak pani wspomniała, społeczeństwo się starzeje, kolejki rosną, opóźnienia diagnostyczne sprawiają, że czasem dla pacjentów bywa za późno... Właśnie znajomej pękła pierś, bo tak długo trwała diagnostyka.

– Plany to na pewno dalsza rozbudowa systemu e-rejestracji. Od 1 lipca pacjenci znajdą tam dodatkowe osiem porad specjalistycznych. Chciałabym też, żebyśmy ruszyli z 1 mld zł z Funduszu Medycznego, żeby zadziały się profilowanie podmiotów w regionach i reorganizacja łóżek. Mam nadzieję, że mocno do przodu pójdziemy z profilaktyką. Trwają rozmowy z panią konsultant ds. radiologii, jak możemy usprawnić proces diagnostyki. Po miesiącach funkcjonowania Krajowej Sieci Onkologicznej pracujemy nad tym, żeby pacjenci onkologiczni mogli mieć skróconą ścieżkę badań diagnostycznych. To wszystko się dzieje. Jestem pewna, że efekty będą niebawem widoczne.

Beata Igielska

eprasa.pl 30e64a71d6

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Dwie Polski

Otrzymaliśmy książkę niezwykłą. „Powstańców. Marzycieli i realistów" Mirosława Maciorowskiego czyta się z dreszczem na plecach, czasem (wyznajmy to) ze łzami w oczach. Pedagogika wstydu czy pedagogika dumy? Historyk, który kiedyś ukuł te pojęcia, w ogóle nie powinien być historykiem. A w tej książce jest wszystko, co być powinno: nic nie zostało przemilczane. Choć występują tu także czarne karty polskiej historii, to przecież dominuje empatia. Nawiązuje się solidarność z naszymi przodkami, pojawia się świadomość bezwyjściowości sytuacji, w której tak często się znajdowali. Niby to wszystko (no, prawie wszystko) wiemy, a jednak panorama od Tadeusza Kościuszki do Lecha Wałęsy ukazuje istotę polskiego losu. Dziś możemy pytać, czy istniejąca od 36 lat III Rzeczpospolita ma już byt pewny, międzynarodowo zagwarantowany. Ruchy tektoniczne, których widownią jest teraz nasza cywilizacja, nie mogą się nie kojarzyć z procesami końca XVIII w. Wtedy przyniosły zagładę polskiej państwowości. A dziś?

Łatwo było stracić niepodległość, trudno było potem ją odzyskać. Tak, polscy powstańcy grzeszyli naiwnością. Na kim i na czym opierali rachuby? Jakiego sojusznika mieli skaptowanego? Czyje otrzymali gwarancje? Ich działania, tak bardzo życzeniowe, naiwne, czasem wręcz dziecinne, były jednak świadectwem jakiejś nieprawdopodobnej determinacji, duchowej siły, wobec której jedyną reakcją wnuków może być tylko pochylenie czoła. A przy tym tamtych ludzi, tak często składających ofiarę z własnego życia, warto porównać z dzisiejszymi „antykomunistami", którzy im są młodsi, tym bardziej cierpią od ran zadanych im 45 lat temu przez gen. Jaruzelskiego.

Maciorowski występuje w tej książce w trzech rolach. Najpierw w roli prostaczka, pytającego o rzeczy elementarne. Zaraz potem w roli partnera – pełnoprawnego uczestnika dyskursu, fachowo uzupełniającego to, czego rozmówca nie powiedział. Rola trzecia – to jego encyklopedyczne „okienka", które obraz dodatkowo objaśniają. Układają się więc te rozmowy w rodzaj popularnej syntezy historii Polski ostatnich dwóch stuleci. Mamy dzieło, którego społeczną rangę można zestawiać tylko z cyklem Pawła Jasienicy.

A czegóż to historycy tu nie opowiadają! Oto twórca Legionów, gen. Jan Henryk Dąbrowski. Lepiej mówił po niemiecku niż po polsku, był targowiczaninem, na którego polscy patrioci wydali wyrok śmierci. Oto powstanie listopadowe. W jego trakcie – mówi prof. Norbert Kasparek – „śmierć poniosło 15 na 116 walczących w nim polskich generałów, ale na polu bitwy – tylko czterech. Reszta zginęła z bratniej ręki". Z jednej strony, widzimy mrówczą pracę wielkopolskich organiczników, o której opowiada jej wybitny znawca, dr Marek Rezler. Z drugiej, czytamy o Warszawie „jak Masada", czyli rozmowę z prof. Barbarą Engelking. Oba rozdziały – tak kompletnie przecież różne – uświadamiają, ileż to spraw, które powinny być w centrum polskiej tożsamości, znajduje się faktycznie na jej uboczu. Rewelacją jest rozmowa, jaka na temat powojennej partyzantki została przeprowadzona z prof. Rafałem Wnukiem. Akcentując zbrodniczy charakter działań Józefa Kurasia „Ognia" czy Romualda Rajsa „Burego", o Stanisławie Sojczyńskim „Warszycu" Wnuk mówi już tak: „Chłopski syn, inteligent w pierwszym pokoleniu, idealista. (…) Bliżej mu było do Gwardii Ludowej czy Armii Ludowej niż do Narodowych Sił Zbrojnych, które traktował jako wielkie zło". Oto polskie losy. Nie ukaże nam ich IPN.

> Ileż to spraw, które powinny być w centrum polskiej tożsamości, znajduje się faktycznie na jej uboczu.

Bo też te opowieści historyków układają się w coś jeszcze innego: w kontrapunkt „dwóch Polsk": liberalnej i nacjonalistycznej. Podział ten decydował o obliczu Dwudziestolecia, ujawniał się w czasie okupacji, głęboko różnicował – jak widać – nawet mitycznych „wyklętych". Tym bardziej więc był obecny w PZPR (skądinąd żal, że brak w książce rozmowy o tej partii). No i był w Solidarności. Trudno nie widzieć, że istnieje – i to jak! – również dzisiaj.

Zarazem opowieści te realizują podstawową regułę historiografii, która zawsze każe wypowiadać magiczne słowa: „tak, ale". Prof. Włodzimierz Mędrzecki, ukazawszy pełny obraz grzechów sanacji, na koniec mówi, pozornie tylko nieoczekiwanie: „Trzeba powiedzieć o piłsudczykach: dobrze, że byli". Otóż to: w Polsce zarażonej nacjonalizmem dobrze, że byli piłsudczycy, wywodzący się, było nie było, z niepodległościowego socjalizmu. Jaka mogła być dla nich alternatywa?

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 30e64a71d6

Wojny zupełnie innego świata

Czołg w walce z dronem nie ma szans

Rozmawia Robert Walenciak



WOJCIECH ŁUCZAK
– analityk obronności, ekspert ds. wojskowości

Czy już wiemy, jak zginął duchowy przywódca Iranu Ali Chamenei? Jaką rakietą zniszczony został schron, do którego się udał?

– Tak samo jak w Caracas w przypadku Alego Chameneiego podstawą udanego ataku musiało być doskonałe rozpoznanie. Wywiady izraelski i amerykański od miesięcy śledziły szlaki jego i jego sztabu. Uderzenie nastąpiło, gdy zebrali się w jednym miejscu, pewnie dość sekretnie wybranym. Skończyło się zrzuceniem ładunku precyzyjnego, który trafił dokładnie w środek. Można domniemywać, że był to dużego wagomiaru ładunek termobaryczny, czyli paliwowo-powietrzny, który działa w ten sposób, że rujnuje wszystko w promieniu 500 m i nawet jeśli ktoś przeżył pierwsze uderzenie, to i tak zginął na skutek rozpadu płuc.

Przebiją wszystko

No ale oni podobno byli w jakimś schronie, więc...

– Nie ma to dzisiaj żadnego znaczenia. Są pociski, które docierają 8 m w głąb podłoża. Każdego – skalistego, nieskalistego. Nie chcę się wgłębiać w szczegóły techniczne, ale te pociski mają przyśpieszacze rakietowe, które pozwalają dotrzeć bardzo głęboko, drążyć coś, co jest ukryte w skałach. Nad tym pracują wszyscy. Niedawno Chińczycy przeprowadzali doświadczenia na pustyni Gobi, jak głęboko dotrze zrzucony prawie z kosmosu rdzeń penetrujący bez ładunku wybuchowego. Lej był imponującej głębokości.

Po co robiono ten eksperyment?

– Jesteśmy w tej chwili świadkami zaostrzonego wyścigu zbrojeń, którego cel to uzyskanie broni hiperdźwiękowej, kinetycznej. Wyobraźmy sobie: kawałek metalu, który spada z prędkością ponad 10 Ma (czyli ponad 10 razy prędkość dźwięku). Wystarczy masę pocisku pomnożyć przez jego prędkość do kwadratu i podzielić na połowę, a otrzymamy kinetyczną energię niszczącą. Znamy jej skutki. Pół roku temu, w czasie wojny 12-dniowej, takie irańskie pociski spadły na Izraelczyków, co najmniej jeden trafił w okolicy Hajfy. Wiem z bezpośrednich relacji, że spustoszenia były straszne. Irańczykom udało się zbudować dość prymitywny manewrujący pocisk szybujący, taki erzac broni kinetycznej. Ale zrobił wrażenie nawet na Izraelczykach.

Chodzi o to, żeby coś przemieszczało się z prędkością do tej pory niedostępną, żeby przeciwnik, nawet na drugim końcu świata, nie miał czasu na reakcję i obronę.

Prezydent Putin chwali się bronią hipersoniczną.

– Rosjanie dwukrotnie użyli podobnej broni przeciw Ukrainie. Był to system znany jako Oriesznik, czyli „leszczynowa witka" do chłostania opornych. Ale odpalali także ich zdaniem hiperdźwiękowe Kindżały i Cyrkony. W przypadku tych dwóch obrońcy udowodnili, że potrafią sobie z nimi jakoś poradzić. Na Oriesznika nie ma na razie antidotum.

eprasa.pl 30e64a71d6

Chyba że wynoszącą go rakietę zniszczymy we wstępnej fazie lotu lub podczas przygotowania do startu, na wyrzutni. Rosjanie w 2024 r. zaatakowali Oriesznikiem zakłady w Dnipro, a drugi raz użyli go w styczniu br. w odpowiedzi na rzekomy atak dronów na rezydencję Putina; zaatakowali wtedy lotnicze zakłady remontowe we Lwowie. I w jednym, i w drugim przypadku z nieba spadło 36 głowic, kawałków metalu o masie kilkudziesięciu kilogramów. Bez materiałów wybuchowych – a mogły zawierać miniaturowe ładunki jądrowe. Był to więc pokaz siły. Ale i tak z uwagi na ogromną prędkość zderzenia z ziemią możemy sobie wyobrazić zniszczenia. Ukraińcy skrzętnie unikają publikacji oceny strat spowodowanych przez te dwa Oriesznik.

Wlecą w dowolne okno

Te pociski są kierowane?

– I Rosjanie, i Irańczycy twierdzą, że udało im się przeskoczyć niesłychanie trudny problem kierowania pierwszymi, ich zdaniem, pociskami hiperdźwiękowymi. Ja w to nie wierzę. Tak zwany autobus Oriesznika, czyli ta część, która niesie te 36 kawałków metalu czy imitacje głowic, ma możliwość niewielkiej korekty toru lotu, ale nie jest to definicja swobodnego manewrowania wypuszczonymi już głowicami, tak żeby zmyliły obronę antyrakietową. Chińczycy na defiladach pokazują swoje pociski, deklaratywnie hiperdźwiękowe, do zwalczania amerykańskich lotniskowców. Szybująca z ogromną prędkością część atakująca ich systemu ma podobno zdolność manewrowania i dezorientowania obrony. Podobno. Amerykanie są w tej materii na początku drogi rozwojowej. Natomiast inne rodzaje broni rakietowej użyte przeciwko Iranowi – nieosiągające prędkości hiperdźwiękowych – mają możliwość precyzyjnego sterowania torem ich lotu. Chciałbym przypomnieć, że w pierwszej wymianie ciosów między Izraelem a Iranem, w wojnie 12-dniowej, doszło do trafienia człowieka, który wyszedł do toalety. W taki sposób, że został zabity precyzyjnym trafieniem w tę część ściany budynku, za którą była ta toaleta. Dziura w ścianie, a budynek jak nieruszony.

To jest trend światowy? Rosjanie też tak działają?

– Rosjanie w Ukrainie przeszli etap od zrzucania kawałków metalu wypełnionych dużą ilością materiału wybuchowego do broni, która szybuje i jest zrzucana kilkadziesiąt kilometrów od linii frontu, z odległości, która wyklucza obronę przeciwlotniczą. Bomby są uwalniane z samolotu, rozprostowują swoje płaty nośne i szybują na odległość 50-70 km, a w ostatniej części lotu są precyzyjnie naprowadzane za pomocą wiązki laserowej emitowanej czasami z ziemi. Przez walczących żołnierzy. To jest właśnie ta ewolucja uzbrojenia w kierunku broni coraz bardziej precyzyjnej. Kiedyś atakowało się masą bomb i masą materiału wybuchowego. Efekt, który kiedyś przynosił atak 10-20 samolotów, dziś można osiągnąć jednym samolotem z pociskiem kierowanym. Dzisiaj bomby kierowane przenoszone są na pylonach pod skrzydłami samolotu i mają własne czujniki. Pod tym samym samolotem jest też zamontowana stacja podświetlająca cel i ku temu celowi kierują się bomby. Są jeszcze inne metody…

Jakie?

– Ukraińcy dostali również precyzyjne pociski, zachodnioeuropejskie. Niemcy obiecali Kijowowi swoje Taurusy, które stały się bronią odstraszania Korei Południowej. Nie amerykańskie, tylko europejskie. Okazuje się, że Europejczycy nie są gorsi od Amerykanów, a nawet lepsi – bo francusko-brytyjskie pociski SCALP/Storm Shadow odpalane spod samolotów, na dystansie 500-700 km mogą trafić w dowolnie wskazane okno. Ukraińcy efektywnie zintegrowali je ze swoimi Su-24. W ten sposób wyeliminowano pewnego generała razem z jego sztabem armii, kilka okrętów i parę rosyjskich rafinerii.



Podpisanie umowy na dostawę 116 czołgów M1A1 Abrams dla Wojska Polskiego. Warszawa, 4 stycznia 2023 r.

Do końca są precyzyjnie kierowane

Kieruje tym pociskiem samolot czy satelita?

– To jest drugi system, który można zastosować. Dzisiaj za pomocą rozpoznania satelitarnego można precyzyjnie wskazać pociskowi obiekt, w który ma trafić. Mało tego, można zmapować z orbity drogę podążania i to jest istota kierowania pocisków manewrujących, takich jak Tomahawk. Chciałbym przypomnieć, że dzięki SAFE będziemy partnerem w programie nowego pocisku, całkowicie europejskiego, nie amerykańskiego, który będzie nowocześniejszy od amerykańskich Tomahawków. Ta

eprasa.pl 30e64a71d6

rakieta ma zastąpić system SCALP/Storm Shadow i będzie miała zasięg powyżej 1 tys. km. Pocisk będzie korzystał z własnych układów nawigacji i naprowadzania, eliminując zależność od Amerykanów. To wygląda tak, że pocisk leci na małej wysokości, 10-30 m, a więc jest niezwykle trudny do wykrycia i zniszczenia, porównuje zapamiętaną rzeźbę terenu z tym, co widzi, i automatycznie koryguje swój lot do wyznaczonych celów. Są różne sposoby zapewniania coraz bardziej precyzyjnego trafienia. I coraz bardziej złożone.

Część nawiązuje do rozwiązań, które, wydawało się, odeszły na zawsze. Myślę o dronach prowadzonych za pomocą nici światłowodowych.

– To rozwiązanie, które obserwujemy w Ukrainie. Dron połączony jest ze stacją cieniutką nicią światłowodową, o grubości poniżej 1 mm. Dron leci, ta nić rozwija się za nim. Dzięki temu operator ma niezakłócony obraz działania, może dowolnie dronem sterować. Pole walki w Ukrainie jest usłane tymi nićmi, przypomina to gigantyczną pajęczynę. Tak też działają składane w Polsce, w Skarżysku-Kamiennej, izraelskie pociski przeciwpancerne Spike – podstawa naszej obrony przed czołgami.

Z tej łączności z dronem, odpornej na zakłócenia, korzystają obie strony?

– Zarówno Ukraińcy, jak i Rosjanie. Obie strony starają się zapewnić dostawy tych światłowodów dla swoich dronów, ściągają je z Chin, z Europy Zachodniej, także z Polski. Broń precyzyjna jest tym, co w ostatnich latach zrewolucjonizowało pole walki i jeszcze ważniejszą uczyniło zasadę: kto panuje w powietrzu, ten panuje nad polem walki. Można to panowanie zapewnić za pomocą środków załogowych, czyli samolotów, ale i bezzałogowych – co nastąpiło w Ukrainie. Na współczesnym polu walki pojazdy pancerne, nawet o masie 60 czy 70 ton, doskonale opancerzone i zaprojektowane do starcia przewidywanego w czasach zimnej wojny, są bezsilne. Wystarczy mały dron za kilkadziesiąt tysięcy dolarów, który spadnie z góry, i taki kolos jest przynajmniej obezwładniony.

Czołg w walce z dronem nie ma szans

Co nam pokazała wojna w Ukrainie? Jak się zmienił teatr działań bojowych w ciągu ostatnich czterech lat?

– Diametralnie się zmienił. Powiem o jednej rzeczy, która mną wstrząsnęła. Otóż w Estonii i w państwach bałtyckich odbyły się ostatnio natowskie ćwiczenia zimowe. Na te ćwiczenia przyjechało 10 ukraińskich operatorów dronów. I tych 10 żołnierzy w ciągu jednego dnia wyeliminowało jeden batalion Abramsów. Po prostu w ciągu jednego dnia to, co jest podstawą naszej pięści pancernej, zostało wyeliminowane. Ukraińcy mają w tej chwili nieocenione doświadczenie w prowadzeniu wojny wyglądającej zupełnie inaczej niż ta, do której NATO się przygotowywało. Nikt nie jest w tej chwili tak dobrze przysposobiony do walki na tym zrobotyzowanym, zautomatyzowanym, elektronicznym polu walki jak Ukraińcy. I, niestety, Rosjanie.

A my, z amerykańskimi Abramsami, które kupiliśmy za 4,7 mld dol.?

– Dzisiejsze czołgi czy pojazdy pancerne mają niewielkie szanse przetrwania na polu walki w warunkach ciągłej obserwacji, użycia sztucznej inteligencji do zdalnego rozpoznawania celów i automatycznego naprowadzania dronów. Czołgi w Ukrainie przypominają dziś klatki lub jeże – tak są zabezpieczane przed trafieniami bezzałogowców różnego typu. Te bezzałogowce rzucają się na czołg całymi rojami i są już tak doskonałe, że potrafią wśliznąć się pod tę siatkę i eksplodować. Ostatnie dwa lata wojny w Ukrainie doprowadziły do tego, że w piorunującym tempie odbywa się tam walka miecza z tarczą, nowego miecza z nową tarczą, i jeszcze raz.

Pierwszą rewolucją było wprowadzenie dronów atakujących sterowanych światłowodem – o tym już mówiłem. Jako odpowiedź wprowadzono drony kamikadze z własną sztuczną inteligencją, polujące na drony przeciwnika. A skala tych działań jest nieprawdopodobna – Ukraińcy do końca ubiegłego roku zamierzali wyprodukować 10 mln dronów. Ich masowa produkcja, rozrzucona po całej Ukrainie, zresztą podobnie jak w Rosji, rośnie w tempie po prostu niesłychanym.

Wyrzuciliśmy pieniądze w błoto

Czyli trafiliśmy jak kulą w płot, kupując za 4,7 mld dol. czołgi Abrams...

– Te koszty będą większe. Dziś nasze Wojska Lądowe wykorzystują siedem różnych typów czołgów podstawowych. Mamy kilka typów wozów wytwarzanych dawniej przez Bumar-Łabędy. Zmodernizowanych i nie. Poza tym kilka typów czołgów niemieckich, maszyny koreańskie, no i rzeczone amerykańskie Abramsy, różnych odmian. Jaka to skala rozbieżności serwisowych i jak pomnożone koszty eksploatacyjne – można sobie tylko wyobrazić. Powiedzmy otwarcie: politycy podejmujący decyzje zwykle pytają, ile to będzie kosztowało, mając na myśli cenę zakupu, która notabene w transakcjach bronią jest ZAWSZE mniej lub bardziej umowna. Realnie zawsze powinno się liczyć tzw. life cycle cost, czyli to, ile wydamy na całe życie danego pojazdu czy samolotu. To także koszt szkolenia załóg i personelu obsługowego, wydatki na remonty, na amunicję, na paliwo.

Efekt, który kiedyś przynosił atak 10-20 samolotów, dziś można osiągnąć jednym samolotem z pociskiem kierowanym.

Nie wiem, czy ktoś miał świadomość, że US Army już od 20 z górą lat starała się jakoś uporać z problemem ogromnej konsumpcji nafty lotniczej przez układ napędowy Abramsów. Tworzy go turbina gazowa, która potrafi spalić 1400 litrów na 100 km. Nie wiem też, czy liczono, że turbina gazowa Abramsów wymaga remontu, a to koszt około pół miliona dolarów. Trzeba ją wymontować,

eprasa.pl 30e64a71d6



Prezydent Nawrocki w bazie wojskowej w Ādaži, gdzie stacjonuje Polski Kontyngent Wojskowy na Łotwie, wchodzący w skład wielonarodowej grupy bojowej działającej w ramach Wzmocnionej Wysuniętej Obecności NATO. 11 grudnia 2025 r.

zapakować i przetransportować do Anniston w Alabamie. Na dodatek cały proces transportu, remontu turbiny i jej ponownego transportu do Polski pochłania mniej więcej 12 miesięcy. Podobno w latach 2028-2029 uzyskamy zdolność takich remontów w Polsce. Ale jak znam życie, trzeba będzie tę datę przesunąć do przodu. Bo tylko szaleniec pozbawia się monopolu remontowego, skoro klient kupuje bez warunków wstępnych. Stawiam otwarte pytanie, czy panom decydentom te fakty są znane.

A Abramsy na polu walki w Ukrainie?

– Ukraińcy sami, i to błyskawicznie, zaczęli doposażać oddane im Abramsy w doraźne konstrukcje zwiększające ich przeżycie w starciu z latającymi robotami. Bo jeśli nawet ten pojedynczy dron nie zniszczy czołgu w sensie fizycznym, tak że stanie się on dymiącym wrakiem, to wyeliminuje przyrządy optyczne, bez których czołg będzie tylko oślepioną masą metalu. Czy ktoś u nas czyta raporty Ukraińców podsumowujące walory i słabe punkty amerykańskich czołgów? Wnioski są proste i niemal zbieżne z tym, co Niemcy zaobserwowali 80 lat temu na ogromnych polach ukraińskich. Działając z zakrytych stanowisk, Abramsy paraliżowały ataki nieprzyjaciela, dopóki nie zostały wykryte przez bezzałogowce. Potem było gorzej.

Śmigłowce – w Ukrainie je masakrują

Do tych Abramsów dokupiliśmy jeszcze, za kolejne 10 mld dol., śmigłowce Apache…

– Zamówiliśmy 96 śmigłowców atakujących. Już rozpoczęto ich produkcję za oceanem. Akurat tak wyszło z planowania, że dwa garnizony, które mają dysponować śmigłowcami bojowymi, miały w czasach zimnej wojny po 48 śmigłowców. No to policzono, że ma być 96. Teraz się argumentuje, że mają one być częścią składową dwóch uderzeniowych dywizji zmechanizowanych, nr 16 i 18. Czyli kopiujemy wariant amerykański, że skoro Abramsy, to ich dopełnieniem mają być śmigłowce Apache. Tymczasem brakuje załóg. A okazało się, że organizacyjnie nie wiadomo, czy owe śmigłowce mają być częścią tych dywizji, czy, jak teraz, pięścią całego Lotnictwa Wojsk Lądowych. Problemy więc narastają, także te z hangarowaniem Apache'ów, bo przecież maszyny za miliardy dolarów nie będą stały w polu. Co więcej, teraz jakoś trzeba zapewnić już zamówionym Apache'om zdolność szybkiego przebazowania. A to wymaga dodatkowych śmigłowców – transportowych. I tak dalej… Wojskowi praktycy – generałowie – już bardziej otwarcie mówią, że 96 Apache'ów to nasze szaleństwo zapewniające przedłużenie pracy liniom montażowym w USA.

Na polu walki w Ukrainie śmigłowce bojowe, szturmowe takie jak Apache – rosyjskie Mi-24, Mi-28, Ka-52 – zostały błyskawicznie wyeliminowane z akcji i nie są na froncie bezpośredniego starcia stosowane. Po prostu doszło do ich masakry za pomocą coraz doskonalszych środków przenoszonych przez pojedynczego żołnierza. Jeśli się je stosuje, to w charakterze niszczycieli dronów. Tam, gdzie nie sięgnie ich z ziemi przeciwnik. Amerykanie ostatnio testowali Apache z nową rozpryskową amunicją do działka w takiej właśnie roli.

Czym masakrowano śmigłowce bojowe w Ukrainie?

– To są rakiety przeciwlotnicze odpalane z ramienia, o zasięgu do 5 km. Wśród różnych ich typów do najskuteczniejszych obecnie na świecie zaliczane są te produkowane w Polsce. Najpierw nasze Gromy, a teraz Pioruny okazały się nieprawdopodobnie skuteczną bronią do zwalczania śmigłowców. Są o wiele lepsze od rosyjskiej Wierby. Mogę ujawnić, że teraz rodzi się Piorun jeszcze doskonalszy. Amerykanie mają z tym problem, bo zlikwidowali produkcję słynnych z Afganistanu Stingerów, a nowe rozwiązania, na które liczy US Army, znajdą się w linii, no, może za pięć lat.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, OLEG MARUSIC/REPORTER, OLEG MARUSIC/REPORTER

eprasa.pl 30e64a71d6

Po co więc kupujemy śmigłowce, których nie będzie można wysłać na front, bo tam grozi im szybka zagłada?

– Nie widzę najmniejszego sensu w zakupie tylu śmigłowców bojowych za tak wielkie pieniądze. Pewien dobry polski generał ogłosił ostatnio otwarcie, że połowę skreśliłby z listy zakupowej. Powtórzmy: nad Ukrainą w rolę śmigłowców szturmowych wcieliły się latające roboty. I to o wiele skuteczniej, taniej i bez ryzyka utraty ludzkiej dwuosobowej załogi. Front zaś wygląda tak, że wojska rozdziela 30-, 40-kilometrowa strefa niczyja, strefa śmierci. Jest ona opanowana przez systemy bezzałogowe jednej i drugiej strony.

To jest wojna robotów

Dlaczego to jest strefa śmierci?

– Dlatego, że drony prowadzą ciągłe rozpoznanie. Ta ciągła obserwacja jest połączona z systemami analizy, które są automatyczne, oparte na supersprawności sztucznej inteligencji. Czas reakcji na ruch pojedynczego żołnierza, pojazdu i czegokolwiek jest więc minimalny. Wszystko, co w tę strefę wjeżdża, jest natychmiast atakowane. I masakrowane. Zaryzykowałbym twierdzenie, że zbliżamy się do epoki wojen toczonych wyłącznie przez bardziej lub mniej zaawansowane roboty. Latające, pełzające i pływające na wodzie i pod jej powierzchnią. Wysyłane przez jedną i drugą stronę. Przypomnę obrazki z Caracas, z porwania Madura. W tej operacji amerykańscy komandosi byli wyposażeni w hełmy jakby żywcem przeniesione z filmu „Predator". Relacje wystraszonych Kubańczyków z ochrony Madura, tych którzy ocaleli, dowodzą, że wystarczyło spojrzenie z tego hełmu, wyposażonego w czujniki, by w to miejsce natychmiast był kierowany dron bojowy. I następował wybuch.

Czy Polska jest przygotowana do współczesnej wojny?

– Chciałbym wierzyć, że wyciągniemy wnioski z tego, co się dzieje w Ukrainie. I że przestaniemy wreszcie traktować Ukraińców z góry, z pozycji wszechwiedzącego. Przeszli przecież twardy, krwawy egzamin, stawili skutecznie czoła potędze i akurat w materii wojennych doświadczeń i umiejętności to oni mogą uczyć nas. Panowanie w powietrzu za pomocą systemów załogowych i bezzałogowych, bez względu na to, jakie one będą, jest podstawą dzisiejszej wojny. Wojna w Ukrainie dlatego trwa tak długo, że ani jedna, ani druga strona nie uzyskała dominacji w powietrzu.

> 96 Apache'ów to nasze szaleństwo zapewniające przedłużenie pracy liniom montażowym w USA.

Czy Polska ma systemy antydronowe? Mówiło się, że do końca roku miał działać system SAN.

– Przypomnę, że za poprzedniego rządu bez przetargu kupiliśmy kilkanaście systemów, które według różnych opowieści i relacji z pierwszej ręki nie do końca spełniają swoje zadania. Mimo że od wielu lat Dowództwo Operacyjne WP organizowało testy różnych rozwiązań, także polskich, i są, oczywiście niejawne, protokoły z tych bardzo obiektywnych sprawdzianów. Nijak to się ma do tego, co poprzedni rząd nabył w trybie pilnej potrzeby operacyjnej. Krążyły pogłoski, że czymś antydronowym trzeba było błyskawicznie osłonić pierwszą baterię systemu Patriot na lotnisku w Sochaczewie. Teraz systemy antydronowe mają być zintegrowane w programie SAN, który ma powstać również dzięki funduszom SAFE. Moim zdaniem to wszystko będzie funkcjonowało jako system za parę ładnych lat. Owszem, wcześniej mogą działać części, fragmenty, platformy, ale budowa zintegrowanego układu systemów musi potrwać. A systemy dronowe ewoluują, zmieniają się. Jest to więc ciągły wyścig tarczy z mieczem. Przy czym miecz zawsze będzie tańszy od skutecznej tarczy.

Wszystko nas zaskoczyło

A stać nas na wyprodukowanie 1 mln dronów rocznie?

– A czy ćwiczymy ich użycie? Czy budujemy zdolność rozpoznania celów z kosmosu? Do niedawna szkoła dęblińska wypuszczała ze stosownym dyplomem kilkunastu magistrów oficerów-pilotów systemów bezzałogowych. A do skutecznych operacji potrzebowalibyśmy ich tysiące. Dziś ukraińskie i rosyjskie bataliony mają własne organiczne pododdziały wsparcia latających robotów. Więc owszem, stać nas na wyprodukowanie miliona dronów, a nawet dużo więcej. Natomiast stanęliśmy wobec takiego wyzwania, że zaskoczyła nas wojna zupełnie nowego typu, która cały czas ewoluuje, i zaskoczyło nas, że to, na co stawialiśmy – traktaty, układy, prawo międzynarodowe, sojusze – powoli przestaje być rękojmią bezpieczeństwa.

A co tą rękojmią się staje?

– Potencjalne szachowanie przeciwnika możliwością użycia druzgocącej siły. A to nastąpi wtedy, gdy przeciwnik będzie wiedział, że możemy mu wyrządzić niesłychane szkody, np. trafiając w dowolne okno w pewnej stolicy. Dlatego ze zdziwieniem przyjąłem informację, że kupimy okręty podwodne, ale takie, które nie będą miały możliwości uderzeń rakietami manewrującymi. Dla mnie to niezrozumiałe, dlatego że sens istnienia polskiej floty podwodnej opiera się na tym, że byłaby to nasza polisa ubezpieczeniowa, odstraszająca na wypadek czegokolwiek. Ale nasze przyszłe okręty podwodne, które będą nas kosztowały miliardy, będą uzbrojone tylko w torpedy. Latami analitycy pracowali nad tym, żeby w przypadku zagrożenia mogły odpalić z głębi Bałtyku salwę. Tymczasem sami z tego zrezygnowaliśmy.

Najbardziej skuteczne są siły zbrojne, których znane i potencjalne możliwości duszą w zarodku wszelkie agresywne plany wroga. Tak, by wojna rodząca się w umysłach szalonych planistów była wykluczona, bo będzie zbyt kosztowna i zbyt ryzykowna.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 30e64a71d6

SAFE 0% – na to liczą Amerykanie

Wojciech Łuczak

Polska osiągnęła już taki poziom wydatków obronnych, że z marginalnego klienta europejskich i amerykańskich globalnych koncernów zbrojeniowych stała się polem zmagań o wielkie i coraz większe pieniądze. Musimy wreszcie dorosnąć i zrozumieć, że w tej grze wszelkie chwyty są dozwolone. Musimy uzyskać świadomość podmiotowości w tej grze, a nie skazywać się na bycie jej przedmiotem. Wymaga to od rządzących zdobycia i ciągłego pogłębiania skomplikowanej wiedzy technicznej, by nie zdawać się na podpowiedzi lobbystów. A stawką są już dziesiątki i setki miliardów złotych. Jak trafnie powiedział ostatnio minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski, nie możemy być frajerem, ciągle ogrywanym.

Przykładem tego wszystkiego jest walka o instrument finansowy SAFE. W tzw. drugiej grupie projektów finansowanych z SAFE mają się znaleźć złożone przedsięwzięcia, wymagające skupienia sił wielu krajów, ale zgłoszone do realizacji przez konkretne państwo unijne. W tym przypadku udział podmiotów spoza Unii Europejskiej może sięgać najwyżej 35% wartości konkretnego przedsięwzięcia obronnego. To dużo, ale dla przyzwyczajonych do dominacji – za mało. Wywołało to akcję sprzeciwu, przede wszystkim ze strony amerykańskiej.

Można więc przypuszczać, że w tym kontekście gra o polskie zamówienia szczególnie się zaostrza, skoro od dwóch lat próbuje się nam sprzedać pomysł dokupienia co najmniej dwóch eskadr nowoczesnych myśliwców. W puli znajduje się 48 dalszych, nowych F-35 lub F-15EX, których oczywiście nie da się sfinansować za pomocą mechanizmu SAFE. Ale także ciężkie śmigłowce transportowe Chinook czy uzbrojenie rakietowe.

Amerykanie twardo i brutalnie handlują, a Polacy…

Aby ów obraz dopełnić, należy wiedzieć, że niedawno zrezygnowaliśmy z zapowiadanej od dawna modernizacji tuzina koreańskich dwumiejscowych odrzutowców FA-50GF (GF – Gap Filler, czyli zapychacz dziur), które kupiliśmy w panice, prosto z półki i bez uzbrojenia rakietowego. Maszyny te



Abrams zniszczony podczas wojny w Ukrainie.

FOT. PLATFORMAX

eprasa.pl 30e64a71d6

miały zostać docelowo wyposażone w amerykańskie pozahoryzontalne pociski dużego zasięgu AIM-120 AMRAAM, dzięki czemu mogłyby odgrywać rolę skutecznych obrońców naszego nieba, z „przedłużonymi rękami”. W nowe radary, awionikę i AIM-120 wyposażone mają zostać docelowe koreańskie FA-50PL (zoptymalizowane pod polskie wymogi), których zamówiliśmy 36 egzemplarzy. Cały program dla Polski mocno jednak się opóźnia. Nie jest tajemnicą, że powodem jest brak współpracy ze strony amerykańskich koncernów zbrojeniowych, które nie śpieszą się z integracją ich rakiet z samolotami koreańskimi. Korea bowiem stała się istotnym konkurentem przemysłu lotniczego USA, także na polskim gruncie.

Koreańczycy rozpoczęli więc samodzielny program rozwoju lotniczej broni rakietowej. Tak jak wcześniej zrezygnowali z podsuwanych im amerykańskich lotniczych pocisków manewrujących AGM-158 JASSM, które Polska nabyła jako dopełnienie uzbrojenia naszych F-16 (nie do końca mamy możliwość samodzielnego wyboru ich celów). Korea kupiła dla swojego lotnictwa europejskie pociski Taurus, ponieważ Amerykanie nie gwarantowali swobody wyboru celów i podzielenia się oprogramowaniem rakiet JASSM.

Polska z marginalnego klienta globalnych koncernów zbrojeniowych stała się polem zmagań o wielkie i coraz większe pieniądze.

Amerykanie twardo i brutalnie handlują, a Polacy… Pamiętam, że jeden z poprzednich naszych ministrów obrony wparował do Pentagonu z wieścią, że chcemy kupić 140, może 120 Apache’ów. Ugruntowało mu to wówczas odpowiednią opinię za oceanem. Ale, skoro klient się upiera, a można na tym nieźle zarobić, wypychając broń, której nikt nie chce… Amerykanie zawsze starają się jakoś „zatrudnić” te typy broni, które, powiedzmy, stają się nieświeże. Tak było z owocem zimnej wojny – niszczycielem czołgów, dwusilnikowym odrzutowcem A-10 Thunderbolt II, którego dopiero ostatnio odesłano do muzeum. Okazało się jednak, że przydaje się w akcji przeciwko Iranowi – jako narzędzie zwalczania bezzałogowców i ich miejsc startowych. To kolejny dowód paniki antydronowej – wykorzystanie horrendalnie drogiej amunicji kaliber 30 mm ze zubożonym uranem, której używa Thunderbolt II, do stawienia czoła latającym robotom. A miała sobie radzić z pancerzami sowieckich czołgów. Podobnie wyglądają próby przysposobienia Apache’ów do roli zabójców dronów.

Dostęp do takich właśnie informacji, decydujących o trafnym wydawaniu miliardów z pieniędzy podatników, i to na bieżąco, muszą mieć polscy włodarze. W USA za takie usługi odpowiedzialne są całe zespoły analityków z wynajmowanych za odpowiednie pieniądze prywatnych, ściśle wyspecjalizowanych think tanków. Pytanie, a co u nas, zawisa w powietrzu…

Wojciech Łuczak

Zamów prenumeratę PRZEGLĄDU
Darmowa dostawa do paczkomatu już w PONIEDZIAŁEK


InPost
sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 30e64a71d6

Z Galicji



Jan Widacki

Konfederat Leszek Miller

W tym zwariowanym świecie, w którym mocarz wywołujący coraz to nowe wojny domaga się za to Pokojowej Nagrody Nobla, nic już nie powinno dziwić. Nawet to, że prezydent Nawrocki za cenę bezbronności Polski zawetował ustawę SAFE, by aktualny rząd odnotował sukcesu, co nie powinno dziwić, choć powinno oburzać. To, że dla polskiej prawicy interes jej partii okazuje się ważniejszy od interesu Polski, nie jest przecież niczym nowym. Podłe to, głupie, ale w pewnym sensie normalne. A więc nie dziwi.

Jednakowoż w tej politycznej rzeczywistości, w której już nic nie powinno dziwić, choć coraz więcej powinno oburzać, zdarzają się fakty, które zadziwiają. Zadziwia mnie np. Leszek Miller. To, że publicznie skrytykował Włodzimierza Czarzastego za odmowę poparcia dla kuriozalnego wniosku o Nagrodę Nobla dla Donalda Trumpa, z dużym trudem, ale jeszcze jakoś dałoby się usprawiedliwić. Dłużej potrzebujemy Ameryki niż Trumpa, Ameryka jest nam potrzebna. Stanowi wciąż – za Trumpa i przez Trumpa coraz bardziej wątpliwy, ale nadal, mimo wszystko – jeden z filarów naszego bezpieczeństwa. Miller miał prawo sądzić, że z uwagi na naszą rację stanu Czarzasty mógł wniosku nie poprzeć, ale nie musiał publicznie w sprawie tego Nobla dla Trumpa się wypowiadać. Jednak w sytuacji, gdy na wypowiedź marszałka Czarzastego histerycznie i brutalnie zareagował ambasador Rose, to on, Miller, mógł już zmilczeć.

Nie wytrzymał i nie zmilczał. Jego osobista niechęć do Włodzimierza Czarzastego była zbyt silna. Na tyle silna, że w tym konflikcie wsparł ambasadora Rose'a. No, przesadził – powie ktoś. Zdecydowanie przesadził, ale jeszcze nie zadziwił. To jeszcze się mieściło w granicach tej zwariowanej polityki zwariowanego świata.

A jednak Leszek Miller potrafi zadziwić. Czyż nie jest zadziwiające jego twierdzenie, że „w gospodarce lewica nie ma nic do powiedzenia"? Naprawdę? Ale i to jeszcze nic. Były lider polskiej lewicy martwi się, że „Tusk za bardzo idzie w lewo". Myślałem, że gdyby tak było naprawdę, to kogo jak kogo, ale Leszka Millera powinno to cieszyć. A jego martwi. Miller zaś idzie dalej i publicznie oświadcza, że „bliżej mu do Sławomira Mentzena i Konfederacji niż do lewicy Czarzastego".

Tu już sprawa wygląda poważnie. O ile wiem, obok „lewicy Czarzastego" mamy jeszcze do wyboru „lewicę Zandberga". Innej lewicy w Polsce nie ma. Nie tylko w parlamencie, ale w ogóle w życiu publicznym. Można oczywiście mieć lewicowe poglądy i z żadną z tych partii się nie identyfikować. Ludzi w takiej sytuacji jest zapewne wielu.

Nie należy jednak do nich, jak widać, Leszek Miller, któremu, jak oznajmił, „bliżej jest do Mentzena i Konfederacji". W programie Mentzena faktycznie dużo jest socjaldemokratycznych postulatów, nieprawdaż? Choćby pierwsze z brzegu: płatne studia, niewpuszczanie do Polski imigrantów „obcych kulturowo" i zachwyt dla polityki migracyjnej Donalda Trumpa, sprzeciw wobec lewicowej ideologii… Millerowi nie podoba się, że „Tusk za bardzo idzie w lewo", ale najwyraźniej nie przeszkadza mu, że Mentzen idzie za bardzo w prawo, dużo bardziej niż PiS. Tak dalece w prawo, że nawet jednym z punktów jego programu jest wyraźny sprzeciw wobec lewicowej ideologii!

Dziś konfederat Leszek Miller staje się Padovalem lewicy. Nie tak chciałbym go zapamiętać.

Jedną z największych zasług Leszka Millera, zasługą naprawdę historyczną i niekwestionowaną, jest jego udział we wprowadzaniu Polski do Unii Europejskiej. Dzisiaj zaś Leszek Miller oświadcza, że bliżej mu do Konfederacji, ugrupowania jawnie antyunijnego, chcącego wyprowadzić Polskę z Unii Europejskiej! Jest taka postać u Witkacego w „Bezimiennym dziele", książę Padoval de Grifuellhes, któremu tak spodobała się rewolucja, że poleciał w przebraniu podburzać przeciwko sobie resztki wiernej mu gwardii. Dziś konfederat Leszek Miller staje się Padovalem lewicy. Wolno mu. Ale musi pamiętać, że książę Padoval to postać tyleż cyniczna, co groteskowa. A ja wolałbym Leszka Millera zapamiętać jako polityka, który ma poważny udział we wprowadzaniu Polski do Unii Europejskiej. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 30e64a71d6

Czas Henryka Skarżyńskiego

Oto zmiana, która ma swojego autora

Robert Walenciak

Jeśli chcielibyśmy szukać symbolu wielkiej przemiany i sukcesu Polski w ostatnich 30 latach, to Kajetany są wyborem oczywistym. Nie może być inaczej. Tu, gdzie stoją budynki Światowego Centrum Słuchu, jeszcze 30 lat temu były orne pola. W tamtym czasie polska otolaryngologia dreptała 20 lat za światem. Dziś jest światowym liderem. Oto zmiana, która ma swojego autora. I aż się prosi o pytanie, jak to się stało.

Najważniejsze są początki, wyjście z otaczającej rzeczywistości. Ten pierwszy krok. Pytanie do prof. Henryka Skarżyńskiego jest więc oczywiste: **Na początku lat 90. polska otolaryngologia była 20-25 lat za światową czołówką. Czy wtedy wierzył pan, że można dogonić świat?**

– Tak, wierzyłem i byłem przygotowany, bo inaczej nie zaczynałbym programu implantów ślimakowych. Na początku lat 90. rzeczywiście byliśmy 20-25 lat za czołówką, ale widziałem dwie kwestie. Po pierwsze, ogromną potrzebę społeczną. Po drugie, potencjał ludzi. Już w latach 1990-1991 rozpocząłem przygotowania do programu leczenia głuchoty, a w 1992 r. wykonałem pierwsze w Polsce wszczepienia implantów ślimakowych u dziecka i osoby dorosłej. To nie była teoria – to był dowód, że możemy wejść na tę samą ścieżkę co świat, a potem ją współtworzyć.

A jak goni się świat? Czytając fachowe opracowania? Odbywając staże? Więcej pracując?

– To nigdy nie jest jeden element. Oczywiście trzeba czytać publikacje naukowe, uczestniczyć w konferencjach, wyjeżdżać na staże i obserwować, jak pracują najlepsi. Ale równie ważne jest to, co się z tą wiedzą zrobi po powrocie. Ja po moich wizytach w Paryżu i Wiedniu wróciłem z pełnym przekonaniem, że możemy robić to, co tam widziałem, równie dobrze. Musiałem tylko, z wielkim wysiłkiem, stworzyć odpowiednie zaplecze diagnostyczne, kliniczne i rehabilitacyjne oraz tak zorganizować pracę zespołu, aby nowe rozwiązania rzeczywiście zaczęły funkcjonować w codziennej opiece nad pacjentem. Dopiero połączenie wiedzy, doświadczenia i dobrej organizacji pozwala realnie skracać dystans do światowej czołówki. I jeszcze jedno: goni się świat, kiedy praca staje się pasją. Ja zawsze powtarzam, że praca była i jest moją pasją – ale miała konkretny cel: pomoc pacjentom, którzy bez leczenia nie mieli szansy wrócić do świata dźwięków w Polsce.



Profesor Henryk Skarżyński w Kajetanach po otrzymaniu Orderu Orła Białego (nz z Robertem Walenciakiem)

•

Zatrzymajmy się w pierwszej połowie lat 90., w latach trudnych. Henryk Skarżyński i jego kilkuosobowy zespół mieli do dyspozycji jeden mały pokój i zabudowaną wnękę na korytarzu, w której odbywały się pierwsze zajęcia rehabilitacyjne. Ale to tylko zachęcało ich do działania. Skarżyński przygotował założenia nowej instytucji, centrum diagnostyczno-rehabilitacyjnego. I krok po kroku plan realizował. To była żmudna, trudna wędrówka po urzędach, różnych instytucjach, w poszukiwaniu środków.

Gdy chodził pan po ważnych gabinetach i przedstawiał wizję instytutu, wierzono panu? Jak pan przekonywał do tej wizji?

– Nie zawsze wierzono. Czasem nawet upokarzano. Wizja bywa traktowana jak marzenie – dopóki nie pokaże się konkretów. Przekonywałem dopiero realnym planem: co robimy, dla kogo, jakie będą efekty, koszty, korzyści społeczne i jak będziemy mierzyć jakość. Mogłem rozpocząć przygotowania po powołaniu organizacji pozarządowych. Muszę też

eprasa.pl 30e64a71d6



Laurka od wdzięcznej pacjentki, 3-letniej Natalii.

powiedzieć uczciwie: otrzymałem akt powołania instytutu i nic więcej. Wszystko inne organizowaliśmy od podstaw, w małym zespole. W finansowaniu ogromną rolę odegrały praca własna, środki wypracowane przez zespół oraz wsparcie instytucjonalne. W historii bardzo wyraźnie widać też rolę PFRON. Po spotkaniach, do których doprowadziły m.in. kontakty i pomoc śp. Jacka Kuronia, prezesa Zbigniewa Miłka, udało się uruchomić współpracę, która pozwoliła zrobić pierwszy krok organizacyjny.

•

Te pierwsze kroki to zagospodarowanie prawie całego piętra budynku mieszkalnego, w którym mieściły się m.in. biura PFRON. Tam, w pierwszą rocznicę pierwszej w Polsce operacji wszczepienia implantu ślimakowego osobie niesłyszącej, otwarty został Ośrodek Diagnostyczno-Leczniczo-Rehabilitacyjny dla Osób Niesłyszących i Niedosłyszących Cochlear Center. W otwarciu wzięła udział premier Hanna Suchocka.

Cochlear Center był szansą, którą wykorzystano. Już po kilku miesiącach przyjmowano w nim 30-40 pacjentów dziennie i wykonywano ok. 200 badań specjalistycznych. Po prawie trzech latach, 9 stycznia 1996 r., na bazie tych osiągnięć minister zdrowia i opieki społecznej Jacek Żochowski powołał do życia resortowy Instytut Fizjologii i Patologii Słuchu. Inicjatywa uzyskała wsparcie premiera Józefa Oleksego.

•

Gdy otrzymał pan akt powołania instytutu – wierzył pan, że na ściernisku w Kajetanach stanie ów instytut? Że zostanie tak szybko zbudowany?

– Wierzyłem, bo to nie było marzenie – to był pierwszy etap. Doskonale pamiętam ten dzień, 9 stycznia 1996 r. Ten akt był krótki w treści, ale dawał zielone światło do działania. Byliśmy wtedy kilkunastoosobową grupą przyjaciół połączonych entuzjazmem. Sukces nie przyszedł sam – wymagał poświęcenia, samodyscypliny i pracy po kilkanaście godzin na dobę.

•

Budowie Kajetan towarzyszy wiele opowieści. Pierwszą konferencję, na której obwieścił, że ośrodek powstaje, Henryk Skarżyński zorganizował na ściernisku, tam gdzie za chwilę miał być plac budowy. Siedzieli więc goście na krzesełkach kempingowych, niezbyt wierząc, że za parę lat… Dziwiło ich jeszcze jedno: dlaczego Kajetany, a nie ośrodek w Warszawie? Profesor dopowiadał wówczas z kamienną twarzą: dlatego, że do Kajetan szybciej dotrze się z lotniska.

Przewidział nadchodzący czas. A zwłaszcza rozwijającą się współpracę ze światem. „Na początku byliśmy postrzegani jako kraj »doganiający« – wspomina profesor. – Dlatego nie przekonywały słowa – tylko wyniki. Przełomem było to, że z czasem nie tylko dołączyliśmy do światowej dyskusji, ale zaczęliśmy ją współtworzyć: w 1997 r. podczas międzynarodowej konferencji w Nowym Jorku przedstawiłem pierwsze rozszerzenie wskazań do stosowania implantów w leczeniu nie tysięcy, lecz setek tysięcy osób, w oparciu o moją oryginalną metodę chirurgiczną. W 2002 r. wykonałem pierwsze w świecie operacje wszczepienia implantu ślimakowego u osób dorosłych, a następnie u dzieci z częściową głuchotą. Od tego momentu Polska stała się liderem światowej otologii w tym obszarze. Przegoniliśmy świat i prymat jest nieprzerwanie w naszych rękach, a dla hasła »częściowa głuchota – *partial deafness*« jestem na pierwszym miejscu cytowań we współczesnej literaturze. Kiedy takie rzeczy się dzieją, sceptycyzm zamienia się w zainteresowanie, a potem w przyjazdy do Kajetan po naukę”.

Dziś Kajetany to nie tylko działalność naukowa i kliniczna na najwyższym poziomie, lecz także Centrum Edukacyjne, do którego przyjeżdżają lekarze ze wszystkich kontynentów. Lądują na Okęciu. Uczą się technik chirurgicznych oraz procedur medycznych opracowanych przez prof. Henryka Skarżyńskiego. W ośrodku odbyło się ponad 500 różnych warsztatów szkoleniowych, sympozjów, konferencji,

Przełomowe momenty w historii Kajetan:

- 1992 – pierwsze w Polsce implantacje u dziecka i osoby dorosłej.
- 1993 – uruchomienie Ośrodka Diagnostyczno-Leczniczo-Rehabilitacyjnego Cochlear Center (pierwszy w Polsce, drugi w Europie ośrodek diagnostyczno-leczniczo-rehabilitacyjny).
- 1996 – powołanie Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu.
- 2002 – światowy krok milowy w leczeniu częściowej głuchoty.
- 2003 – otwarcie pierwszej części obecnego Światowego Centrum Słuchu.
- 2012 – otwarcie drugiej części Światowego Centrum Słuchu.
- 2007 do dziś – rozwój programu edukacyjnego Window Approach Workshop (od 2007 r. 88 edycji, udział ponad 8 tys. lekarzy, ponad 2 tys. operacji pokazowych).
- 2024 – pierwsze w świecie operacje wszczepienia implantów ślimakowych całkowicie wszczepialnych.
- 2025 – rozwiązania z AI (Hearbox Mobile) i rozwój powszechnych, masowych programów profilaktycznych do badań słuchu, głosu i mowy – jedynych takich w świecie.

eprasa.pl 30e64a71d6



Światowe Centrum Słuchu w Kajetanach.



Tu, gdzie stoją budynki Światowego Centrum Słuchu, jeszcze 30 lat temu były orne pola.

kongresów. Zorganizowano cztery światowe i dwa europejskie kongresy naukowe przyznane przez międzynarodowe gremia naukowe. Centrum prowadzi też międzynarodowe warsztaty szkoleniowe Window Approach Workshop, których od 2007 r. zorganizowano 88 edycji. Wzięło w nich udział ponad 8 tys. lekarzy ze wszystkich kontynentów. Obejrzeli na żywo prawie 2 tys. pokazowych operacji.

•

Tak doszliśmy do tych najważniejszych – pacjentów.

Panie profesorze, liczył pan, ile polskich dzieci dzięki instytutowi może normalnie funkcjonować?

– Wolę patrzeć na zmianę życia niż na samą liczbę, ale skala jest olbrzymia. Instytut i jego programy przesiewowe objęły w Polsce i na czterech kontynentach łącznie ponad 1,5 mln dzieci. Wiemy też, że w wieku szkolnym różne zaburzenia słuchu dotyczą nawet ok. 20% dzieci – to pokazuje, jak wielkie znaczenie ma wczesna diagnostyka i szybka interwencja. A w praktyce? To są tysiące historii: dziecko zaczyna mówić, idzie do szkoły, nie wypada z edukacji i relacji, a czasami gra na instrumentach muzycznych i rozwija swoje umiejętności artystyczne.

•

Jeśli chodzi o polskie dzieci, został zbudowany cały system, który chroni ich zdrowie. To przede wszystkim diagnostyka, badania przesiewowe, które prof. Skarżyński wychodził u decydentów. Polskie dzieci mają dziś dostęp do najnowszych rozwiązań technologicznych, do skutecznych terapii, często jako jedne z pierwszych albo wręcz pierwsze w świecie.

To ważne. Dziecko, które źle słyszy, nie rozumie, co mówi nauczyciel, nie może więc śledzić lekcji, wyłącza się, ma kłopoty w szkole. Złe wyniki spychają je gdzieś na bok. Ma także kłopoty w relacjach z rówieśnikami. I tak, krok po kroku, jest wykluczane ze społeczeństwa. Czy możemy na to się godzić?

Są też poważne przypadki, które muszą być leczone operacyjnie. To wielki stres, zwłaszcza dla rodziców. Wystarczy pojechać do Kajetan i zobaczyć tych, którzy przyjechali z dziećmi, często z daleka. Przy klinice jest hotel, mogą więc tam nocować, rozpoznaje się ich błyskawicznie. Poważni, skupieni, usztywnieni przez obawy. Z uwagą rozglądają się wokół. Dzieci takie nie są, biegają, ciekawi je minizoo, światełka, plac zabaw… To wszystko jest dla nich. Kajetany są pod tym względem wzorcowe – idealnie przycięta zieleń, skoszona trawa, czystość, porządek. Bardziej luksusowe spa niż klinika. Co na to prof. Skarżyński? Gdy pytam, czy to celowe, odpowiada, że tak.

– To element terapii i szacunku do pacjenta. Dziecko i rodzina przyjeżdżają często z lękiem – a otoczenie może ten lęk zmniejszać. Porządek jest również symbolem standardów: jeżeli dbasz o detale w przestrzeni, dbasz też o detale w medycynie. A w medycynie detale przesądzają o wyniku.

•

To jest samonapędzający się mechanizm. Idź złoto do złota. Sukces rodzi sukces. Gdy patrzymy na drogę, która doprowadziła ośrodek w Kajetanach na szczyty, rzuca się w oczy to, że kilka elementów musiało tu zagrać równocześnie. Po pierwsze, musiał być ktoś, kto wiedział, czego chce. Henryk Skarżyński wiedział, czego chce, to efekt jego zagranicznych wyjazdów, umiejętności podpatrywania rozwiązań u innych. Oraz ducha rywalizacji i nieustępliwości. Koledzy ze studiów do dziś pamiętają mu piłkarskie mecze, gdy tego ducha wprowadzał. Po drugie, nie wolno sobie pobłażać. „Przypominam słowa

eprasa.pl 30e64a71d6

Thomasa Edisona – mówi profesor. – Geniusz to 1% natchnienia i 99% wypocenia. Kluczem do sukcesu jest praca".

Po trzecie, to umiejętność skorzystania z możliwości. Budowa drugiej części Kajetan sfinansowana została w 55% z funduszy europejskich. Na otwarciu, w roku 2012, był premier Donald Tusk.

Po czwarte, trzeba mieć zdolność przyciągania innych. Przekonywania.



Od 22 lat w Kajetanach każdego roku przeprowadzanych jest najwięcej na świecie operacji poprawiających słuch. Prawie 250 tys. procedur chirurgicznych wykonał osobiście prof. Henryk Skarżyński.

Kajetany to:

- około 5 mln konsultacji i badań,
- ponad 650 tys. procedur chirurgicznych,
- ponad 25 tys. wystąpień naukowych,
- ponad 20 tys. wszczepionych implantów słuchowych,
- ponad 1,5 tys. odznaczeń, nagród i wyróżnień.

Kajetany: 30 lat temu – ściernisko, dziś – najnowocześniejsza klinika na świecie.

To nie jest proste. Przecież zanim Kajetany powstały, trzeba było przewędrować kilometry korytarzy ważnych instytucji. Profesor przewędrował. Zbudował grupę sympatyków instytutu, wspierających jego działania.

Jak to się panu udało?

– Po pierwsze, zaufanie buduje się nie deklaracjami, tylko pracą i konsekwencją. W Kajetanach powstała tablica „Przyjaciele po Wsze Czasy", bo to miejsce rosło dzięki ludziom, którzy zaufali idei – niezależnie od opcji, środowiska czy pełnionej funkcji. To, że tak wielu mnie wysłuchało, wsparło dobrym słowem, było wielką nagrodą. Po drugie, trzeba dawać przestrzeń do rozwoju i odpowiedzialności. Zaczynałem od przyjęcia do pracy początkujących lekarzy, psychologów, pedagogów, inżynierów klinicznych, logopedów – i tworzenia z nimi zespołu. Po trzecie, wspólny sens. Ludzie idą za ideą, która ma realny wpływ na rozwój nauki i medycyny, niesie klarowną ofertę dla pacjentów, którzy jako pierwsi lub jedni z pierwszych w świecie mają w Polsce dostęp do najnowszych technologii.

•

Efekt jest imponujący. Światowe Centrum Słuchu to wielkie przedsiębiorstwo, które daje pracę niemal 600 pracownikom. To zarówno nowoczesny szpital, wyposażony w unikatową aparaturę medyczną, jak i Centrum Edukacyjne, prowadzące szeroko zakrojoną działalność badawczą i edukacyjną. W CE szkoleni są specjaliści z całego świata, z obszaru medycyny, inżynierii klinicznej, logopedii, surdopedagogiki i surdopsychologii.

Pomagają w tym dwa studia multimedialne telemedycyny, siedem sal konferencyjnych, w których jednorazowo może się szkolić 600 osób. Centrum Edukacyjne wyposażone jest w nowoczesny sprzęt do ćwiczeń chirurgicznych na preparatach anatomicznych i symulatorach komputerowych. To największa na świecie pracownia o tym profilu.

W jaki sposób to wszystko zostało w tak krótkim czasie stworzone? Jak Henryk Skarżyński godzi role lekarza, i to takiego, który prowadzi operacje, menedżera i człowieka z planami?

Jak pan jest w stanie wszystko to pogodzić?

– To głównie kwestia dobrej organizacji pracy i jasnego podziału odpowiedzialności. W tak dużej instytucji nie da się wszystkiego robić samemu. Ale często nową inicjatywę muszę wprowadzić do praktyki klinicznej i pokazać, że to ma sens. Trzeba umieć powierzać zadania kompetentnym współpracownikom, ufać im i jednocześnie dbać o to, by wszyscy pracowali według tych samych standardów. Dla mnie bardzo ważne jest też to, żeby nie tracić kontaktu z pacjentem i z praktyką lekarską. Operowanie przypomina, po co to wszystko robimy. A plany? One są potrzebne, bo medycyna cały czas się rozwija. Jeśli instytucja przestaje myśleć o przyszłości, zaczyna się cofać. W Kajetanach staramy się po prostu konsekwentnie robić kolejne kroki do przodu. W wolnych chwilach piszę wiersze, powieści, scenariusze filmowe i libretta musicali. To we mnie wyzwala siłę, pomijam bylejakość.

A jak to wszystko spiąć finansowo?

– System bywa trudny, ale „bieda w systemie" nie zwalnia z myślenia i dobrej organizacji. Nie działamy i nie pracujemy pod kloszem, ale blok operacyjny jest czynny przed godz. 7 rano, do późnych godzin, czasem nocnych.

•

Prof. Henryk Skarżyński nie może narzekać na brak uznania. Kawaler Orderu Orła Białego, ma też inne odznaczenia nadane przez prezydenta RP, a także prezydentów Gruzji i Ukrainy, belgijskiego króla, papieża Franciszka i Unię Europejską, urzędy, organizacje krajowe i międzynarodowe. W sumie został uhonorowany 376 razy. Ale chyba jeszcze ważniejsze są podziękowania – tysiące podziękowań od pacjentów. Bo mogą normalnie żyć.

Przyglądałem się profesorowi. Odznaczenia nosi godnie. Pracuje. Rozmawiałem z rodzicami, którzy przyjechali do Kajetan z południa Polski z pięcioletnią córeczką. Profesor dziecko badał, bardzo dokładnie, spokojnie, potem osobiście przeprowadził zabieg. Wszystko się udało. Widać było, jak zszedł z nich olbrzymi stres.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Kajetanom, profesorowi i całemu zespołowi życzymy stu lat!

FOT. MATERIAŁY PRASOWE(3), ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 30e64a71d6

NBP – prywatny folwark Glapińskiego

Przytulisko dla polityków i działaczy powiązanych z PiS

Marek Czarkowski

„Prezydencki projekt ustawy o Polskim Funduszu Inwestycji Obronnych realizujący Polski SAFE 0%" zgłoszony przez Karola Nawrockiego w kontrze do popieranego przez rząd Donalda Tuska „europejskiego" SAFE zakłada, że prawie 200 mld zł przeznaczone na modernizację Wojska Polskiego zostanie wygenerowane przez NBP. Prezes banku, Adam Glapiński, niegdyś wpływowy polityk Porozumienia Centrum oraz Prawa i Sprawiedliwości, stoi dziś u boku prezydenta i przekonuje, że źródłem pieniędzy na wojsko mogą być rezerwy walutowe NBP oraz rezerwy złota, którego, jak się okazuje, mamy 570 ton. A zyski i straty banku pojawią się, kiedy ON chce!

11 marca br. w trakcie specjalnej konferencji prasowej Glapiński stwierdził: „Zarząd NBP jest uprawniony do gospodarowania aktywami rezerwowymi i nie musi nikogo pytać o zgodę. To zasób narodowy, ale w zarządzie niezależnego banku centralnego. To zachodni standard. My mamy pełną autonomię. Nie Rada Polityki Pieniężnej". Po czym dodał: „W ramach naszych uprawnień zarządzamy rezerwami. Możemy całkowicie sprzedać złoto i kupić dolary".

Prezes Glapiński nie mógł dobitniej powiedzieć, że robi, co chce i kiedy chce.

Korzenie niezależności

2 kwietnia 1997 r. Zgromadzenie Narodowe, uchwalając Konstytucję RP, popełniło błąd. W art. 227, w którym zapisano kluczowe kompetencje NBP, zagwarantowano mu całkowitą niezależność. Podobne zapisy znalazły się w przyjętej przez Sejm 29 sierpnia 1997 r. ustawie o NBP. Później wielokrotnie na ten temat wypowiadał się Trybunał Konstytucyjny.

Dziś, mimo że kierownictwo NBP – mające ogromny wpływ na inflację, wzrost bezrobocia, sytuację finansową przedsiębiorstw i obywateli – ma słabą legitymację demokratyczną, gdyż nie pochodzi z wyborów powszechnych, w dziedzinie finansów może robić, co zechce. I nie ma sposobu, by postawić je, przynajmniej symbolicznie, przed jakimkolwiek trybunałem.

Jak do tego doszło? Gwarantowana konstytucyjnie niezależność banku centralnego wynika ze strachu. Jest wspomnieniem galopującej inflacji z drugiej połowy lat 80. XX w. oraz przykrych konsekwencji transformacji ustrojowej z początku lat 90. W końcu 1989 r. PRL była zadłużona za granicą na 42,3 mld dol. Były to tzw. długi gierkowskie. Zadłużenie wewnętrzne w PRL było relatywnie niskie, szacowane na kilka procent PKB rocznie. Rząd likwidował je, zaciągając nieoprocentowane, bez harmonogramu spłat, kredyty w NBP. W praktyce drukowano pieniądze w Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Ale realna wartość owych kredytów była zjadana przez inflację. Pojęcia długu publicznego i deficytu budżetowego nie istniały. Za to Polacy nauczyli się trzymać oszczędności w złocie i dolarach.

W pierwszych latach realizacji planu Balcerowicza także nie było słodko. W 1990 r. inflacja sięgnęła 249,3%, w roku 1991 – 60,4%, a w 1992 – 44,3%. W połowie lat 90. ekonomiści, dziennikarze, liderzy partii politycznych i część posłów, obawiając się dojścia do władzy populistów, którzy wrócą do dodruku pieniądza i ręcznego sterowania polityką NBP, zaczęli lansować hasło niezależności banku centralnego. Rozumiano, że gdy obywatele przestają wierzyć, że państwo dba o wartość pieniądza, gospodarka może wpaść w spiralę hiperinflacji, spekulacji i chaosu. Wspierali to podejście ówcześni głosiciele myśli neoliberalnej, którzy z „niezależności" instytucji finansowych i „niezależnych ekspertów" uczynili dogmat. Dlatego w 1997 r. wyposażono NBP i jego kierownictwo w wyjątkowo mocne gwarancje konstytucyjne i ustawowe. Jak się wydawało, była to logiczna odpowiedź na ówczesne problemy: rozpędzoną nadal inflację (w 1996 r. 18,5%), brak zaufania do złotego oraz słabość nowych instytucji.

W 2022 r., gdy kończyła się pierwsza kadencja Glapińskiego, w PiS pojawiły się głosy, że można by go zastąpić kimś innym. Musiał się dobrze postarać, aby wybrano go ponownie.

Zakładano, że wyodrębnienie polityki pieniężnej z bieżącej gry politycznej zadziała jak bezpiecznik utrudniający realizację populistycznych haseł. Wiadomo też było, że Unia Europejska wymaga, by kraje kandydujące zagwarantowały niezależność swoich banków centralnych. A Polska rozpoczynała wówczas starania o członkostwo w tym elitarnym klubie.

Niezależny NBP był zatem czymś więcej niż tylko biletem wstępu do grona poważnych europejskich

eprasa.pl 30e64a71d6


Prezes NBP Adam Glapiński.

państw. Był częścią pakietu reform mających przekonać zagranicznych inwestorów, że Warszawa nie powtórzy błędów Buenos Aires i Moskwy. I gwarancją, że Polska nie będzie finansowała deficytu maszyną drukarską, inflacja zostanie opanowana, a złoty stanie się walutą przewidywalną. Dlatego nikt nie kwestionował pozycji prezesa NBP ani roli Rady Polityki Pieniężnej.

Można było odnieść wrażenie, że niektórym naszym politykom to odpowiadało. Rząd mógł przerzucać odpowiedzialność za trudne i bolesne decyzje gospodarcze na technokratów z NBP.

Gdy trzeba było walczyć z inflacją, lepiej, żeby robił to prezes banku centralnego niż minister finansów. Lepiej, by członkowie Rady Polityki Pieniężnej tłumaczyli społeczeństwu, że walka o stabilność cen wymaga przejściowego spowolnienia gospodarczego i wzrostu bezrobocia. Rząd zawsze mógł twierdzić, że chciał dobrze, walczył o środki na budowę dróg i realizację ważnych programów społecznych, ale cóż – banksterzy nie pozwalali.

Pod koniec XX i na początku XXI w. ten model wzajemnych relacji działał. W tym czasie NBP kierowała prof. Hanna Gronkiewicz-Waltz, a po niej prof. Leszek Balcerowicz. W 2004 r., po wejściu Polski do UE, sytuacja gospodarcza zaczęła się poprawiać. Szerokim strumieniem napływały inwestycje, pojawiły się potężne środki unijne, spadło bezrobocie, a setki tysięcy Polaków wyjechało za pracą do Wielkiej Brytanii, Norwegii, Islandii, Francji, Holandii i Niemiec… Zaczęliśmy się bogacić.

Stracone złudzenia

Mit o nieomylnych „rynkach", uczciwych bankierach i gospodarce wolnorynkowej, do której rządy nie powinny się mieszać, runął 15 września 2008 r. wraz z upadkiem amerykańskiego banku Lehman Brothers. Stany Zjednoczone oraz państwa europejskie ogarnął potężny kryzys, który dotknął najpierw banki, następnie fundusze inwestycyjne i emerytalne, a w końcu pogrążył całe sektory gospodarek. Okazało się, że chwalony przez lata amerykański nadzór finansowy i nadzory europejskie były ślepe na wszelkiej maści „nieprawidłowości". Aby uniknąć jeszcze większej katastrofy i ratować gospodarki, rządy zdecydowały się wpompować w nie setki miliardów dolarów, euro i funtów.

Szczególną rolę odegrał w tym System Rezerwy Federalnej, Fed – bank centralny Stanów Zjednoczonych – z nietypową strukturą własnościową, gdyż jego „właścicielem" są prywatne i państwowe instytucje. Ówczesna administracja prezydentów Busha i Obamy oraz Fed wymusiły na prywatnych amerykańskich instytucjach finansowych zachowania, które ograniczyły zasięg i negatywne konsekwencje tego, co się stało. Okazało się, że lansowany przez neoliberałów pogląd, iż państwo nie powinno interweniować w gospodarkę, bo wolny rynek sam rozwiązuje problemy, to groźny mit. A banki centralne w wysoko rozwiniętych państwach są ostatnią linią obrony przed kryzysami wywołanymi przez prywatne instytucje finansowe.

W latach 2008-2009 NBP nie musiał zbytnio się angażować, gdyż działające nad Wisłą banki nie uczestniczyły w przedsięwzięciach, które miały związek z kryzysem. Musiały jedynie wydać bardzo dużo pieniędzy na kampanie mające przekonać klientów, że są bezpieczne. I tak było. Realne problemy pojawiły się w czasie pandemii COVID-19 i szoku inflacyjnego lat 2021-2023. Była to konsekwencja wpompowania w gospodarkę przez rząd premiera Morawieckiego setek miliardów złotych, by ratować miejsca pracy i nie dopuścić do wybuchu poważnego kryzysu gospodarczego.

Prezesem NBP od 2016 r. był Adam Glapiński. To wówczas pojawiło się fundamentalne pytanie o granice niezależności banku centralnego oraz możliwość rozliczenia jego władz z prowadzonej polityki.

W tamtym czasie inflacja osiągnęła poziom niewidziany od trzech dekad, a raty kredytów hipotecznych wzrastały o kilkaset złotych miesięcznie. Polacy zaczęli pytać, kto za to odpowiada.

Rząd wskazywał politykę pieniężną prowadzoną przez NBP i spóźnioną reakcję na to, co się działo. Bank widział za to potężny deficyt budżetowy, wszelkiej maści „tarcze osłonowe" i programy socjalne, za które odpowiadał rząd. W 2022 r. doszły do tego wojna w Ukrainie i dramatyczny wzrost cen ropy naftowej, węgla kamiennego i gazu. Gdy w 2022 r. kończyła się pierwsza kadencja prezesa Glapińskiego, w PiS pojawiły się głosy, że może warto zastąpić go kimś innym – musiał się dobrze postarać, by wybrano go ponownie. Wtedy do

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 30e64a71d6

części Polaków dotarło, że NBP odpowiada wyłącznie za utrzymanie wartości pieniądza, realizację celu inflacyjnego i nic więcej go nie obchodzi. W przeciwieństwie np. do amerykańskiej Rezerwy Federalnej, która w zakres obowiązków ma wpisane m.in. dbanie o jak najniższe bezrobocie.

Naszą Radę Polityki Pieniężnej i zarząd NBP mało interesuje wpływ ich decyzji na wysokość rat kredytów, niższą wartość oszczędności, zmiany cen benzyny, ceny chleba czy innych towarów pierwszej potrzeby. W ich wydaniu polityka pieniężna stała się nad Wisłą hermetyczną sztuką dostępną dla wtajemniczonych. Niezależność NBP, która miała chronić przed populizmem, stała się teraz dowodem, że „władza została zawłaszczona przez kastę ekspercką", „elity" robią, co chcą, a „zwykłym ludziom" pozostaje tylko płacić.

Walnie przyczynił się do tego prezes Adam Glapiński, zmieniając NBP w prywatny folwark i przytulisko dla polityków oraz działaczy związanych z PiS. Do rangi symbolu urósł przypadek Pawła Gajewskiego, młodego aktywisty związanego najpierw z ministrem Ziobrą, a następnie z prezesem TVP Jackiem Kurskim. Gajewski, gdy zarobił na Woronicza kilka milionów złotych, przeniósł się pod skrzydła prezesa Glapińskiego. Swego czasu media plotkarskie emocjonowały się także „dwórkami Glapińskiego", czyli dwiema blondynkami występującymi w otoczeniu prezesa, zawsze z ostrym, wyzywającym makijażem. W NBP miały podobno zarabiać po 50 tys. zł miesięcznie.

Wystarczy zerknąć na listę członków zarządu banku centralnego, by znaleźć dawnych działaczy PiS, takich jak Adam Lipiński, Paweł Szałamacha, Piotr Pogonowski, Marta Gajęcka, Artur Soboń, czy związanego z prezydentem Andrzejem Dudą Pawła Muchę. W gronie doradców prezesa Glapińskiego znalazł się Wojciech Jasiński, były wieloletni poseł PiS, były minister skarbu i były prezes PKN Orlen. Członkom Rady Polityki Pieniężnej z rekomendacji PiS: Jerzemu Kropiwnickiemu, Grażynie Ancyparowicz i Jerzemu Żyżyńskiemu, po zakończeniu kadencji prezes NBP zapewnił miękkie lądowanie w gronie swoich doradców (których lista jest tajna).

W Stanach Zjednoczonych „zarząd" Rezerwy Federalnej to Rada Gubernatorów, której działalność w zakresie polityki pieniężnej jest monitorowana przez Kongres. Rada ma obowiązek regularnie składać sprawozdania, a jej przewodniczący – obecnie Jerome Powell – stawiać się na każde wezwanie na komisjach Izby Reprezentantów i Senatu.

Gdy prezydent Trump zaczął się domagać od Fed szybkich i głębokich cięć stóp procentowych, aby pobudzić wzrost i rynek akcji, a także obniżyć koszty obsługi długu publicznego – i spotkał się ze zdecydowaną odmową – wziął na cel Jerome'a Powella. Odwołać go nie mógł, ale lżyć już tak. Trump nazwał go: „upartym osłem", „niekompetentnym albo skorumpowanym", „palantem, który wkrótce zniknie", ale „kosztuje kraj biliony dolarów". W związku z wydatkowaniem ok. 2,5 mld dol. na remont siedziby Fed wszczęto śledztwo federalne, którego obiektem jest Powell.

Przykład ten dowodzi, z jak wielkiej ochrony prawa korzysta dziś Adam Glapiński, który robił i robi, co chce.

Marek Czarkowski

1,5 %

Zwracam się do Sympatyków
i Przyjaciół naszego Stowarzyszenia,
do Ludzi Dobrej Woli

Nie zapominajcie
o naszych dziennikarzach seniorach,
którzy po wieloletniej pracy znaleźli się
w trudnych warunkach życiowych.

Dla nich nawet najdrobniejsza wpłata
1,5 % podatku dochodowego,
będzie nieocenionym gestem pomocy.

Za każdą złotówkę przekazaną na konto

SDRP

Zarządu Głównego
Stowarzyszenia Dziennikarzy
Rzeczypospolitej Polskiej,
KRS 0000043110

serdecznie dziękuję.

Andrzej Maślankiewicz
sekretarz generalny
Stowarzyszenia Dziennikarzy RP

eprasa.pl 30e64a71d6

Kapitalizm i realizm



Andrzej Szahaj

Demokracja jako aberracja?

Czytam różne teksty na temat dzisiejszego kryzysu demokracji liberalnej. Z większością się zgadzam. Tak, taki kryzys ma miejsce. Są dwie możliwości: albo doprowadzi on do jej całkowitego upadku i nastania świata nieomal jednolicie autorytarno-totalitarnego, albo uda się go zażegnać, a demokracja liberalna się odrodzi. Niestety, pierwsza możliwość jest bardziej realna.

Wbrew bowiem entuzjastycznym zapowiedziom sławnych politologów amerykańskich sprzed lat, że oto mamy koniec historii, albowiem ludzkość nie wymyśli już nic lepszego niż połączenie demokracji parlamentarnej i wolnego rynku (Francis Fukuyama), że czeka nas trzecia fala demokratyzacji, kiedy to demokracja liberalna stopniowo obejmie cały świat (Samuel Huntington), że gwarantem nastania złotych czasów wolności politycznej jest rozpowszechnienie się na świecie wolnego rynku z jego kultem prywatnej własności (Richard Pipes), demokracja jest w odwrocie. I to nawet tam, gdzie wydawała się niepodważalna – w Stanach Zjednoczonych (ojcowie założyciele muszą przewracać się w grobach!). Na placu boju zostały de facto Europa i kilka krajów pozaeuropejskich, jak Kanada czy Australia. Reszta świata już jest niedemokratyczna (Azja, Afryka), względnie demokracja liberalna jest tam bardzo słaba (Ameryka Południowa).

Sama Europa znalazła się w „strefie zgniotu", z każdej strony napierają na nią siły autorytaryzmu czy wręcz totalitaryzmu. Boję się, że tego naporu nie wytrzyma, a wtedy czeka nas bez reszty autorytarny/totalitarny świat. Straszne, ale niestety realne. Może się okazać, że różne dystopie w stylu „Matriksa" miały moc przewidywania przyszłości, a dzisiejsza obecność demokracji liberalnej na świecie jest jedynie pewną aberracją na tle dziejów niedemokratycznej ludzkości, z wcześniejszym epizodem w postaci demokratycznych Aten w starożytności (nie była to zresztą demokracja liberalna, wszak Grecy liberalizmu nie znali, bo nie mogli go znać, powstał wraz z epoką oświecenia).

Być może da się jednak to i owo uratować. Przede wszystkim Zachód, reszta świata chyba nigdy do demokracji liberalnej się nie przekona (nie ma tam żadnej tradycji demokratycznej, do której można by się odwołać; przykładem Chiny i Rosja).

Jakie są przyczyny owego osłabienia demokracji? W moim przekonaniu winny jest „spuszczony ze smyczy", neoliberalny, dziki kapitalizm. To on doprowadził do tego, że ludzie zaczęli odczuwać tak głębokie rozczarowanie liberalną demokracją. Bo po co im ona, gdy w wyniku jej wyroków nic w ich położeniu się nie zmienia? Bez względu na to, kto rządzi, bogaci stają się coraz bogatsi, klasa średnia ubożeje, a niższa idzie na dno. Nierówności narastają lawinowo (Stany Zjednoczone!), a już antyczni Grecy wiedzieli, że są one śmiertelnym zagrożeniem dla demokracji. Państwo przestaje zapewniać bezpieczeństwo socjalne. Dziki kapitalizm dewastuje wciąż nowe obszary życia. Demoralizuje i niszczy. Pożera ludzi jako obywateli zainteresowanych losem innych i wypluwa z siebie konsumentów zainteresowanych jedynie sobą. Normalizuje chciwość, egoizm i bezwzględność. Demoluje tkankę społeczną i ludzką psychikę.

Dzisiejsza kariera pop-psychologii i wszelkiego typu coachingu nie jest w tym kontekście przypadkiem. Jednostki, „wybrakowane" wedle rynkowych kryteriów, szukają ratunku nie w zmianie systemu, ale w próbie „naprawy" siebie przy pomocy najczęściej nieświadomych swojej faktycznej funkcji strażników ideologii rynkowej: różnej maści „budowniczych osobistej marki" i „trenerów mentalności".

Bez podważenia hegemonii dzisiejszego kapitalizmu nie ma mowy o odrodzeniu się demokracji liberalnej.

Do tego dochodzi fatalne oddziaływanie tzw. mediów społecznościowych, których funkcjonowanie jest wyrazem totalitarnego kapitalizmu z Doliny Krzemowej (skądinąd jej „baronowie", tacy jak Peter Thiel czy Elon Musk, jawnie deklarują nienawiść do demokracji). Wszystkich mieć pod kontrolą i wszystkimi manipulować, także za pomocą sztucznej inteligencji. Ale najpierw ogłupić. Pozbawić zdolności do krytyki i samodzielnego myślenia. Usunąć nawet cień podejrzenia, że coś jest nie tak z systemem, a nie z ludźmi. Przekonać, że świat jest i będzie areną kupczenia prywatnością, hiperkonkurencji i walki wszystkich ze wszystkimi. Zgnieść wszelki potencjalny opór przez wypranie mózgów.

Zmierzam do tego, że bez podważenia hegemonii dzisiejszego kapitalizmu nie ma mowy o odrodzeniu się demokracji liberalnej. Jeszcze nie jest za późno. Oprócz bezwstydnego kapitalizmu typu anglosaskiego wciąż istnieje kapitalizm względnie przyzwoity typu skandynawskiego. Poza wszystkim innym – model anglosaski jest prawie zupełnie nieczuły na kwestie zmian klimatycznych. Dominacji takiego kapitalizmu Ziemia po prostu dłużej nie wytrzyma. Musk i reszta socjopatów z Doliny Krzemowej być może ucieknie na Marsa, ale my nie. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 30e64a71d6

Sprowokowane zęby Jana Rulewskiego

Co się wydarzyło 19 marca 1981 r. w siedzibie Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy

Andrzej Sikorski

Przed Urzędem Wojewódzkim w Bydgoszczy stoi pomnik – wielki głaz na metalowym cokole, nazywany „zębem Rulewskiego". Co roku 19 marca, w rocznicę wydarzeń bydgoskich, przed „zębem Rulewskiego" spotykają się przedstawiciele władz państwowych i samorządowych, działacze Solidarności, mieszkańcy miasta i młodzież szkolna, by oddać hołd ludziom antypeerelowskiej opozycji dotkliwie pobitym przez milicję.

Lechu, nie wyjdziemy stąd

Według oficjalnej narracji było to jedno z najbardziej dramatycznych wydarzeń, do jakich doszło w czasie tzw. karnawału solidarności, czyli między podpisaniem porozumień sierpniowych 31 sierpnia 1980 r. a wprowadzeniem stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. Na początku 1981 r. osią sporu między Solidarnością a władzami była kwestia powołania niezależnego związku zawodowego zrzeszającego rolników indywidualnych. W grudniu 1980 r. rozpoczęła się fala strajków i protestów rolniczych; m.in. zajęto budynek Urzędu Miasta i Gminy w Ustrzykach Dolnych oraz Dom Kolejarza, byłą siedzibę Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych w Rzeszowie. W lutym 1981 r. strajkujący i komisja rządowa podpisali słynne porozumienia rzeszowsko-ustrzyckie, które oznaczały zapowiedź uznania NSZZ Rolników Indywidualnych Solidarność (związek został oficjalnie zarejestrowany 12 maja 1981 r., powstał z połączenia trzech rolniczych związków zawodowych: NSZZ Rolników Indywidualnych Solidarność Wiejska, NSZZ Solidarność Chłopska i Chłopskich Związków Zawodowych). Jednak chłopi nie chcieli czekać i domagali się od rządu natychmiastowych działań. A ponieważ półki sklepowe świeciły pustkami, liderzy protestów twierdzili, że jeśli tylko związek zostanie zarejestrowany, żywności nie zabraknie, a sklepy będą zawalone mięsem, masłem, serami, jajami i rozmaitymi przetworami. Nieprzypadkowo jednym z haseł kampanii było: „Jak nas zarejestrujecie, bułkę z szynką jeść będziecie!".

19 marca 1981 r. delegacja Solidarności oraz przedstawicieli rolników pod wodzą Jana Rulewskiego (wówczas szefa bydgoskiego regionu Solidarności) pojawiła się na sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy, by przedstawić postulat utworzenia rolniczego związku zawodowego. Jednak wbrew wcześniejszym ustaleniom przewodniczący WRN Edward Berger zamknął obrady, nie dopuszczając działaczy do głosu. Wzburzony Rulewski krzyczał, że władza oszukuje, a delegacja Solidarności nie opuści sali, dopóki nie zostanie wysłuchana. Doszło do zamieszania. Ludzie zaczęli się przekrzykiwać. Jedni apelowali do związkowców, by wyszli, drudzy – by zostali.

Po jakimś czasie Rulewski został wezwany do gabinetu wojewody. Okazało się, że dzwonił Lech Wałęsa. „Jasiu, odpuść. Idźcie do domu, ja mam swoje scenariusze. Będę je sobie powoli rozgrywał. Co wy tam chcecie osiągnąć? Nic nie osiągniecie. Po ryjach dostaniecie i tyle", mówił Wałęsa. Jednak Rulewski był nieugięty. „Lechu, nie wyjdziemy stąd", odpowiedział.

Około godz. 19 na salę obrad wojewódzkiej rady narodowej wkroczyli milicjanci i funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa. Siłą zaczęli wyprowadzać związkowców, z których kilku rzekomo zostało ciężko pobitych. Wkrótce światowe media obiegło drastyczne zdjęcie nieprzytomnego Rulewskiego z zakrwawioną twarzą i brakiem w uzębieniu. Fotografia przerobiona na plakat i powielona w tysiącach egzemplarzy została rozwieszona we wszystkich większych miastach w Polsce, a na murach i elewacjach budynków pojawiły się hasła ze znakiem Polski Walczącej: „Pomścimy Rulewskiego". Po dramatycznych wydarzeniach Solidarność ogłosiła pogotowie strajkowe i zapowiedziała strajk generalny. Ostatecznie do niego nie doszło, po rozmowach Lecha Wałęsy z wicepremierem Mieczysławem Rakowskim. Za obietnicę rejestracji wiejskiej Solidarności i ukarania winnych pobicia związkowców strajk generalny został odwołany.

Światowe media obiegło drastyczne zdjęcie nieprzytomnego Rulewskiego z zakrwawioną twarzą i brakiem w uzębieniu.

Wypadła mu koronka

Legenda wybitych zębów Rulewskiego była podtrzymywana przez wiele lat w III RP. W 2007 r. stacja TVN 24 „jako pierwsza" pokazała „nieznany i szokujący" film

eprasa.pl 30e64a71d6



Jan Rulewski w szpitalu, po pobiciu przez milicjantów w siedzibie Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy, 20 marca 1981 r.

z wydarzeń z marca 1981 r. Widać na nim wyjącego z bólu Rulewskiego. „Mówili, że nie będą bili. Uderzył mnie w zęby. Który to tak bił przedstawiciela robotników?! Mój ojciec murarz, matka chłopka. Który to tak bił? Przyznaj się! Krew na twoich rękach na pewno jest. Zrób te zdjęcia teraz, jak zmasakrowałeś, draniu! (…) Zęby mi wybiliście! Wstyd mi, że jest pan Polakiem!”, krzyczał Rulewski do milicjantów.

Drugi raz do zamachu na zęby Rulewskiego doszło 19 marca 2009 r., czyli w 28. rocznicę tragicznych wydarzeń. Haniebny atak przypuścił na łamach „Expressu Bydgoskiego” Krzysztof Błażejewski, kiedyś redaktor biuletynu Wolnych Związków Zawodowych. Błażejewski przytoczył wypowiedź Zdzisława Hetziga, działacza Ruchu Młodej Polski i pierwszej Solidarności, bliskiego współpracownika Rulewskiego.

Hetzig tak zrelacjonował wydarzenia z 19 marca 1981 r.: „Wieczorem (...) spytałem doktora Klotza, jaki jest stan Rulewskiego. (...) Na to Klotz wziął mnie na stronę i powiedział: »Nic mu nie jest, udaje. Nie znasz Jacha, lubi robić teatr wokół swojej osoby«. »A zęby?« – spytałem. »To nie wiesz, że on ma koronkę? Koronka mu wypadła«. Jego odpowiedź zaszokowała mnie zupełnie. Patrzę na leżącego Rulewskiego, który leży jak trup, a w uszach brzmią mi słowa Klotza i nie wiem, czy się śmiać, czy płakać”.

Błażejewski zacytował też samego Rulewskiego, który powiedział, jak było naprawdę. „To było pierwsze w epoce komunizmu zwycięstwo propagandy Solidarności nad propagandą partyjną. Kiedy następnego dnia stoczniowcy szli rano do pracy, już mieli od nas odpowiednie informacje. A w Warszawie Rakowski z innymi dopiero zastanawiali się, jak to napisać. Zostałem pobity podczas wyprowadzania z sali, to fakt, ale nie doznałem z tego powodu żadnego »inwalidztwa«. Nie wybito mi zębów, wypadła mi tylko proteza. Najpierw, gdy mnie wynoszono w sposób »niezbyt elegancki«, naciskając kastetami, wyginając ręce, miałem odchyloną głowę. Wówczas zauważyłem, że ktoś, kogo później nie rozpoznałem, podbiegł do mnie i zatkał mi usta, bo padła wcześniej komenda »Zamknij mu pysk!«. Potem zostałem uderzony, nie pamiętam, ile razy. To wszystko zostało potem zapisane w aktach postępowania prokuratorskiego. Ale tu nie szło o to, że ktoś Rulewskiego uderzył. To było uderzenie w związek. Ja się czułem przede wszystkim dotknięty psychicznie, że oto, reprezentując 300-tysięczny związek, przychodząc na pokojową rozmowę, zostałem zignorowany i pobity. To była największa obelga, z którą, przyznaję, nie umiałem sobie psychicznie poradzić. Reszta to była sprawa naszej propagandy. Kiedy byłem w szpitalu, nie miałem już wpływu na dalszy rozwój wydarzeń. Niczym już nie sterowałem, cały personel szpitalny przetrzymywał mnie ponad miarę, właściwie uciekłem ze szpitala”, mówił Rulewski, który przednie zęby stracił, ale w całkiem innych okolicznościach.

To prowokacja

Po publikacji artykułu Rulewski napisał list otwarty, w którym postawił Błażejewskiemu zarzut „epatowania czytelników nieistotną, z punktu widzenia historii, analizą stomatologiczno-psychiczną uczestników wydarzeń marcowych (…), przeprowadzaną w dniu obchodów”, co miało na celu „odciągnięcie uwagi czytelników od właściwego przebiegu obchodów”, a Hetziga nazwał „sfrustrowanym dezerterem z Solidarności przebywającym od wielu lat w Niemczech”.

Za obietnicę rejestracji wiejskiej Solidarności i ukarania winnych pobicia związkowców strajk generalny został odwołany.

Przytoczę jeszcze rozmowę Rulewskiego (z maja 2009 r.) z dziennikarzami „Gazety Wyborczej” Piotrem Głuchowskim i Marcinem Kowalskim. „– Pamięta pan, senatorze, kto uderzył? – Nawet nie pamiętam, jak to się stało. – A zęby? – Miałem protezę, półprotezę właściwie. I ją wybili. – Albo sama wyleciała. – Też możliwe. – No to czemu się pan teraz złości, że to wyszło na jaw? – W rocznicę?! To prowokacja, taka jak i tamta!”, odparł wzburzony Rulewski.

Nie wyjaśnił jednak, kto był prowokatorem. On, robiąc teatralną aferę, czy milicjanci, których fałszywie oskarżył o wybicie przednich zębów. ■

FOT. PAP/CAF/STEFAN KRASZEWSKI

eprasa.pl 30e64a71d6

O spóźnionych antykomunistach

Stanisław Kwiatkowski

Tegoroczne obchody dnia pamięci o żołnierzach zbrojnego podziemia antykomunistycznego z okresu po II wojnie światowej znów były okazją dla spóźnionych antykomunistów do retorycznych ataków na przeciwników politycznych i wygłaszania kłamstw o PRL.

Większość naszego społeczeństwa, w tym politycy obecnie polemizujący ze sobą w parlamencie, albo była dziećmi w pierwszych latach po zakończeniu wojny, albo urodziła się już w nowej Polsce, co znaczy, że na temat powojennych realiów, rozterek, zachowań i decyzji politycznych tamtego pokolenia wie tyle, ile usłyszała od innych, znalazła w literaturze czy w mediach. A to zawsze były teksty krytyczne, bo bardzo często miały służyć naprawie błędów i wypaczeń, jak się mówiło. Z jednej strony, dominował karykaturalny, skrajnie negatywny obraz, a z drugiej – lukrowany przez propagandę, przez co mało wiarygodny.

Polska Ludowa rodziła się na pobojowisku: kraj zrujnowany wojną, społeczeństwo w rozproszeniu, z piętnem traumy, zdemoralizowane latami okupacji. Skończyła się hitlerowska okupacja, zaczęło się nowe zniewolenie. Znów, jak dawniej pod zaborami, reagowano w trojaki sposób: przez opór, trwanie lub przystosowanie. Zachowania i postawy tego rodzaju przybierały rozmaitą postać, zależnie od warunków: raz zbuntowaną, romantyczno-emocjonalną, innym razem ugodową, racjonalną – wzorem rozważnego patriotyzmu Stefana Żeromskiego.

Wspominając o początkach Polski Ludowej, o powojniu, warto sięgać do Żeromskiego, który w czasach zaborów opowiadał się za rozważnym patriotyzmem, nawoływał, by realizm wziął górę nad romantyzmem politycznym. Jako „fanatyczny patriota" – tak sam siebie określał – krytycznie odnosił się do porywczych zachowań. Zalecał rozwagę, trzeźwe myślenie w sprawach społecznych, by nie zapominać, że „w patriotyzmie po sercu ma miejsce rozsądek, zimny rozsądek – polityka". Krytykował zarówno wyrazy bezradnego konformizmu wobec ucisku rusyfikacyjnego, jak i „niewczesne porywy" romantycznego marzycielstwa narodowo-wyzwoleńczego, trwanie na pozycji szlachetnych straceńców.

Polska Ludowa rodziła się na pobojowisku: kraj zrujnowany wojną, społeczeństwo w rozproszeniu, z piętnem traumy, zdemoralizowane latami okupacji.

Znalazłem w „Dziennikach" pisarza następujący fragment (z 1883 r.): „Patriotyzm jest głupotą, gdy się manifestuje tam, gdzie powinna mieć miejsce polityka". Uzasadniał to tak: mogę nienawidzić, ale okazywać tego „nie mogę, bo nie pozwala na to rozumny patriotyzm i zrozumienie okoliczności. (...) Milczeć, czekać, pracować, nie mieszać się do świata, iść swoją drogą, przyklaskiwać postępowi, trzymać się gruntu realnego! Pamiętać, że dwa a dwa – to cztery".

Kto jest władny obecnie oceniać ówczesne, w 1945 r., zachowania kierujących się pragmatycznym realizmem, politycznym konformizmem czy oportunistów gotowych do kompromisu, adaptacji do warunków? Czy spóźnieni antykomuniści, którzy zawsze mają gotowe moralne oceny – przeszłości i teraźniejszości – i wykrzykują w Sejmie „precz z komuną!", pozwalając sobie na złośliwości o towarzyszach, byłych członkach PZPR – mają mandat do tego, żeby ich osądzać?! Krytykują niegdysiejsze zachowania, odważnie moralizują i się puszą, bo dziś ich życie jest bezpieczne i przestrzeganie zasad moralnych nic ich nie kosztuje.

Przez dziesięciolecia trwała u nas krytyka PRL, w dużej mierze słuszna. To naturalne, że wzajemnie się oceniali i spierali ci, co szli do kraju z Andersem z Zachodu, z tymi, co przyszli z Armią Czerwoną ze Wschodu, AK i GL, PPR i PPS, komuniści z antykomunistami, z tymi, co zostali na emigracji albo poszli do lasu. Nic dziwnego, że radykalnie różniły się opinie tych, co stracili dawną pozycję, zostali zdeklasowani, od wypowiedzi tych, którzy zyskali na zmianach. Że partyjni dogmatycy polemizowali z rewizjonistami, zwolennikami reform ustrojowych i gospodarczych, że krytyczne memoriały pisali autorzy z Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość", były protesty i strajki w obronie swoich racji. Były KOR i Solidarność. Cały czas coś sobie zarzucano i wzajemnie się oskarżano.

A potem, po zmianie ustrojowej, ruszyła lawina oskarżeń wobec poprzedniego okresu historycznego, kłamstw o tym, czego dokonano, o niewątpliwym dorobku. Został po tej politycznej bijatyce osad, szlam, w którym teraźniejsi „antykomuniści" dopatrują się bagna PRL. Być może to jest jakieś wyjaśnienie braku uznania za to, czego dokonało pokolenie PRL. Też miało plany ponad miarę, ale musiało trzymać się ziemi.

Czy można zapominać o powojennej odbudowie? O zagospodarowaniu Ziem Zachodnich, o zmianie struktury gospodarczej kraju z rolniczej na przemysłową, o wielkiej zmianie społeczeństwa, jaka wtedy nastąpiła? O tym, że powstało społeczeństwo inkluzywne, dające wszystkim szanse rozwoju, społeczeństwo wyedukowane, uprzemysłowione i unowocześnione?

Chociaż trzeba przyznać, że jest coraz więcej wypowiedzi w tym duchu, nie tylko w „Przeglądzie".

Stanisław Kwiatkowski jest socjologiem, politologiem, profesorem nauk humanistycznych.

eprasa.pl 30e64a71d6



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

OZE-sroze, Czarnek-Srarnek

Zaprzeczając samemu sobie, gdyż uważam, że lepiej, kiedy jest ciszej nad tą kreaturą, podzielę się jednak kilkoma uwagami na temat najnowszego, choć nienajmłodszego pomazańca Odchodzącego w Mgłę Zapomnienia Najważniejszego Prezesa w tym kraju, Jarosława Kaczyńskiego, który nie tyle z przytupem, ile z szurnięciem nóżki ogłosił „swojego" kandydata na premiera. Został nim twardogłowy, katolicko-prawicowy, faszyzujący trybun pseudoludowy z tytułem profesora zdobytym w kolesiowskim trybie, choć nie w Collegium Tumanum – Przemysław Czarnek, były wojewoda lubelski, oddany i wierny sługa PiS.

W ulubionych zoologizacjach temperamentów politycznych, gdzie ktoś jest np. jastrzębiem, Czarnek znajduje się poza skalą. Żadne zwierzę na świecie nie przejawia takich zachowań i postaw, jakimi epatuje ten najprawdziwszy z prawdziwych Polak katolik. Zwierzęta nie umieją tak nienawidzić, tak wykluczać, o braku szacunku nie wspominając. Zwierzęta są na szczęście ateistami.

Ale wracam do początku. Wszak premiera desygnuje zwycięskie w wyborach parlamentarnych ugrupowanie polityczne. Czy odbyły się właśnie jakieś wybory? Czy wygrali je Kaczyński et consortes? Nic mi o tym nie wiadomo. Na czym więc polega ów fenomen falstartu wykonanego spektakularnie przez Prezesa nad Prezesami, Śpiocha nad Śpiochami? Korzysta Prezes po prostu, nie, nie z nadchodzącej wiosny, raczej z gnijącej, jesiennej, schyłkowej aury dramatu sondażowego PiS i ze stadobaranich nawyków klasy medialnej, która rzuca się na każdy ochłap „nowego".

Nic się nie dzieje? To zaraz się zadzieje. Macie tu Czarnka, zaraz będzie w każdej lodówce, w szafie, na antenie, na memowisku rzeczywistości. PiS tak chce „przejąć" faszyzującą się falę sympatii, która mknie ku Braunowi i konfederatom. Nie pierwszy to z cyklu pomysł, dokładnie tak samo został wylosowany bokser wyłudzacz mieszkań – Nawrocki, zamiennik Czarnka. Od pierwszych dni na stołku widać, że to brat łata najbardziej skrajnej prawicy w Polsce, w Europie i w USA.

Media już wiszą na Czarnku, analizują dzielenie skóry na wciąż żyjącym niedźwiedziu, pochylają się, mknąc w mgławicę szczegółików, pomyślików, byle się kręciło, wzburzało, emocjonowało – tak się buduje potęgę big techów, których media są chłopcem i dziewczynką na posyłki.

Sam „brawurowy" pomysł Prezia nie był zaskoczeniem, lament nad konfliktogennym pseudopopulistą Czarnkiem już dawno dotarł pod ścianę. Co jeszcze głupszego, bardziej chamskiego i brutalnego może nam powiedzieć ten węglowy żeliwniak umysłu? A może, może, jeszcze zostaniemy zmuszeni do komentowania, odnoszenia się, traktowania poważnie. Ale przecież wszystko, co zrobił, wyrzekł, wykrzyczał, wycharkotał ten rynsztokowy profesor już powinno go wygnać na polityczny margines albo w niebyt. Ale nie u Kaczyńskiego, on ma osobistą satysfakcję, że może takie horrendum pudendum wytaszczyć na szczyt medialnych trendów i zainteresowań.

Warto przypomnieć erystyczne Himalaje Czarnka. Z niezakłóconą myślami pewnością siebie tak perorował: „Idź i pracuj, jeździj na traktorze, na kombajnie, ucz się, rób karierę. Kariera w pierwszej kolejności, a później może dziecko. Prowadzi to do tragicznych konsekwencji. Pierwsze dziecko rodzi się nie w wieku 20-25 lat, tylko w wieku 30 lat. Jak się pierwsze dziecko rodzi w wieku 30 lat, to ile tych dzieci można urodzić? To są konsekwencje tłumaczenia kobiecie, że nie musi robić tego, do czego została przez Pana Boga powołana"; „Nie istnieje coś takiego w przyrodzie jak małżeństwo homoseksualne".

Rodzina? A jaka? Taka: „Jeśli ktoś chce zniszczyć rodzinę, uderza w kobietę. Od kobiety zależy przyszłość rodziny. Wyobraźcie sobie rodzinę, w której mężczyzna zajmuje się małymi dziećmi, karmi je, ubiera, szykuje do szkoły, a kobieta o 12 w nocy przychodzi pijana. Ta rodzina nie jest w stanie przetrwać więcej niż dwa miesiące, trzy miesiące"; „Rzetelnie to jest wówczas, kiedy powiemy, jaka jest rola homoseksualizmu w tej zbrodni i dlaczego homoseksualizm jest główną przyczyną pedofilii w Kościele"; „Brońmy nas przed ideologią LGBT i skończmy słuchać tych idiotyzmów o jakichś prawach człowieka czy jakiejś równości. Ci ludzie nie są równi ludziom normalnym i skończmy wreszcie z tą dyskusją"; „Konieczność stosowania tego rodzaju kar (cielesnych) wydaje się być oczywista: qui bene amat, bene castigat (kto kocha naprawdę, ten karci surowo), melius est pueros flere quam senes (lepiej płakać w dzieciństwie niż na starość) – mówili starożytni, którym trudno zarzucić wyznawanie nierealistycznej wizji człowieka"; „Postępuje szybko animalizacja człowieka i humanizacja roślin i zwierząt. Stąd postulaty obywatelstwa dla zwierząt, zakazu strzelania do dzików i jednocześnie aborcji na życzenie dla ludzi".

I na koniec: „Jestem szczęśliwy, kiedy widzę psa uwiązanego na łańcuchu". Odrażające? Tym lepiej! Czarnek jest właśnie takim dzikim, agresywnym, przestraszonym, dlatego głośno ujadającym psem spuszczonym z łańcucha. To portret słabego, rozhisteryzowanego mężczyzny w historycznym maczystowskim kostiumie.

Nie bój ryby.

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 30e64a71d6

Łzy pradziadka

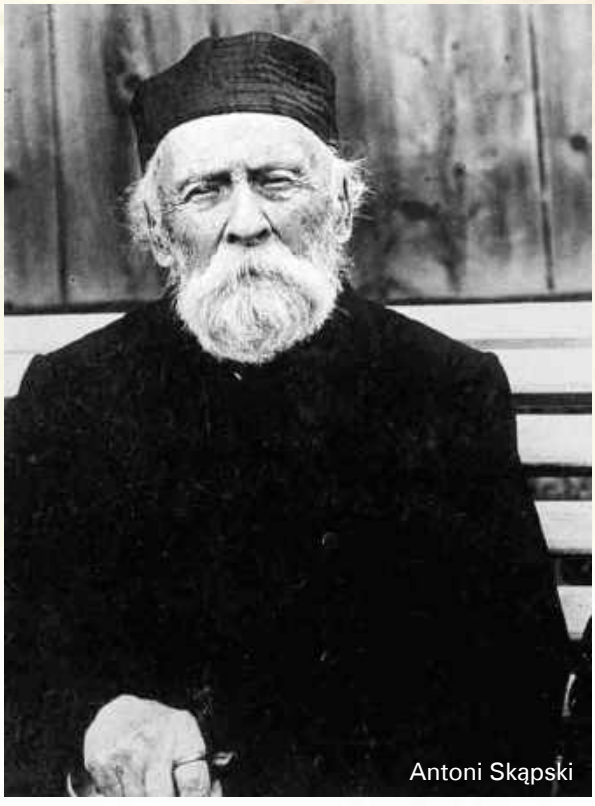
Obgadywałem sprawę zniesienia pańszczyzny. Gospodarzom podobały się moje słowa, lecz nie uwierzyli, żeby panowie tego chcieli

Rafał Skąpski

W lipcu 1845 r. zaczęła krążyć propaganda rewolucyjna między młodszą patriotyczniejszą szlachtą i tegoż rodzaju oficjalistami a młodzieżą akademicką. Na czele tej propagandy i od niej stali wychodźcy we Francji. Celem było uwolnić lud od pańszczyzny, wprowadzić równość praw i pociągnąć go za sobą ku wywalczeniu wolności i oswobodzenia Polski z wrogów. Historia oceniła to powstanie, niedołężnie kierowane, a więc bardzo smutnie zakończone. I nie mogło być inaczej, gdyż między szlachtą a ludem nie było nie tylko harmonii, lecz wręcz po największej części nienawiść. Rzadko gdzie był chłop sprawiedliwie traktowany, przeciwnie, na każdym prawie kroku wyzyskiwany.

Lud, konserwatysta z natury, podejrzliwy, bo uciskany od wieków, nie mógł ciemiężcom swym zaufać pomimo najsolenniejszych obietnic wolności. Gdy nadto rząd, na którego czele stali prawie wszędzie Niemcy starostowie, poznał, co się święci, bo szlachta sama swoją niedorzeczną gadatliwością, butą i odgrażaniem się uwagę jego na rewolucyjne dążności partii demokratycznej zwróciła, a chociaż kilkunastu roztropniejszych przed niebezpieczeństwem ostrzegało, warchoły nie dali się przekonać i z coraz większą zuchwałością prawie pod nosem starostów hałaśliwe i pijatyckie zjazdy rewolucyjne urządzali – przed innymi tak działo się i w Tarnowie. Czy to było zdradą, czy tylko głupotą, na jedno wyszło, gdyż starostowie w ten sposób znali każdego człowieka do powstania należącego.

Organizacja najgorzej była prowadzona. Magnateria stała na uboczu, a większa część wyjechała za granicę. Zdolniejsi i znaczeniem swem przedniejsi panowie, jeżeli nie usunęli się całkowicie, to zastawiali się swymi oficjalistami, a ci, jakkolwiek pełni poświęcenia, nie mieli ani zdolności, ani znaczenia na tyle u ludu, aby zjednać sobie jego zaufanie i tak wielkiej doniosłości przedsięwzięciu podołać. Dlatego pomimo tak słabych sił ze strony rządu powstanie w zarodzie upaść musiało.



Antoni Skąpski

Około 1700 osób inteligencji, nawet kilku księży, wskutek poduszczenia rządu poniosło śmierć w barbarzyński sposób z rąk chłopskich kosami, cepami, widłami, siekierami, a kilka milionów w majątkach przez pożary, burzenie sprzętów, rabunek w bydle, w zbożu etc. przepadło.

Zacząwszy od 17 lutego 1846 r., mordowano, rabowano, palono przez kilkanaście dni w Galicji majętniejsze dwory. Szczególnie tarnowski i bocheński cyrkuł, na czele których stali starostowie Bernd i Breinl [w rękopisie Breindl], zaciekli Niemcy i wrogi Polaków, był pastwą rozjuszonego chłopstwa, albowiem nie tylko dano mu wszelką wolność zabijania i rabowania, lecz nadto płacono po 10 f. za zabitego, a po 5 f. za aresztowanego szlachcica. Gdyby wszyscy starostowie taką rzeź urządzili, nie byłoby prawdopodobnie wiele dworów się ostało, a szlachty byłoby stokroć więcej wyginęło, lecz było kilku starostów bardzo zacnych, którzy rozkazu mordowania szlachty i rabowania nie usłuchali. Historia zapisała ich imiona ku wiecznej pamięci i wdzięczności narodu polskiego, chociaż niemieckie nosili nazwiska.

Z nieszczęścia tego korzystali, jak zawsze – Żydkowie. Oni skupywali od rabusiów złoto, srebro,

eprasa.pl 30e64a71d6



Jan Lorentowicz, „Rabacja chłopska 1846”, obraz z 1851 r.

klejnoty, wymieniali większe banknoty, a wszystko za bezcen, gdyż chłop pijany nie znał wartości zrabowanych rzeczy, a nadto chciał się tego pozbyć, bo paliło jego dłonie. Kochany Żydek zręcznie umiał z jego nienawiści i głupoty korzystać, a często gorzałką podsycał ją. Dużo dałoby się powiedzieć na tym miejscu o Żydach, lecz wolę dać spokój; Bóg sprawiedliwy – spotka ich lub ich następców kara zasłużona.

Przeszło 3000 osób zostało przyaresztowanych. W każdym starostwie otwarto areszta, po kilka ubikacyj [pomieszczeń] naprędce opatrzono kratami, drzwiami żelaznymi i wartami. Często ludzi zupełnie niewinnych, gdyż od humoru urzędników, gdzieniegdzie nawet policyjnych miejskich zawisło przyaresztowanie inteligencji, kto się nie podobał lub na wsi pozostał, został przez chłopów pomimo protestacji i dowodów niewinności aresztowany. Dopiero gdy strach minął, zaczęto po kilku tygodniach z aresztów niewinnych wypuszczać za urzędowymi przepustkami z zakazem niepokojenia uwolnionych.

Będąc już w lipcu 1845 r. w spiskowe roboty wtajemniczonym, jakkolwiek przeciwny tymże, gdyż nie miałem zaufania w takiej sprawie potrzebnego do ludu, a na nim budować kazano, obgadywałem sprawę zniesienia pańszczyzny, tańszą sól i równouprawnienie wszystkich w ogóle z niektórymi gospodarzami z Zagorzyna, Kiczny i Kamienicy, których znałem jako uczciwych. Podobały się im moje słowa, lecz żaden nie uwierzył, żeby panowie na serio tego chcieli, tudzież żeby rząd na to zezwolił, gdyż przyzwyczajeni do niewoli tak dawnej i zawisłości od swych panów, nie mogło im się w głowie pomieścić, aby panowie dobrowolnie pańszczyzny, która ich przy dobrobycie utrzymywała, się zrzekli. Żeby zaś za takie przyrzeczenie, a choćby natychmiastowe uwolnienie, oni na rząd się porwali, o tym i słyszeć nie chcieli, i bardzo rozumnie.

Moja propaganda między ludem rozchodziła się, mowy moje przyjmowali dobrze, lecz na tym się wszystko kończyło, oni pozostali obojętni, a że przez cały pięcioletni okres mej służby w Kamienicy nikomu krzywdy nie zrobiłem, więc lubiano mnie i nie było denuncjanta. Dopiero w styczniu 1846 r. chłop rodem ze Zabrzezi (nazwisko jego wyszło mi z pamięci), złapany przez strażnika z tytoniem przemycanym z węgierskiej strony, gdzie wówczas jeszcze monopolu tytoniowego nie znano, za uwolnienie go od kary opowiedział strażnikom, żem chłopów namawiał, aby trzymali z panami, nie z cysarzem, i coś więcej dodał. Strażnicy donieśli to natychmiast do starosty w Nowym Sączu, a tenże kazał mnie aresztować.

W poniedziałek rano ok. 8 godziny dnia 23 lutego 1846 r. przyszło do mnie 9 strażników z respicjentem na

20 marca 75-lecie urodzin będzie obchodził Rafał Skąpski. Pracował w wielu instytucjach kultury: był wiceministrem kultury, sekretarzem generalnym Narodowej Rady Kultury, prezesem zarządu Fundacji Kultury Polskiej; jest prezesem Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek, działaczem Stowarzyszenia Autorów ZAiKS, wiceprezesem Stowarzyszenia Kuźnica. On sam jest instytucją. Polskiej kultury. Człowiekiem całkowicie jej oddanym.

Drogi Rafale, wracaj szybko do zdrowia! Czekają autorzy, wydawcy, polska kultura.

Jerzy Domański
Paweł Dybicz
Robert Walenciak

eprasa.pl 30e64a71d6

czele, okazali mi rozkaz aresztowania i odstawili do Sącza, oddawszy w ręce wówczas ze swej gburowatości i chciwości sławnego rewizora policji, niejakiego Piskozuba, Rusina gdzieś od Czernowic, przed rokiem do Sącza przybyłego.

Przed aresztowaniem mojem poszedłem do rządcy Kubalego, oddałem mu klucze od kasy i prosiłem o przeliczenie ich w obecności mojej żony, albowiem oprócz pieniędzy prowentowych były także podatkowe, jakkolwiek największą część przed kilkoma dniami do kasy cyrkularnej odwiozłem, prosząc rządcy, aby tymczasem, niż mnie z aresztu uwolnią, wszystko jak dawniej zostało, sądziłem bowiem, że tylko wskutek jakichś bajek, z których się łatwo oczyszczę, aresztowany zostałem. Wprawdzie dniem przed aresztowaniem moim byłem przestrzeżonym przez jednego strażnika, abym uciekał, gdyż będę aresztowanym, atoli nie chciałem na nie znane mi oskarżenie kryć się i gdzie? (…) Jakoś na dwa tygodnie przed aresztowaniem moim zwołała szlachta sandecka zjazd do Łukowicy do [Józefa] Głębockiego, człowieka już wiekowego, właściciela jednej, ale ładnej części Łukowicy. (…)

Około 30 mężczyzn zjechało się do Głębockiego, z których większą część nie znałem, m.in. był Traczewski, którego lepiej znałem, a ten mnie z innymi poznajomił. Pogadanka jakoś nie szła ochoczo, niektórzy panowie posiadali do kart, inni w osobnych kółkach rozmawiali. Dopiero przy kolacji po kilku kieliszkach rozochociła się wiara i pogwarka szła weselej. Poruszono też temat o powstaniu. Różne odzywały się głosy i zdania, lecz nikt nie objawił wyraźnie swej myśli, każden się krył z nimi, a czuć było, że wiary w dobre zakończenie tej sprawy nie było. Był tam także obecnym austriacki kapitan na pensji [emeryturze], Lubieniecki, wieku ok. 45 lat. Miał to być zdolny oficer ze szkoły wojskowej. Proszono go, aby objął naczelnictwo wojskowe w sandeckiej ziemi, lecz w żaden sposób tej niebezpiecznej godności przyjąć nie chciał. Tłumacząc się tem, że jest słabowity od dłuższego czasu, że nie ma głosu do komendy potrzebnego, a wreszcie, będąc bardzo małego wzrostu, nikt by go słuchać nie chciał.

Rzeź Woli: nieukarane ludobójstwo

Jako autorka książki „Opowieść mojej mamy” (Znak Horyzont 2023, nominacja do Nagród Historycznych „Polityki” 2023) pozwalam sobie odnieść się do tekstu autorstwa Pana Redaktora Pawła Dybicza z nr. 31/2025.

Przede wszystkim publikowany w tekście dokument „Dzielnica Wola w powstaniu warszawskim” nie jest pierwszym naukowym opracowaniem ludobójstwa na mieszkańcach Woli, powstałym „niemal na gorąco”, „zaledwie trzy lata od opisywanych wydarzeń”.


Rzeź Woli: nieukarane ludobójstwo

Prawdziwie pierwszym dokumentem relacjonującym te dramatyczne wydarzenia jest powstała w sensie dosłownym „na gorąco”, bo na podstawie zeznań świadków zebranych jeszcze w trakcie powstania i zaraz po jego zakończeniu, pozycja naukowa pt. „Zbrodnia niemiecka w Warszawie w 1944 r.” w opracowaniu Edwarda Serwańskiego i Ireny Trawińskiej (Wydawnictwo Instytut Zachodni, Poznań 1946, reprint z 2017 r.). Książka ta jest plonem spektakularnej, bezprecedensowej, chociaż mało znanej konspiracyjnej akcji Polskiego Państwa Podziemnego o kryptonimie „Iskra-Dog”. Istotą akcji, przeprowadzonej w całości przez środowisko organizacji niepodległościowej Ojczyzna wyrosłej z Wielkopolski, było zbieranie, opracowanie i opublikowanie 314 tzw. protokołów powstańczych. Trzy z nich – zawarte w ww. publikacji, która została włączona przez polską delegację w Norymberdze do materiałów oskarżycielskich – zostały odczytane, jako jedyne polskie źródło tego rodzaju, w trakcie procesu norymberskiego (w internecie dostępne jest nagranie z tego dnia procesu, wersja angielska i niemiecka, jest też polska transkrypcja).

Inicjatorem i koordynatorem akcji był poznański historyk, profesor Instytutu Zachodniego, Edward Serwański (mój Ojciec).

Akcja „Iskra-Dog”, wraz z jej dramatycznymi losami: z okupacji, powstania, Norymbergi, ubeckich kazamat działaczy Ojczyzny i długich lat komunistycznego zniewolenia, jest warta przypomnienia przez historyków i przedstawienia miłośnikom historii: jest to dramatyczny, wielowątkowy obraz historii Polski XX w., zakleszczonej w dwóch reżimach: hitlerowskim i stalinowskim.

Od kilku lat i książka, i akcja „Iskra-Dog” przeżywają swój renesans, zyskują coraz większą, należną im uwagę w mediach i miejsce w narracji historycznej o powstaniu.

Przytoczony w tekście Pana Redaktora fragment relacji „jednej z ofiar” jest w istocie najbardziej chyba znanym zeznaniem z opisu horrendum Woli; to wstrząsające wspomnienie pani Wandy Lurie, nazywanej Polską Niobe. Jest to relacja złożona przez nią 10 grudnia 1945 r. dla okręgowej komisji badania zbrodni niemieckich, ale jeszcze wcześniejsza, pierwsza, najbardziej więc autentyczna wypowiedź pochodzi z akcji „Iskra-Dog” (została spisana przez Irenę Trawińską, współpracownicę mojego Ojca, w ambulatorium PCK w Podkowie Leśnej), z 2 września 1944 r. (!!!) I jako protokół nr 63 została wydrukowana w „Zbrodni niemieckiej w Warszawie w 1944 r.” (s. 37-40 w reprincie z 2017 r.) I jako taka jest w aktach procesu norymberskiego. Niestety, bardzo często cytowana jest beztrosko, bez podania źródła lub łączona z późniejszymi zeznaniami pani Lurie (kilka zdań z protokołu nr 63, a kilka z innych zeznań, co jest niedopuszczalne i nieprzyzwoite).

Uprzejmie proszę o skorygowanie nieprawdziwych danych o okresie powstawania dokumentów opisujących zbrodnie niemieckie w Warszawie i o przywołanie pierwszych, najcenniejszych form upamiętnienia tychże („Zbrodnia niemiecka w Warszawie 1944 r.” i akcja „Iskra-Dog”) z szacunku dla historii, prawdy historycznej, dla uhonorowania dzielnych działaczy Ojczyzny i pięknego, skromnego zespołu „Iskry-Dog” – głównie wolontariuszy – a także Czytelników Państwa Gazety.

Małgorzata Wryk

eprasa.pl 30e64a71d6

Powiedział:

– Przyjechałem, bo mnie pod słowem prawego Polaka wezwano, lecz na komendanta nie czuję w sobie zdolności ani zdrowia, ani siły; na to trzeba młodszego. Od podrzędniejszej roli się nie cofam.

Dość długo trwały debaty nad tym przedmiotem bez skutku, nikt nie chciał przyjąć tak wielkiej odpowiedzialności. Gdyśmy się już po północy mieli rozjeżdżać, zapytałem obecnych:

– Jakiż rezultat naszego zjazdu i z czem jedziemy do domu?

Na to kategoryczne pytanie odezwał się kapitan Lubieniecki, obok którego przy kolacji siedziałem i najwięcej z nim o tej sprawie rozprawiałem, ażeby komendę tak wojskową, jako też cywilną w Sandeckiem mnie powierzyć. Rozumie się, iż na tę propozycję w głos się roześmiałem, uważając ją za żart niewczesny, a że wszyscy dosyć gorąco mieli w głowie, a na dobitek jeszcze strzemiennego dopijali, więc jedni przyjęli ten wniosek Lubienieckiego na serio, drudzy za żart, wypito ostatecznie moje zdrowie jako wodza sandeckiego i rozjechaliśmy się, każden w swoją stronę, bez najmniejszego dodatniego rezultatu, wyjąwszy, żeśmy panu Głębockiemu porządnie piwnicę osuszyli.

O tym zjeździe dowiedziała się szlachta i duby rozpowiadała, a gdy wkrótce mnie przyaresztowano, a niezadługo zarządcę papierni Koszyka, gdy wezwano także leśniczych do starostwa i nareszcie pana Maksymiliana Marszałkowicza, mieszkającego chwilowo z moją żoną i Koszykową w Starym Sączu, zaaresztowano i do Nowego Sącza odstawiono, wtedy brat starszy pana Marszałkowicza, pan Felicjan, właściciel Stronia, chcąc brata swego od skutków tak groźnych zarzutów uwolnić, jeśli niemożebnym było, oczyścić, powiedział staroście sandeckiemu, Bochyńskiemu, (…) o zjeździe w Łukowicy, a chociaż uniewinniał pana Głębockiego, jako niewiedzącego o niczym, na mnie przeważnie złożył największą winę, jako na najniebezpieczniejszego rewolucjonistę i wyznaczonego dyktatora cyrkułu sandeckiego; tak był na mnie łaskaw. Powiedział dalej, że brat jego, pan Maksymilian, nie mógł sprawy zdradzić, gdyż mu zagrożono kulką, lecz że w niczem rewolucji nie popierał, że się z nią nie łączył i tym podobne duby.

Pan M. Marszałkowicz opłacił się grubo i wyszedł dzięki także braciszkowi po kilkumiesięcznej kozie dość obronną ręką na wolność, zaś nieszczęśliwy starzec, pan Głębocki, przypłacił denuncjację życiem, a ja, jakkolwiek sędzia śledczy, prócz dwóch chłopów, to jest owego denuncjanta złapanego z węgierskim tabakiem [tytoniem] i drugiego z Kamienicy, chłopa starego, głuchawego (więcej żaden chłop przeciw mnie świadczyć nie chciał), żadnego innego świadka przeciw mnie nie miał – zostałem na dziesięć lat ciężkiego więzienia na Szpilbergu skazany. Wszystko to jedynie wskutek denuncjacji pana Felicjana Marszałkowicza ze Stronia. (…)

Przyaresztowany przez strażników skarbowych, wieziony do Sącza pod eskortą tychże, spotkałem w drodze wracających ze Sącza ks. Berdychowskiego, proboszcza i pana Franciszka Zarembę, rządcę z Jazowska, obydwóch znanych mi bardzo dobrze, gdyż często w Jazowsku we dworze celem kupna zboża tak dla siebie, jak też dla robotników fabrycznych bywałem. Poznawszy mnie, przerażenie malowało się na ich twarzach, gdy koło nas przejechali, a ja się im ukłoniłem; zwłaszcza ks. Berdychowski, już starzec, zresztą zero polityczne.

Przywiezionego do Nowego Sącza odstawiono mnie do starostwa (dzisiaj mieści się tam kryminał). Po krótkim tam pobycie odprowadzono mnie do miejskiej policji, gdzie po półgodzinnym może czekaniu, zastawszy kilku nieznajomych obywateli w bardzo kiepskim humorze, nadszedł policji rewizor, ów sławny później Piskozub, a odebrawszy raport, kazał mi zaraz na ręce i nogi założyć kajdanki i tak przystrojonego koło trzeciej odprowadzić czterem żołnierzom do aresztu. Na pomieszczenie przyaresztowanych wynajęto dom [Johana] Johanidesa na głównej ulicy Starosądeckiej, czyli Węgierskiej, dzisiaj w tym domu mieści się kasa podatkowa i cały urząd dyrekcji Skarbu. Wówczas mieszczono aresztowanych także w ratuszu, w szpitalu cywilnym, a w końcu w piwnicach zamkowych, gdy stosowne ubikacje wynaleźć nie zdołano.

Kilku chorych, pobitych, umieszczono w szpitalu wojskowym, zaś najmajętniejszych kilku obywateli, ok. 10, raczył sam pan Piskozub w swoim pomieszkaniu umieścić i na wikt przyjąć; że ich porządnie oskubał, rozumie się samo przez się, gdyż płacili po 100 f. miesięcznie, prócz grubych prezentów, któremi się żony aresztowanych opłacały, aby mężów zobaczyć i z nimi pomówić. Byli to niby najlżejsi zbrodniarze polityczni, często umykający do miasta dla własnego bezpieczeństwa, lecz ażeby przypadkiem z mieszczanami nie wiązali się w jakie spiski, wzięto ich pod nadzór. Niektórzy już po kilku tygodniach, gdy się uspokoiło w kraju, zostali wypuszczeni, często zastając w domu pustki, bo chłopstwo zniszczyło wszystko, co się zniszczyć dało. (…)

Łatwo sobie, moi drodzy, którzy to pismo czytać będziecie, kiedy do lepszego przeniosę się życia, możecie przedstawić, że jakkolwiek znosiłem ze stoicyzmem moje więzienie, przecież gdy to się za długo już, bo parę miesięcy ciągnęło, a mnie nie wypuszczali, tylko parę razy pod strażą żołnierską w kajdanach do sędziego śledczego przez ulice prowadzili, że mnie zaczął ciężki smutek ogarniać, a w nocy, gdy nikt nie widział, gorzkimi zalewałem się łzami.



Fragment pamiętnika pradziadka Rafała Skąpskiego z książki „Antoni i jego dzieci", opisującej dzieje antenata i jego potomków, wydanej przez Fundację Historia i Kultura, Warszawa 2025

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 30e64a71d6



Ciekawy przypadek Grudziądza

Powiatowe miasta się wyludniają. Trendu nie da się całkowicie zatrzymać, ale można go łagodzić

Kornel Wawrzyniak

Zgodnie z najnowszym raportem na temat depopulacji gmin w latach 2009-2024, opracowanym przez portal Wspólnota, spadek liczby ludności stał się ogólnokrajową tendencją. Jeszcze dekadę temu można było traktować wyludnianie się miast jako przypadki lokalne. Obecnie problem dotyczy zdecydowanej większości jednostek samorządu terytorialnego. Dane Głównego Urzędu Statystycznego wskazują, że depopulacja obejmuje już 72% gmin. Stały przyrost liczby mieszkańców występuje dziś sporadycznie i koncentruje się w strefach podmiejskich aglomeracji.

Władza bez pomysłu

Dlaczego Grudziądz? Bo to miasto idealnie średnie i powiatowe. Duże miasta w regionie nie są zaś przytłaczająco większe i nie kanibalizują okolicy w taki sposób jak Warszawa czy Wrocław. Grudziądz cechuje typowo mieszczańska dynamika, bez drobnomieszczańskich kompleksów. Obumieranie tej tkanki miejskiej stanowi doskonały przykład tego, że kolejne ekipy rządzące nie potrafią sobie poradzić ze zjawiskiem odpływu młodych ludzi ze średnich miast. Mówimy o problemie w skali całego kraju, nie będziemy więc się zajmować krytyką władz lokalnych.

Grudziądz pod względem depopulacji zajął 27. miejsce w kraju. Między rokiem 2009 a 2024 ubyło mu 11,48% mieszkańców. Choć na przestrzeni lat miewał nawet ponad 103 tys. mieszkańców, dziś zostało ich 75 tys. I nic nie wskazuje na to, by tendencja spadkowa miała się zatrzymać w najbliższych latach.

Według zestawienia przygotowanego przez portal Wspólnota równie szybko wyludnia się Bytom. Najmniejszy spadek liczby mieszkańców zanotowano zaś w Żorach, gdzie w tym samym czasie ubyło tylko 0,18%. W Grudziądzu dynamiczny wzrost populacji widać było do 1994 r. Od czasu transformacji cały czas próbuje on zdefiniować się na nowo. Niegdyś miasto przemysłowe, które w 1910 r. zajmowało siódme-ósme miejsce w kraju pod względem obrotów, sto lat później, w marcu 2010 r., było miejscowością z największym, 23-procentowym bezrobociem.

Współczesny Grudziądz charakteryzuje się dużą różnorodnością branż. Przemysł, który dawniej dominował, został zastąpiony przez dynamicznie rozwijający się sektor usług i handlu. Mimo to fabryki z takich branż jak spożywcza, metalowa, budowlana, lekka, papiernicza oraz drzewna nadal zapewniają wielu mieszkańcom miejsca pracy. W mieście funkcjonują również centra logistyczne znanych firm kosmetycznych i spożywczych. Problem

eprasa.pl 30e64a71d6

w tym, że to nie są argumenty, które potrafią powstrzymać odpływ młodych dorosłych.

Tak naprawdę nikt nie wie, co może zatrzymać młodych w średniej wielkości ośrodkach miejskich. Ale to tylko dlatego, że nikt tego nie bada i młodych nie pyta. Wszak nie zawsze chodzi o zarobki. „Wydaje się miliardy złotych na różne inwestycje, a nie ma podstawowej wiedzy, jakie są trendy i procesy w kluczowych kwestiach, których te inwestycje dotyczą, i czy tym samym nie mylimy się co do podejmowanych decyzji. Pierwsze, co trzeba by zrobić, to zbadać według określonych zasad i wskaźników, jak te wyznaczone średnie miasta się rozwijały: jak się wyludniały, jak zmieniała się liczba miejsc pracy, bezrobocie, ubóstwo ludzi. Czy recesja się pogłębiała, a może kryzys został jednak przełamany? Co powodowało takie, a nie inne kierunki zmian? Dotychczas nie widziałem takiej analizy, monitoringu tych miast", stwierdza prof. Przemysław Śleszyński z Komitetu Nauk Demograficznych PAN w rozmowie z portalem Nauka w Polsce.

Ludności ubywa też w większych miastach w regionie. W Toruniu (193 tys. mieszkańców) to 5,83%, w Bydgoszczy 9,4% (330 tys.). Z Włocławka ubyło zaś prawie 16% mieszkańców. Co ciekawe, na przestrzeni lat pod względem liczby ludności Włocławek, dziś z ok. 93 tys. mieszkańców, zamienił się miejscami z Grudziądzem.

Autorzy raportu przygotowanego dla Wspólnoty zwracają uwagę, że depopulacja w sensie przestrzennym nie rozkłada się równomiernie. Największy przyrost liczby mieszkańców obserwuje się głównie w gminach podmiejskich, zarówno wokół dużych miast, takich jak Warszawa, Wrocław, Poznań czy Trójmiasto, jak i w rejonach mniejszych ośrodków subregionalnych. Właśnie tam ludzie najczęściej się przenoszą, co prowadzi do spektakularnych przyrostów, czasem przeszło dwukrotnych na przestrzeni 15 lat.

Sytuacja Grudziądza doskonale to obrazuje. Według ostatnich danych w powiecie grudziądzkim wzrost liczby mieszkańców zanotowano tylko w okalającej miasto gminie wiejskiej Grudziądz. Przybyło tam niemal 28,7% mieszkańców. W pozostałych gminach, sąsiadujących z grudziądzką, ale już nie w pobliżu tak dużego miasta, tylko ubywało mieszkańców. Na przykład w gminie Rogóźno ubyło 3,14%, w gminie Świecie nad Osą – 15,36%, w gminie Gruta – 7,46%, a w Radzyniu Chełmińskim, miasteczku niespełna dwutysięcznym, ubyło prawie 10% populacji.

Prof. Śleszyński zauważa w rozmowie z Nauką w Polsce, że problem depopulacji widoczny w średnich miastach staje się też problemem tzw. ośrodków drugiego szczebla, np. Opola, Gorzowa Wielkopolskiego czy Kielc. To miasta wojewódzkie, które nie wchodzą w skład tzw. Wielkiej Piątki, czyli Warszawy, Krakowa, Poznania, Trójmiasta i Wrocławia. „Jeśli 10, 15 lat temu część młodzieży, która kończyła szkoły średnie, zostawała np. w Opolu, to w tej chwili nawet z Opola ludzie uciekają do Wrocławia", stwierdza prof. Śleszyński.

Blues codzienności

Średnie miasta zmagają się z problemami, które mogą wydawać się błahostką, ale w rzeczywistości są znacznie poważniejsze. – Mój były nauczyciel gitary, aktywny sesyjnie muzyk, zawsze twierdził, że najgorsze są średnie miasta. Tutaj nie da się żyć bez samochodu. Z jednej strony, dojazd do innych miejscowości jest trudny, co bywa frustrujące, kiedy pomyśli się, że to całkiem spore miasto. Z drugiej zaś, problem stanowi również komunikacja miejska, która z perspektywy mieszkańca mogłaby jeździć częściej i dłużej – opowiada Szymon, ubiegłoroczny maturzysta z Grudziądza, który obecnie studiuje w Warszawie.

Grudziądz dość trudno zaliczyć do miast wykluczonych komunikacyjnie. Widać jednak skutki transformacji ustrojowej, która w jego przypadku mocno ograniczyła możliwości transportowe mieszkańców nieposiadających własnego środka lokomocji. W tekście „Wykluczenie komunikacyjne" („Przegląd", nr 43/2024) pisałem, że jeszcze w 1990 r. mieliśmy w Polsce 26 tys. km linii kolejowych, dziś jest ich 19 tys. Dla porównania – od 2004 r. wybudowano 12 tys. km nowych dróg. W tym autostradę, która przebiega obok Grudziądza. Pociągów kursuje mniej, dworzec PKS w ruinie, ale szpital ma lądowisko dla helikopterów (otwarte z wielką pompą przez Bronisława Komorowskiego) na wypadek karambolu na autostradzie A1.

Pytam Szymona, czy planuje wrócić po studiach w rodzinne strony. – Absolutnie nie. Nie chodzi nawet o to, że mam coś do mojego miasta. Jest tutaj chociażby wiele architektonicznych ciekawostek. Czuje się klimat miasta. Niestety, trochę wyludnionego. Wyremontowana starówka wygląda naprawdę godnie. Jednak nie jest to miasto, które obecnie widzę jako miejsce z perspektywami dla osoby liczącej na rozwój zawodowy i jakieś większe pieniądze po studiach.

„W sumie nie da się tego trendu depopulacyjnego całkowicie zatrzymać, ale można go łagodzić, żeby nie było sytuacji dramatycznie kryzysowych, związanych np. z bankructwem budżetów miast i gmin. Państwo powinno być bardziej aktywne, jeśli chodzi o rozwój regionalny. To nie jest kwestia ostatniego roku czy dwóch, ale w zasadzie całego okresu po 1989 r.", ocenia prof. Śleszyński.

W Polsce nie istnieje obecnie kompleksowy, nadrzędny dokument, który w pełni uwzględniałby wymagania dotyczące racjonalnego rozwoju przestrzennego kraju. Koncepcja Przestrzennego Zagospodarowania Kraju 2030 została zaś anulowana w 2020 r., a prace nad stworzeniem nowego dokumentu się przeciągają.

Wyludnianie się mniejszych i średnich miast nie jest kłopotem samorządów, lecz problemem strukturalnym państwa, które przez brak działań w tej sferze traci swoje zaplecze społeczne, gospodarcze i demograficzne. Kraj, który pozwala obumierać miastom powiatowym, rezygnuje z równowagi. Jak mawiali Rzymianie: Quod hodie non curas, cras curabis frustra – czego dziś nie naprawisz, jutro będziesz naprawiał na próżno.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT.SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 30e64a71d6

Adwokat od „trumien na kółkach” trafi do więzienia?

Zapadł prawomocny wyrok w sprawie łódzkiego adwokata, który we wrześniu 2021 r. zabił dwie kobiety

Marek Książek

Mecenas będzie pewnie musiał odsiedzieć w więzieniu karę za swój czyn. Wprawdzie Sąd Okręgowy w Olsztynie złagodził wyrok pierwszej instancji, ale karę pozostawił bez zawieszenia.

Sprawa nabrała rozgłosu przede wszystkim ze względu na niefortunną wypowiedź mecenasa w mediach społecznościowych. Gdyby nie ów brak wyczucia, byłby to przypadek tragiczny, ale w sumie pospolity.

Oto dynamiczny i już uznany 41-letni adwokat wracał z żoną i kilkuletnim synkiem z wesela zaprzyjaźnionej influencerki swoim „wypasionym” samochodem marki Mercedes-Benz. Wyjechał z Olsztyna w stronę Barczewa, potem skręcił na Jeziorany. Z drugiej strony tą samą szosą jechały dwie kobiety do wnuków w Barczewie. Kierująca wysłużonym Audi miała 53 lata, a jej pasażerka – 67. W trakcie mijanki Paweł K. przekroczył podwójną linię ciągłą, zjechał na lewy pas jezdni, zderzył się z Audi i dwie kobiety poniosły śmierć na miejscu.

Wkrótce wspomniana panna młoda, czyli owa influencerka promująca „feminizm, ciałopozytywność i siostrzeństwo”, zamieściła na Instagramie wpis: „Nie mogę oddychać. Moi bliscy przeżyli tylko dlatego, że mieli 2-letnie auto wysokiej klasy z zaawansowanymi systemami bezpieczeństwa. Ofiary jechały dwudziestokilkuletnim autem bez poduszek. Uważajcie na siebie, zapinajcie pasy”.

I wtedy w rolę wujka dobra rada wszedł sprawca wypadku, wrzucając do sieci filmik ze słowami: „Wszyscy mówią o tym, że nadmierna prędkość, że brawura, że telefony



KRAJ

Adwokat od „trumien na kółkach” skazany

Ponad dwa lata trwał proces adwokata oskarżonego o spowodowanie wypadku, w którym zginęły dwie kobiety

Marek Książek

komórkowe, że pijani kierowcy. Ale zapominamy o tym, moi drodzy, że po naszych drogach poruszają się trumny na kółkach. I między innymi dlatego te kobiety zginęły!”. Co innego, gdyby to mówił ekspert od komunikacji, ale tu głos zabrała osoba, która doprowadziła do śmiertelnego wypadku!

Burza po tych słowach była gwałtowna i trwała długo, a po skrupulatnym śledztwie Paweł K. zasiadł na ławie oskarżonych – pisaliśmy o tym w tekście „Konfrontacja adwokata z »trumną na kółkach«” („Przegląd” nr 10/2023). W tym czasie był już zawieszony w czynnościach adwokackich. W kwietniu 2025 r. Sąd Rejonowy w Olsztynie skazał go na dwa lata bezwzględnego więzienia, orzekł wobec niego zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych na okres pięciu lat i zasądził nawiązki dla bliskich ofiar wypadku. Ten wyrok wywołał kolejną falę emocji, ponieważ część internautów uznała, że kara jest za niska, także wobec żądania prokuratora, który domagał się znacznie surowszego osądzenia. Zarówno on, jak i obrońcy oskarżonego odwołali się od nieprawomocnego jeszcze wyroku – pisaliśmy o tym w artykule „Adwokat od »trumien na kółkach« skazany” („Przegląd” nr 17/2025).

I oto niemal rok później, na początku marca br., sąd okręgowy jeszcze raz przyjrzał się sprawie i uznał, że kierujący Mercedesem nieumyślnie naruszył zasady bezpieczeństwa w ruchu lądowym, złagodził wobec tego wcześniej orzeczoną karę – z dwóch lat pozbawienia wolności do roku i sześciu miesięcy. Poza tym zmniejszył skazanemu zakaz prowadzenia pojazdów do czterech lat, a w pozostałym zakresie wyrok utrzymał w mocy. I ten wyrok jest już prawomocny. Co oznacza, że Paweł K. pewnie będzie musiał odsiedzieć półtora roku w zakładzie karnym, choć jeszcze zapowiedział kasację.

Uzasadniając ten wyrok, sędzia zauważył, że sąd pierwszej instancji co do zasady doszedł do trafnych ustaleń w zakresie przebiegu tragicznego w skutkach zdarzenia. Tak więc i sąd odwoławczy uznał, że za spowodowanie wypadku odpowiada oskarżony, który nie obserwował dostatecznie przedpola swego samochodu i nie utrzymał koncentracji za kierownicą, przez co przekroczył podwójną linię ciągłą i zjechał na przeciwny pas ruchu. Nie miał jednak świadomości, że narusza zasady ruchu drogowego, czyli była to jego wina nieumyślna. Co do jego wypowiedzi o „trumnach na kółkach”, w odczuciu sądu nie mogła ona wpłynąć na wysokość wyroku. Te słowa można uznać za naganne moralnie, za co spotkała adwokata dodatkowa kara w postaci potępienia społecznego. ■

eprasa.pl 30e64a71d6



Oko w oko Tomasz Jastrun

Ciemniak

Czytam, a właściwie słucham książki Wojciecha Lady o Berezie. Wstrząsająca. Przypominam, bo młodzi mogą nie wiedzieć: Bereza Kartuska to polski obóz odosobnienia, a prawdę mówiąc obóz koncentracyjny. Powstał w 1934 r., gdy pogłębiały się chaos polityczny i walki partyjne. Pomysłodawcą był premier Leon Kozłowski (kolaborował potem z hitlerowcami, AK wydała na niego wyrok śmierci), a kształt obozowi nadał słynny sadysta, zwany „Wieszatielem", Wacław Kostek-Biernacki. Obóz przeznaczono dla przeciwników sanacji, a też dla tych, którzy uchodzili za niebezpiecznych dla państwa. Załapywali się więc jednako oenerowcy, jak i komuniści. Sąd nie był potrzebny, wsadzano wedle uznania.

Wiedziałem o Berezie, że była haniebna, ale wiedziałem niewiele. Nie przyszło mi do głowy, że ten istniejący do września 1939 r. obóz był aż tak podobny do hitlerowskich. Więziono tam setki, potem tysiące ludzi. Zamordowano niewielu więźniów, bo katowano umiejętnie, ale były samobójstwa i popadanie w obłęd. Ciągłe bicie pałkami, upokarzanie najrozmaitszymi torturami, najstraszniejszą był braku snu. Jak wiadomo, mistrzami w tym byli Sowieci. To złamie każdego.

W Berezie wszystko było na komendę, też spanie – zarządzono, że trzeba spać na boku lewym lub prawym, jak ktoś przez sen zmieniał pozycję, maltretowano go. Nie chodziło się po obozie, tylko biegało. Defekacja też na komendę, były na to cztery sekundy. Kilku więźniów po Berezie (wyzwolili ją właściwie Sowieci, atakując Polskę od wchodu) trafiło potem do obozów hitlerowskich. Ci, co np. znaleźli się w Buchenwaldzie, twierdzili, że było tam lepiej niż w Berezie.

Zapowiedzią Berezy są procesy znanych polityków na przełomie lat 1931-1932 oraz uwięzienie w Twierdzy Brzeskiej; tam podobnie dręczono ludzi bardzo zasłużonych dla Polski. I tu jest straszna wina Piłsudskiego i jego wielka kompromitacja, listę kandydatów do Brześcia robił podobno osobiście. A nie był jeszcze obłąkany i z miażdżycą jak w roku 1934.

Czy nie każe to inaczej spojrzeć na nasz stan wojenny i ośrodki internowania? Nawet te najgorsze to były luksusowe sanatoria przy Berezie. Załapałem się na jedno takie „sanatorium". A myśmy byli pewni, że padamy ofiarą okrutnego reżimu.

Brześć, Bereza kładą się cieniem na Polsce międzywojennej i na postaci marszałka. Warto ten cień widzieć, by nie żyć złudzeniami. A też wiedzieć, że może to się powtórzyć już w innych dekoracjach. Jak słucham pisowców, to mi pachnie Berezą, a tam potwornie śmierdziało. I wracam do myśli, że Hitler uratował nas przed polskim faszyzmem, niewiele brakowało.

•

Braun złożył wpis do księgi kondolencyjnej w związku ze śmiercią najwyższego przywódcy Iranu, Alego Chameneiego. Oburzył się ambasador USA i pogroził Braunowi ze słowami, że Stany mu tego nie darują. Jaka to bieda dla PiS. Biedny prezes, co z tym pasztetem zrobić, przecież to ma być przyszły koalicjant.

•

Coraz wyraźniej widać, że Trump na spółkę z Netanjahu nie wiedzą, co dalej z Iranem. Można było się tego spodziewać. Jestem rozdarty, bo jednak nie mogę nie być za zniszczeniem prób budowy bomby atomowej w kraju rządzonym przez religijnych szaleńców i chcę, by reżim upadł. Trump jeszcze porządzi, pytanie, co dalej wymyśli. Będzie na pewno ciekawie.

Jak słucham pisowców, to mi pachnie Berezą, a tam potwornie śmierdziało.

•

Spodziewałem się, że Przemysław Czarnek pójdzie na premiera i tak postanowił prezes. Trochę może tylko żal, że nie mianował Roberta Bąkiewicza, on ma jeszcze więcej osobistego wdzięku. Czarnek ma za to mrok już nawet w nazwisku, więc ciemniak, bystry, wygadany cham i populista. W radykalizmie ma doścignąć Konfederację i Brauna. I da radę: Tusk urządził polskim kobietom piekło, zmiany klimatyczne to fikcja, stawiamy na polski węgiel, niewdzięcznik Zełenski gardzi Polską, a to Polska ich uratowała. Sala wiwatowała i pękała ze śmiechu, ogromne wzmożenie moralne i emocjonalne.

Czarnek znakomicie pasuje do Nawrockiego, podobny typ osobowości, obaj obli i śliscy jak posmarowani masłem. Wizja, że PiS przejmie władzę pod parasolem Nawrockiego, jest mroczna. Tylko nadzieja, że te potwory będą się zjadać nawzajem, a durnie z Razem, z PSL, ze szczątków Polski 2050 pojmą, co nam grozi.

Znamienny atak Czarnka na zieloną energię, polski węgiel jest święty i pobłogosławiony przez Matkę Boską, królową Polski. Wypomniano potem Czarnkowi, że ma panele na dachu domu. Oświadczył w Radiu Zet, że będzie je demontował. Ktoś zażartował, że jeśli ma dziecko z in vitro, to powinien je oddać. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 30e64a71d6

Cypr nie chce być trampoliną do wojny

Atak drona podważył wizerunek wyspy jako bezpiecznej przystani

Tomasz Skowronek



Baza RAF Akrotiri w pobliżu Limassol. Cypr, 2 marca 2026 r.

7 marca kilkadziesiąt osób zebrało się przed ogrodzeniem brytyjskiej bazy Akrotiri na południu Cypru. Protest odbył się kilka dni po incydencie z 2 marca, gdy irański dron – prawdopodobnie typu Shahed – uderzył w pas startowy bazy RAF. Protestujący wzywali do zamknięcia baz wojskowych i skandowali hasła przeciwko wciąganiu wyspy w konflikty na Bliskim Wschodzie. Podobna manifestacja rozpoczęła się tego samego dnia o godz. 15.30 pod budynkiem głównej siedziby związku zawodowego pracowników sektora publicznego w Nikozji i zakończyła się półtorej godziny później przed Pałacem Prezydenckim. Według organizatorów wzięło w niej udział ok. 500 osób.

Dla części Cypryjczyków obecność brytyjskich instalacji wojskowych, które od dekad funkcjonują na wyspie, staje się powodem do niepokoju. „Narracja, że sojusz z Brytyjczykami zapewnia naszym ludziom ochronę, jest podobna do sposobu, w jaki zorganizowana przestępczość sprzedaje ochronę przed zagrożeniami, które sama stwarza", napisali w oświadczeniu organizatorzy protestu. „Nie pozwolimy, by Cypr był wykorzystywany jako baza wypadowa do wojny". „Brytyjczycy, nie możecie się ukryć, popieracie ludobójstwo", skandował tłum, a ludzie wyrażali obawy, że instalacje wojskowe zamieniły wyspę w „trampolinę do wojny". Demonstranci argumentowali, że obecność brytyjskiego wojska, a także doniesienia o przyznaniu Stanom Zjednoczonym przez rząd premiera Keira Starmera dostępu do baz w celu prowadzenia operacji przeciwko Iranowi, sprawiły, że Republika Cypru może się stać celem ataków odwetowych.

Dron nad Akrotiri

Dyskusja o przyszłości brytyjskich baz nasiliła się po incydencie z irańskim dronem. Był to pierwszy atak na bazę od 1986 r. Władze zarządziły ewakuację pobliskiej wioski Akrotiri, a na wyspę skierowano dodatkowe europejskie i brytyjskie siły morskie oraz powietrzne. Dla wielu cypryjskich aktywistów i części lokalnych mediów wydarzenie to nie było zaskoczeniem. Od lat ostrzegano, że brytyjskie bazy mogą ściągnąć na wyspę zagrożenie w przypadku eskalacji konfliktów na Bliskim Wschodzie.

Przypominano również ostrzeżenie nieżyjącego już przywódcy Hezbollahu Hassana Nasrallaha, który mówił, że jeśli Cypr udostępni Izraelowi infrastrukturę do operacji przeciwko Iranowi, może się stać celem ataku. Incydent wywołał napięcia dyplomatyczne. Cypryjski wysoki komisarz w Wielkiej Brytanii Kyriakos Kouros stwierdził, że Nikozja była „rozczarowana", iż Londyn nie ostrzegł mieszkańców wyspy przed zagrożeniem.

Po ataku drona pojawiły się pytania o przyszłość brytyjskiej obecności wojskowej. Minister spraw zagranicznych Cypru Constantinos Kombos przyznał, że temat wymaga debaty. „W tej chwili na wyspie znajdują się brytyjskie bazy. Są pytania. Są problemy. Są obawy", powiedział w programie Newsnight w BBC.

Wielka Brytania utrzymuje na Cyprze od momentu uzyskania przez wyspę niepodległości w 1960 r. dwie

eprasa.pl 30e64a71d6

suwerenne bazy: Akrotiri i Dhekelię. W bazie RAF Akrotiri stacjonują także brytyjskie myśliwce Typhoon oraz F-35B, które regularnie uczestniczą w operacjach na Bliskim Wschodzie. Dla wielu Cypryjczyków był to kompromis pozostawiający państwu jedynie częściową suwerenność. „Bazy te są pozostałością po kolonialnym imperium Wielkiej Brytanii", mówiła Al-Dżazirze Melanie Steliou, aktorka i prezenterka telewizyjna mieszkająca w pobliżu bazy Akrotiri. „Moim zdaniem Cypr nigdy nie został w pełni zdekolonizowany", dodała.

Instalacje te nie są objęte klasyczną umową dzierżawy. Formalnie mają status suwerennych baz wojskowych. Z Akrotiri startowały samoloty biorące udział w operacjach w Iraku i Libii, a w ostatnich latach baza była wykorzystywana w działaniach związanych z konfliktem w Strefie Gazy. W Dhekelii znajduje się natomiast rozbudowany system radarowy zdolny do wykrywania sygnałów z odległości sięgających Afganistanu czy Rosji.

Położenie Cypru sprawia, że jego znaczenie strategiczne jest wyjątkowe. Leży on między Europą, Bliskim Wschodem i Afryką Północną – w samym sercu regionu pełnego napięć i konfliktów. „Lot stąd do Libanu trwa 18 minut, do Tel Awiwu 30 minut, do Jordanii 75 minut, do Damaszku 20 minut, a do Egiptu 50 minut", wyliczał prezydent Cypru Nikos Christodulidis na początku swojej prezydencji w Radzie UE. „Jako państwo członkowskie Unii Europejskiej jesteśmy również częścią szerszego Bliskiego Wschodu. Uważam to za ogromną zaletę", podkreślał.

Cypryjski kocioł

Cypr, nazywany Wyspą Afrodyty, przez lata uchodził w regionie za bezpieczną przystań. Jeszcze niedawno był jednym z ulubionych miejsc rosyjskich elit finansowych. Po inwazji Rosji na Ukrainę sytuacja zmieniła się radykalnie. Nikozja poparła sankcje Unii Europejskiej, a sektor finansowy rozpoczął proces ograniczania rosyjskiej obecności. Według ministra spraw zagranicznych Constantinosa Kombosa między 2018 a 2023 r. rozwiązano 42 728 spółek słupów i zamknięto 125 782 konta bankowe. Równolegle Cypr zacieśnia współpracę z Grecją i Izraelem – zwłaszcza w dziedzinie bezpieczeństwa i projektów energetycznych we wschodniej części Morza Śródziemnego. Zmienia się również gospodarcze oblicze Cypru.

W ciągu dwóch dekad dokonała się przemiana krajobrazu największych miast. W Limassol nad dawną, niską zabudową wyrastają nowoczesne wieżowce, a mariny w Larnace i Pafos wypełniły się luksusowymi jachtami. Wyspa przyciąga inwestorów z całego świata i staje się jednym z centrów finansowych oraz nieruchomościowych wschodniej części Morza Śródziemnego. Jednocześnie gospodarka pozostaje silnie uzależniona od stabilności regionu. Turystyka generuje ok. 14% PKB, a w 2025 r. Cypr odwiedziło 4,5 mln turystów.

Po incydencie z dronem odwołano część lotów na wyspę. Branża turystyczna obawia się, że napięcia na Bliskim Wschodzie mogą wpłynąć na nadchodzący sezon wakacyjny. Jak pisał brytyjski „The Guardian", niewiele miejsc w Europie odczuje skutki konfliktu tak dotkliwie. „Żadne miejsce w Europie, a nawet w basenie Morza Śródziemnego, nie odczuje bardziej skutków konfliktu rozgrywającego się na horyzoncie", prognozuje gazeta. Na razie zamiast turystów na Cypr przybywają wojska.

Po ataku irańskiego drona Francja, Włochy, Hiszpania i Holandia zdecydowały się wysłać w rejon wyspy okręty wojenne, po to by wzmocnić bezpieczeństwo. Na początku marca na lotnisku w Pafos wylądowały cztery greckie myśliwce F-16. Ateny podkreślają, że ich obecność ma charakter wyłącznie defensywny.

Turcja, która kontroluje północną część wyspy, również zwiększyła swoją obecność wojskową. Północna, jedna trzecia część Cypru pozostaje pod kontrolą Ankary od 1974 r. Tureckie ministerstwo obrony poinformowało o rozmieszczeniu sześciu myśliwców F-16 oraz systemów obrony powietrznej w Tureckiej Republice Cypru Północnego.

Sytuację komplikuje architektura bezpieczeństwa regionu. Cypr jest członkiem Unii Europejskiej, ale nie należy do NATO. Północna część wyspy pozostaje pod kontrolą Turcji – członka NATO, lecz nie UE. Z kolei ok. 3% terytorium stanowią brytyjskie bazy wojskowe.

Cypr leży między Europą, Bliskim Wschodem i Afryką Północną – w samym sercu regionu pełnego napięć i konfliktów.

Turcja sprzeciwia się członkostwu Cypru w NATO, a Cypr i Grecja blokują z kolei pogłębienie współpracy obronnej między Unią Europejską a Ankarą. W efekcie wyspa pozostaje miejscem, gdzie krzyżują się interesy kilku bloków politycznych i wojskowych.

„Przez lata Cypr był odporny na konflikty na Bliskim Wschodzie i wszyscy zakładali, że brytyjskie bazy nas obronią – mówi Fiona Mullen, analityczka i dyrektorka firmy konsultingowej Sapienta Economics Ltd w Nikozji. – Teraz jednak wyspa zaczyna dostrzegać realia swojej geografii. Oczywiście sytuacja nie jest tak niebezpieczna jak w Dubaju czy Katarze, ale fakt, że dron zdołał ominąć brytyjską obronę, zwiększył poczucie niepewności".

Wieczorem w Akrotiri wraca cisza. Nad ogrodzeniem bazy wciąż świecą reflektory, a w hangarach stoją samoloty, które w ciągu kilkunastu minut mogą dolecieć nad Liban, Syrię albo Gazę. Jeszcze niedawno był to dla mieszkańców pobliskiej wioski zwykły element krajobrazu. Po ataku drona wielu z nich zaczęło jednak zadawać sobie pytanie, czy Wyspa Afrodyty nie stała się przypadkiem wysuniętym posterunkiem cudzych wojen. ■

FOT. AP/ EAST NEWS

eprasa.pl 30e64a71d6





Amerykański atak na szkołę dla dziewcząt w Iranie



FOT. ANADOLU/AFP/EAST NEWS, ABBAS ZAKERI/MEHR NEWS AGENCY/APEAST NEWS (2), AMIRHOSSEIN KHORGOOEI/ISNA/AP/EAST NEWS(3), AFP/EAST NEWS



28 lutego br. pocisk rakietowy uderzył w budynek szkoły dla dziewcząt w irańskim mieście Minab. Śmierć poniosło 175 osób, w tym 150 uczennic w wieku 7-12 lat. Izrael i USA zaprzeczyły oskarżeniom o zbombardowanie szkoły. Donald Trump twierdził, że sprawcą jest sam Iran. Jak informuje „New York Times", tragedia jest wynikiem błędu w wyznaczaniu celów przez armię USA, która atakowała w tym dniu znajdujące się w pobliżu bazy irańskiej marynarki wojennej oraz Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej. 10 marca na pogrzebie ofiar ataku zgromadziły się tysiące osób.









Wstyd musi zmienić obóz

Przez prawie 10 lat Dominique Pelicot odurzał swoją żonę Gisèle, aby obcy mężczyźni mogli ją gwałcić

Sarah Bomba
Korespondencja z Francji

Rok 2024 we Francji został naznaczony sprawą gwałtów w Mazan, gdzie przez prawie 10 lat Dominique Pelicot odurzał swoją żonę Gisèle, aby oferować ją obcym mężczyznom i nagrywać filmy z dokonywanych na niej gwałtów. Gisèle Pelicot dzięki wyrażeniu zgody na publiczny proces stała się światowym symbolem walki z przemocą seksualną.

17 lutego ukazała się jej książka – świadectwo tych wydarzeń. Została już wydana w 22 językach, a we Francji sprzedała się w ponad 100 tys. egzemplarzy. Według dziennika „Libération" Gisèle Pelicot przeszła od statusu ofiary do ikony. Proces jej oprawców był szeroko komentowany na całym świecie. W samej Francji poszerzył debatę o przemocy seksualnej i prawach ofiar, a także o tym, że dotychczas ofiary były zawstydzane przez system sprawiedliwości. Sprawa przyczyniła się też do zmiany definicji gwałtu i napaści seksualnej w prawie karnym. Do wcześniejszych kryteriów tego przestępstwa, czyli użycia przemocy, przymusu lub groźby, dodano brak udzielenia swobodnej i jasno wyrażonej zgody.

Oskarżeni, którzy mieli od 22 do 70 lat, nie przyznawali się do gwałtów, przekonywali, że chodziło o „grę seksualną". Najbardziej szokowała ich bezczelność. Kiedy sędzia zadał pytanie, czy pani Pelicot zgodziła się na współżycie, odpowiedź brzmiała: „nie". Gdy pytał: „Czy zgwałcił pan panią Pelicot?", odpowiedź również brzmiała: „nie".

Od sprawy kryminalnej do debaty społecznej

Wszystko zaczęło się w 2020 r. od pozornie drobnego incydentu. Dominique Pelicot został zatrzymany przez ochronę po przyłapaniu go w supermarkecie na nagrywaniu kobiet od dołu, pod spódnicą. W trakcie przeszukania jego telefonu i komputera policja natrafiła na materiały, które ujawniły jeden z najbardziej wstrząsających przypadków przemocy seksualnej we współczesnej Francji. Śledztwo wykazało, że przez lata odurzał żonę, a kiedy była nieprzytomna, zapraszał dziesiątki mężczyzn, aby ją gwałcili. Pelicot opracował nawet szczegółowy „regulamin" dla sprawców: mieli myć ręce ciepłą wodą, nie używać perfum ani nie palić papierosów przed wejściem do mieszkania, aby nie obudzić ofiary i nie pozostawić zapachu, który mógłby ją potem zaalarmować.

> Dla Gisèle najboleśniejszym momentem było nie odkrycie prawdy o mężu, lecz to, że musiała powiedzieć o jego czynach dzieciom.

Proces, który rozpoczął się we wrześniu 2024 r. w Awinionie, przez ponad trzy miesiące był śledzony przez całą Francję. Na ławie oskarżonych zasiadło ponad 50 mężczyzn, a wielu z nich przyjęło linię obrony, która ujawniła głęboko zakorzenione stereotypy dotyczące przemocy seksualnej. Jeden z oskarżonych twierdził w sądzie, że sam jest ofiarą, nie zgwałcił Gisèle Pelicot, gdyż według niego gwałt musi się wiązać z brutalnością i przemocą fizyczną. W społecznej wyobraźni wciąż bowiem funkcjonuje obraz napaści dokonującej się w ciemnym zaułku, na parkingu czy w nocnym klubie, a w tej sprawie przemoc odbywała się w przytulnym domu ofiary, w pozornie zwyczajnej przestrzeni małżeńskiego życia.

W trakcie procesu obrona sięgała po szokujące argumenty: jeden z adwokatów przekonywał, że ofierze „mogło to sprawiać przyjemność", ponieważ, jak stwierdził, jej miednica się poruszała. Ostatecznie sąd skazał 51 mężczyzn za udział w gwałtach, 17 złożyło odwołania od wyroku.

Sprawa szybko przestała być jedynie procesem karnym. Dała impuls do ogólnonarodowej dyskusji o przemocy seksualnej, stereotypach dotyczących gwałtu i o tym, jak prawo oraz społeczeństwo rozumieją zgodę w tym kontekście. Przebieg rozpraw śledziła cała Francja, a Gisèle Pelicot, która zdecydowała się na jawność procesu, stała się jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci współczesnej debaty o przemocy wobec kobiet.

Przerażająca lektura

Początkowo pani Pelicot wcale nie chciała nagłaśniać sprawy – skłoniła ją do tego córka, Caroline. Decyzja zajęła jej cztery lata. Potrzebowała czasu, aby zdecydować, że zostanie osobą publiczną i pokaże światu, czym jest społeczne przyzwolenie na gwałt. Zrobiła to także z myślą o innych ofiarach. Kiedy oznajmiła swoje postanowienie adwokatom, powiedzieli jej, że przed upublicznieniem procesu będzie musiała obejrzeć filmy, które nagrywał jej mąż. W wywiadzie dla radia France Inter podkreśliła znaczenie wstydu w procesie

eprasa.pl 30e64a71d6



Gisèle Pelicot ze swoimi prawnikami Antoine'em Camusem (z lewej) i Stéphane'em Babonneau (drugi od lewej) w sądzie w Awinionie, 19 grudnia 2024 r.

i to, że ofiary często go odczuwają, zadając sobie pytanie, co zrobiły, że zasłużyły na taką krzywdę, tymczasem sprawcy wstydu nie odczuwają.

Wielu zapamiętało obraz Gisèle Pelicot na sali rozpraw, w ciemnych okularach, które nosiła – jak pisze – aby ukryć łzy, ponieważ to, co działo się w sądzie, jak była traktowana i jak traumatycznym było to doświadczeniem, wykracza poza jakiekolwiek wyobrażenia. Była jednak zdeterminowana pokazać światu zboczeńców, którym sprawiało przyjemność gwałcenie nieprzytomnej 60-latki. Historia ze szczegółami została opisana w jej książce „Et la joie de vivre" („I radość życia"), która powstała we współpracy z pisarką Judith Perrignon.

Gisèle podkreśla w wywiadach, że swoją postawą, ubiorem, stosunkiem do ludzi pragnie pokazać godność ofiary. Zazwyczaj bowiem widzimy ofiary jako smutne, zrezygnowane, w depresji – ona chciała pokazać, że wcale nie musi być wytykana palcami, może być bohaterką, która zmienia rzeczywistość.

O psychologii ofiary dużo mówi jedna ze scen, którą Gisèle opisuje w książce. Piorąc przed laty bluzkę, znalazła na niej dziwne żółte plamy – zapytała wtedy żartobliwie męża, czy czasem jej nie podtruwa. Dominique wybuchł płaczem, pytając, jak mogła go o coś takiego oskarżyć. W końcu to ona zaczęła go przepraszać… O nadużyciach świadczyła jeszcze jedna sytuacja, kiedy Dominique wlał do piwa Gisèle jakąś substancję, po której napój zmienił kolor. Jednak nawet wtedy nie podejrzewała męża o złe intencje. Dopiero przy pisaniu książki zaczęła sobie przypominać o tych wszystkich epizodach.

Gdy policjant oznajmił Gisèle, że zgodnie z tym, co wskazują znalezione dokumenty, zgwałciło ją ponad 50 mężczyzn, stwierdziła, że w tym momencie „jej mózg zatrzymał się". 50 lat przeżyła z mężczyzną, którego – jak twierdzi – nigdy nawet by nie podejrzewała o jakąkolwiek formę dewiacji seksualnej. Pierwszą reakcją pani Pelicot była negacja tego, co usłyszała. Nie potrafiła uwierzyć w to, co zgotował jej mąż. Wspomina, że po powrocie z komisariatu zadzwoniła do koleżanki i ani ona, ani rodzina nie mogli uwierzyć w zaistniałą sytuację, ponieważ Dominique Pelicot stwarzał wszelkie pozory moralnej prawości.

To właśnie podczas rozmowy z przyjaciółką, kilka godzin po odkryciu przerażających faktów, Gisèle po raz pierwszy użyła słowa gwałt: „Dominique mnie zgwałcił i kazał innym gwałcić".

Na pewnym etapie zaczęła regularnie konsultować się z neurologami i ginekologami. W obecności męża zwierzała się neurologowi, że podejrzewa u siebie początki alzheimera, ponieważ nie była w stanie przypomnieć sobie, co robiła poprzedniego wieczoru. Kolejna neurolożka, której

FOT. AFP/ EAST NEWS

eprasa.pl 30e64a71d6

Gisèle powiedziała, że podejrzewa u siebie chorobę, na którą zmarła matka (guz mózgu), stwierdziła, że nie znajduje u niej niczego, co świadczyłoby o chorobie. Za to przepisała jej melatoninę, ponieważ uważała, że Gisèle miewa poważne stany lękowe. Pani Pelicot przez długi czas była przekonana, że tak jak matka choruje na raka, podejrzewała też inne schorzenia, jednak lekarze nie byli w stanie niczego wykryć. Dopiero po ujawnieniu sprawy okazało się, że wszystkie wieloletnie dolegliwości: utrata pamięci, dezorientacja czy chroniczne wyczerpanie, wynikały z regularnego podawania jej przez męża środków mających ją odurzyć.

W wywiadzie dla France Télévisions podkreślała w tym kontekście znaczenie zjawiska określanego mianem „soumission chimique", dosłownie „chemicznego podporządkowania". Termin ten odnosi się do sytuacji, w której sprawca podaje ofierze substancje psychoaktywne lub środki nasenne, aby pozbawić ją świadomości, zdolności do obrony, w celu popełnienia przestępstwa. W praktyce oznacza to, że ofiara może przez długi czas nie rozumieć, co się z nią dzieje: doświadcza luk w pamięci, nagłego zmęczenia, stanów lękowych czy zaburzeń poznawczych, które bywają błędnie interpretowane jako objawy chorób neurologicznych lub psychicznych.

Pani Pelicot w wywiadach powtarza, że książka powstała także po to, by za każdym razem, kiedy jakakolwiek kobieta obudzi się, nie pamiętając poprzedniego wieczoru, przypominała sobie o gwałtach popełnionych w Mazan. Ofiary gwałtów są źle badane, nie pod tym kątem, pod jakim powinno się to robić, wmawia się im konfabulację, nadużycie alkoholu czy brak odpowiedzialności, podczas gdy chodzi o coś zupełnie innego – o męską dominację.

Gisèle Pelicot przyznaje, że o przeszłości męża wiedziała niewiele. Z jej relacji wynika, że dorastał w trudnym domu – jego ojciec miał być tyranem, co mogło odcisnąć piętno na psychice Dominique'a. Dopiero związek z nią miał mu dać poczucie ciepła rodzinnego, którego wcześniej nigdy nie doświadczył.

Dla samej Gisèle najboleśniejszym momentem całej sprawy było jednak nie odkrycie prawdy o mężu, lecz chwila, gdy musiała powiedzieć o jego czynach własnym dzieciom. W książce zapowiada, że zamierza odwiedzić byłego męża w więzieniu. Przez pięć lat, od momentu ujawnienia sprawy, nie zwracała się do niego bezpośrednio, komunikacja odbywała się wyłącznie za pośrednictwem sędziego. Jak powiedziała na antenie France Inter, chciałaby w końcu spojrzeć mu w oczy i zadać jedno pytanie: „Dlaczego? Dlaczego nam to zrobiłeś?". Jej postawa przywołuje słowa Gisèle Halimi – legendarnej adwokatki, działaczki na rzecz praw kobiet i jednej z twarzy walki o legalizację aborcji we Francji, która powtarzała: „La honte doit changer de camp", „wstyd musi zmienić obóz".

W książce znajdujemy również informację, że Gisèle odnalazła miłość – ma na imię Jean-Lou. Odnalazła też radość życia, do czego odnosi się tytuł. Miłości już się nie spodziewała, znalazła ją całkowicie przypadkowo, dlatego książką chciałaby dać nadzieję wszystkim tym, którzy są lub byli pogrążeni w smutku i rezygnacji.

Gisèle Pelicot dzięki wyrażeniu zgody na publiczny proces stała się światowym symbolem walki z przemocą seksualną.

Francuska mizoginia

W Polsce często idealizuje się Francję, snując wyobrażenia o romantycznych mężczyznach, szczęśliwych kobietach i spełnionych związkach. Obraz ten jednak ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Historia Gisèle Pelicot brutalnie obnażyła ciemniejszą stronę francuskiego społeczeństwa – tę, o której rzadko się mówi w turystycznych folderach. Kultura romańska jest przepełniona mizoginią i maczyzmem. Pewne elementy obecne w kulturze zachodniej są całkowicie niezrozumiałe w kulturze słowiańskiej, gdzie rola kobiety od dawna była istotna i społecznie doceniana. Aby to zrozumieć, należy przyjrzeć się chronologii praw kobiet we Francji. Podczas gdy Polki, Rosjanki czy Finki cieszyły się pełnią praw, Francuzki długo były – posługując się sformułowaniem Janusza Korwin-Mikkego – czymś między mężczyzną a dzieckiem. Francja, mimo wizerunku kolebki nowoczesności i praw człowieka, stosunkowo późno przyznała kobietom podstawowe prawa: prawa wyborcze dopiero w 1944 r., a w 1965 r. mężatki uzyskały możliwość otwarcia konta bankowego i podjęcia pracy bez zgody męża.

Ponadto długo jeszcze funkcjonowało pojęcie „devoir conjugal", czyli „obowiązku małżeńskiego", które przez dekady usprawiedliwiało seksualną dostępność żony wobec męża i utrwalało hierarchiczny model rodziny.

Rzeczywistość społeczna nad Sekwaną również jest daleka od romantycznego mitu: według danych francuskiego MSW w 2024 r. 107 kobiet zostało zabitych przez partnera lub byłego partnera – średnio jedna co trzy dni – a setki tysięcy zgłaszają przemoc domową. Kobiet we Francji się nie szanuje. Francuzi bardzo rzadko ustępują miejsca starszej pani w środkach transportu publicznego, Dzień Kobiet jest wyłącznie ciekawostką okolicznościową, żadnej kobiecie nie składa się wtedy życzeń.

W tym kontekście historia Gisèle Pelicot nie jest jedynie wstrząsającą tragedią jednostki, lecz także zwierciadłem kultury, w której mimo deklarowanej nowoczesności wciąż są głęboko zakorzenione formy mizoginii i pogardy wobec kobiet. Sama Gisèle podkreślała jednak, że zdecydowała się mówić publicznie nie tylko po to, by ujawnić zbrodnię, ale i po to, by dać innym kobietom nadzieję i zmusić społeczeństwo do refleksji: nad wychowaniem chłopców, nad edukacją i nad tym, jak łatwo przemoc może zostać ukryta pod fasadą „normalnej" rodziny.

Sarah Bomba

eprasa.pl 30e64a71d6

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Trzy Konfy w łódce (nie licząc Psa)

Miarą zbydlęcenia polskiej prawicy jest fakt, że spośród trzech partii konkurujących (pozornie, po wyborach zewrą koalicyjne szeregi i wsiądą do jednej łódki) o władzę teraz Konfederacja sprawia wrażenie ugrupowania najbliższego politycznej ogłady.

Bosak i Mentzen, do niedawna symbole oszołomstwa, młodej fali radykałów, wszechpolackiego narodowego wzdęcia z jednej strony i libertariańskiego fundamentalizmu z drugiej, to chłopcy wygadani. Można, a nawet trzeba się ich światopoglądowi sprzeciwiać, ale w sporze z nimi człowiek musiałby się poważnie wysilić, zgrabnie stosują bowiem erystyczne pułapki, no i są swojej ideologii szczerze oddani. Tymczasem pirackie oko Brauna łypie już zupełnie obłąkańczo na autorską wizję wschodnioeuropejskiego faszyzmu, a w drodze do uczynienia z Polski Królestwa Bożego brauniści gotowi są wejść w spółkę choćby i z samym diabłem. Kaczyzm zaś to czysta demagogia w XX-wiecznym stylu, trącąca niewietrzoną zakrystią i przymulająca dziaderskimi perorami rodem z plenarnych posiedzeń Komitetu Centralnego.

I oto prezes zwąchał ducha czasu – na przyszłego premiera namaścił mrożkowego Edka; nie nowoczesnego bankstera ani smęcącą katechetkę, ale swojskiego Wuja, co Lepiej Wie. Wierny „Pies" Terlecki musiał ustąpić miejsca w sejmowej ławie po prawicy wodza, inteligenckie pochodzenie i hippiesowska przeszłość okazały się zbyt obciążające, teraz nadszedł czas Chama. Kaczor zapatrzony w Trumpa, uosobienie politycznej bandyterki, uznał, że to musi zadziałać także na rodzimym gruncie – lud się znudził politycznym teatrem, woli knajacki stand-up. W pałacu siedzi zadzierżysty kibol, w Sejmie ma zasiąść czerstwy katotalib, co to „czterem pancernym i psiecku" nie pozwoli zastąpić tradycyjnej polskiej rodziny.

Donald Tusk celnie to skomentował, pisząc: „A więc trzy Konfederacje przeciwko nam". Spośród tej świętej trójcy to w oryginalnej Konfie zdają się drzemać jakieś możliwości dialogu i ewentualnej kohabitacji, z braunistami rozmawiać nie ma o czym, chyba że o wyborze oddziału zamkniętego i kroju kaftana bezpieczeństwa, a PiS to w tej chwili polityczny humbug, służący wyłącznie zaspokojeniu chorobliwego pragnienia zemsty i unicestwienia Tuska.

To jest doprawdy imponujące, że jeden toksyczny starzec pod osiemdziesiątkę wciąż jest w stanie zaprząc do swojej osobistej wendety cały sztab socjotechników i liczną parlamentarną sektę, no i niezmiennie udaje mu się nabierać betonowy elektorat na uczucia patriotyczne. „Ten osobnik jest katastrofą, ale to jeszcze nie powód, by nie był fascynujący", że pozwolę sobie zacytować opinię Tomasza Manna o innym wielkim demagogu, który mocą swoich toksyn podpalił świat.

O tym, że PiS nie chodzi w najmniejszej mierze o dobro Polski, tylko o celę dla Tuska, świadczy postawa kaczystów wobec SAFE – mnie tylko zdumiewa, że ustawkowy watażka z Pałacu Prezydenckiego, co to z gołymi pięściami chadzał na kastety, też się boi tupnięcia kopytkiem żoliborskiego gnoma. To jest jakaś czarna magia, której pojąć nie mogę, chyba że Kaczyński ma od lat na wszystkich haki wagi, by tak rzec, epsteinowskiej.

Im baczniej spoglądam na wiadomości z kraju i ze świata, tym bardziej chce mi się wiać do lasu gęstego albo do dziury ciemnej, gdzie GPS wariuje i żaden dron mnie nie dopadnie, bo że bawią się możnowładcy tego świata śmiertelnie niebezpiecznie, jest rzeczą oczywi-

Tego się nie da po prostu wyleczyć, to najpierw trzeba rozbroić.

stą. Czekać, aż ludzkość się obudzi i wyleczy z chorób typu MAGA, putinizm, kaczyzm, orbanizm etc., byłoby naiwnością. A nawet gdyby się obudziła, gdyby wszyscy wyborcy jak jeden mąż w tej samej chwili zrozumieli, że padli ofiarą hochsztaplerów, gdyby wszyscy wojacy pojęli w mig, że masowe oddawanie życia za starych, zdziwaczałych satrapów to nie żaden patriotyczny obowiązek – i tak jest już trochę późno, śniegi już ze żlebów się zsuwają i lada moment połączą w jedną mohutną lawinę gruntową, która zedrze z powierzchni wszystko do gruntu.

Krąży po sieci dość nieobyczajna, lecz autentyczna anegdota, która doskonale oddaje moment historyczny, w którym się znaleźliśmy: do gabinetu proktologa przybył pacjent po szalonej imprezie, z której niewiele pamiętał, i poskarżył się na zaparcie wywołane obcym ciałem w odbycie. Kiedy lekarz zidentyfikował obiekt jako pocisk artyleryjski, strwożony wezwał saperów. Ludzie chodzą podminowani, najchętniej daliby komu w mordę, ale cudzymi rękami, dlatego ochoczo wybierają tępych harcowników, którzy nie p*****lą się w tańcu. Tego się nie da po prostu wyleczyć, to najpierw trzeba rozbroić. ■

eprasa.pl 30e64a71d6

ZĄBKOWSKA najważniejsza ulica świata

Do dziś w głębi duszy czuję się chłopakiem z Pragi

Rozmawia Agnieszka Malatyńska-Stankiewicz

Kochał pan Baśkę?

– Tę z Pragi?

Tak. Z warszawskiej Pragi, z kamienicy przy ulicy Ząbkowskiej.

– Bardzo. To była moja pierwsza, dziecięca miłość. Mieszkała w suterenie, w tej samej kamienicy. Dziś już nie umiem powiedzieć, jak Baśka wyglądała, ale wiem, że była piękna. Nie zwracała na mnie uwagi, a ja marzyłem, by choć na mnie popatrzyła.

To dlatego na drewnianych parapetach w kamienicy, w której mieszkaliście, wyrył pan napis: „kocham Baśkę”?

– Wydawało mi się to najlepszym sposobem na zwrócenie na siebie uwagi.

Udało się?

– Nie bardzo. Potem się przeprowadziłem i wielka miłość zmieniła się we wspomnienie z dzieciństwa. Dziś nasza kamienica przy ulicy Ząbkowskiej już od kilkudziesięciu lat nie istnieje. Przetrwała wojnę, miała wiele śladów od kul. Ale w latach 60. wysadzono ją w powietrze, zlikwidowano ogród i postawiono blok z wielkiej płyty. Gdy kamienicę zburzono, pojechałem tam z bratem i na gruzach szukaliśmy właśnie tych parapetów. Chciałem sobie wziąć na pamiątkę. Ale zjawiła się milicja, zaczęła nas legitymować. Jeden z milicjantów skojarzył moje nazwisko, bo już śpiewałem w Teatrze Wielkim, trochę pogadaliśmy i tak skończyła się ta historia. Pozostały już tylko wspomnienia.

Urodził się pan w Warszawie i mieszka pan w Warszawie, ale uczył się pan i pracował w wielu miastach polskich i zagranicznych, choćby w Nowym Jorku, gdzie przez 15 sezonów był pan solistą Metropolitan Opera. Jakie znaczenie ma dla pana Warszawa?

– Warszawa to najważniejsze miasto w moim życiu. I muszę przyznać, że właśnie to miasto towarzyszy mi wszędzie, gdziekolwiek byłem i gdziekolwiek jestem. Kiedy śpiewałem w Metropolitan Opera w „Nieszporach sycylijskich” Verdiego…

…dodam, że był to rok 1975 i pański debiut na tej scenie.

– Właśnie. Zazwyczaj w Nowym Jorku do debiutanta przychodzi dziennikarz, aby przeprowadzić wywiad, który pozwoli publiczności poznać nowego artystę. Śpiewałem wówczas partię Arriga. Dziennikarz przyszedł bardzo dobrze przygotowany, wiedział, gdzie wcześniej pracowałem, w jakich miastach, w jakich teatrach. I zaczął mówić



WIESŁAW OCHMAN

– tenor, debiutował w 1960 r. w Operze Śląskiej w Bytomiu, skąd trafił na największe sceny świata: od Metropolitan Opera w Nowym Jorku po La Scalę w Mediolanie. Śpiewał pod batutą najwybitniejszych dyrygentów, stworzył 86 ról operowych, nagrał ponad 50 płyt i wystąpił w niemal 1,8 tys. spektakli.

eprasa.pl 30e64a71d6

tak: „Słuchaj, przejechałeś już cały świat, byłeś w Paryżu, San Francisco, Rzymie, Berlinie, Hongkongu i tak dalej, która ulica z tych miast jest twoją ulubioną?”. (…) A ja słucham i mówię: „Ząbkowska…”. Cisza. Zdumienie. Konsternacja. Po chwili pyta: „A gdzie to jest?”. W Warszawie. Oczywiście natychmiast zadał kolejne pytanie, czy ta Ząbkowska jest większa niż Broadway, więc ja skromnie przyznałem, że trochę jednak mniejsza i trochę węższa. Niemniej jednak jest ona bliższa memu sercu niż Broadway razem z całym Manhattanem. Po prostu zawsze Warszawa jest dla mnie najważniejsza. A właściwie Praga.

Dzięki ludziom z mojej dzielnicy wiedziałem, jak żyć.

Mimo takiej miłości do Pragi mieszka pan na Mokotowie.

– To prawda. Powód był taki, że gdy mieszkaliśmy w tzw. kołchozie operowym przy ul. Moliera, mój kolega baryton z żoną i dzieckiem mieszkał tam w małym pokoju. I zapytał mnie kiedyś po przedstawieniu „Fausta”, w którym śpiewaliśmy, czy nie mógłbym sobie kupić domu, bo wtedy nastąpi roszada w mieszkaniach i on otrzyma trzypokojowe. Tak się też stało. Niemniej w pewnym sensie z Pragi nie wyjechałem i cały czas tam jestem, choć objechałem świat dookoła. Do dziś w głębi duszy czuję się chłopakiem z Pragi, a dzięki ludziom z mojej dzielnicy wiedziałem, jak żyć. Artystą jest się tylko na scenie, a w życiu trzeba się zachowywać jak zwykły człowiek. (…)

Warszawa ma dla mnie ogromne znaczenie nie tylko dlatego, że się tu urodziłem. Ale także z tego powodu, że to stąd, z Teatru Wielkiego, ruszyłem w świat. Bo kiedy po odbudowie teatru nastąpiło otwarcie sceny, to przyjechali na tę uroczystość do Warszawy znawcy opery z całego świata, impresariowie, dyrektorzy teatrów. I jakoś tak szczęśliwie się złożyło, że mnie zauważyli.

To było 21 listopada 1965 r., śpiewał pan Jontka w „Halce” Moniuszki. Recenzent londyńskiego „Timesa” nie tylko pana zauważył, ale i napisał o panu prorocze zdanie, że Ochman to „śpiewak, który może zająć miejsce na każdej scenie operowej świata”.

– Widzi pani, a mój serdeczny przyjaciel mówił, że zauważono mnie tylko dlatego, że śpiewałem najgłośniej.

Lubi pan żartować.

– Bo życie jest wtedy lepsze. Nauczyłem się śmiać od mojej mamy, w dzieciństwie. To były cudowne lata dla mnie, dziecka, mimo że był to straszny czas. Wojna, okupacja, niepewność, lęk. A jednak dzieciństwo na Pradze wspominam z wielką nostalgią. Dzięki zapobiegliwości mojej mamy Bronisławy potrafiliśmy to w jakiś sposób przetrwać. Mama była bibliotekarką, pracowała w technikum przy ulicy Wiśniowej. Wychowywała nas sama, mnie i mojego brata Andrzeja, bo naszego ojca Niemcy zabrali zaraz po powstaniu warszawskim i już nigdy nie wrócił. (…)

Moja mama nigdy się nie poddawała. Dzięki jej determinacji przebrnęliśmy przez ten cały trudny okres, mając jednocześnie jako dzieci dobre – jak na tamte wojenne i powojenne czasy – warunki do życia.

Artystą jest się tylko na scenie, a w życiu trzeba się zachowywać jak zwykły człowiek.

Te warunki to społeczność kamienicy przy ulicy Ząbkowskiej 48?

– Właśnie. Dla mnie to był cały świat, piękny świat. To była typowa, trzypiętrowa kamienica czynszowa z dwiema klatkami schodowymi; mieszkaliśmy w drugiej klatce na trzecim piętrze. Kamienica stała bokiem do ulicy Ząbkowskiej i Dworca Wschodniego. Miała drewnianą klatkę schodową. Przed kamienicą był kran, z którego brało się wodę. Taki sam był w naszej klatce, nad naszym mieszkaniem. W kamienicy był jeszcze strych, gdzie można było wywiesić pranie. (…) Była to okolica robotnicza, więc przy tej ulicy i przy sąsiednich znajdowało się wiele małych zakładów rzemieślniczych. Ale była też na przykład fabryka chemiczna, był tartak. Był również ceglany budynek Monopolu Spirytusowego, w którym pracował sąsiad. Po pracy przywoził w ramie roweru spirytus z zakładu. Pamiętam wozaków, którzy jeździli i rozwozili węgiel i kartofle. Zapamiętałem też Genia, który trudnił się złodziejstwem. Miał do tego ogromny talent. W czasie wojny zachowywał się bardzo przyzwoicie, pomagając okolicznym mieszkańcom. Na przykład okradał fabryki pod niemieckim nadzorem i przekazywał zdobycze tym, którzy ich potrzebowali. Bo choć był złodziejem, to jednak miał swój kodeks honorowy i wiedział, kto przyjaciel, kto wróg i kogo można okradać. Poczucie honoru i godności w przyszłości go jednak zgubiły. (…)

Kamienica miała ogród.

– Wspaniały. Przed naszą kamienicą stał rząd drewnianych komórek. Mieszkańcy chowali tam różne sprzęty, trzymali narzędzia, mieli małe warsztaty. Ale za tymi komórkami rozciągał się naprawdę duży ogród, w którym przepięknie kwitły bzy, kasztany, jaśminy i dzikie róże, które do dziś są moimi ulubionymi kwiatami. Mieliśmy tam sporo możliwości do zabawy. Był to bardzo sympatyczny okres, bo nie było zazdrości między nami. Mieliśmy wszyscy po równo, czyli nic, a naszym całym światem było to podwórko z ogrodem. Było nas tam pięciu przyjaciół i szaleliśmy całymi dniami.

Żadnych zabawek?

– Mieliśmy jedną łyżwę. Tata zrobił nam sanki z dwóch teowników i deski. Jeździłem na nich z bratem Andrzejem i dość szybko staliśmy się ulubionymi kolegami ulicznej dzieciarni. Wszyscy się z nami przyjaźnili i wszyscy od nas sanki pożyczali. (…) Po wojnie bawiliśmy się także wielkimi drewnianymi beczkami, które suszyły się w naszym ogrodzie. Bo

FOT. PIOTR FOTEK/REPORTER

eprasa.pl 30e64a71d6

w naszym domu od ulicy Ząbkowskiej miał swoją pracownię pan bednarz, który był niezwykle pracowitym człowiekiem. Robił beczki i zostawiał w ogrodzie, aby wyschły. A my jeździliśmy na tych beczkach. (…) Panu bednarzowi to się nie podobało, upominał, prosił, w końcu przyszedł do mamy i powiedział, że ja z bratem i z kolegami niszczymy jego pracę. Nie krzyczał na nas, że mali chuligani, co byłoby zresztą zgodne z prawdą, tylko zaprosił nas, abyśmy zobaczyli, jak się robi beczki. Poszliśmy i od tego czasu daliśmy sobie spokój z beczkami. (…)

Warszawska Praga lat wojennych miała swój klimat. Podwórka tętniły życiem, muzykowano. Jakie było pańskie podwórko pod względem muzycznym?

– Właściwie wszyscy śpiewali. Co jakiś czas przychodziły kapele podwórkowe. Płynęła wtedy muzyka, głównie piosenki z tkliwymi tekstami o miłości. Ale zdarzały się też bardziej patriotyczne utwory, które – jak wiadomo – były wówczas zakazane.

Śpiewałem na podwórku regularnie od czwartego roku życia, zawsze o godzinie 18 „Chryzantemy złociste".

Piękny był ten folklor miejski. Muzycy w ten sposób zarabiali na życie. Mama owijała kamyczek banknotem i przez okno wyrzucała dla muzyków. Taki był zwyczaj. Przychodził też pan, który podawał się za Kiepurę i za każdym razem śpiewał tę samą piosenkę: „Ebo, ebo, Ebolinko, tyś piękna, ty dziewczynko, ja pan, a ty pani, pójdziemy sobie razem w tany". Widocznie uważał, że prawdziwy artysta powinien znać tylko jeden utwór. Ja też śpiewałem na podwórku regularnie od czwartego roku życia. Dozorca przynosił krzesełko, stawiano mnie na nim i zawsze o godzinie 18 śpiewałem „Chryzantemy złociste". Słuchały mnie głównie sąsiadki, bo ich mężowie czy synowie byli albo na wojnie, albo w obozach.

Po latach, gdy przyjechałem na ulicę Ząbkowską, spotkałem mojego dozorcę, pana Brzoska. Przywitałem się, a on mówi, że bardzo się cieszy, że wyrosłem na ludzi, że taką karierę robię, że jestem solistą Teatru Wielkiego. Podkreśla też, że ostatnio słuchał z całą rodziną transmisji z mojego koncertu z orkiestrą Stefana Rachonia: „No wspaniale, wspaniale – mówi – ale wiesz co, jak ty, Wiesiu, śpiewałeś pięknie wtedy »Chryzantemy złociste«! Wtedy na podwórku". Nie porównywał, ale stwierdził. Okazuje się, że pierwsze występy mogą być dużo bardziej wartościowe niż te związane z wykonywaniem zawodu. (…)

Pierwsze zetknięcie z operą, z arią…

– …zawdzięczam mamie. Dzięki niej poznałem „Straszny dwór" Moniuszki. Mama znała tę operę, opowiadała nam całą historię i śpiewała arie, także z basową arią Skołuby.

„Ten zegar stary gdyby świat kuranty ciął jak z nut".

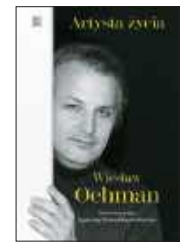
– Tak… pamiętam, jak śpiewała te słowa. Miała ładny głos. Właściwie to nie wiem, skąd znała tę operę. Nie zapytałem jej o to. Może przed wojną bywała na przedstawieniach? Tego nie wiem, ale dzięki mamie znałem tę historię, te czary, obrazy, zegar, miłość itd. Pierwszy raz na scenie zobaczyłem „Straszny dwór", jak miałem 16 lat, może mniej, ale już po wojnie. Poszedłem z mamą i z bratem na przedstawienie do Teatru Roma. Ten spektakl zrobił na mnie ogromne wrażenie. Jedno nazwisko pamiętam z tamtej obsady, to Ryszard Małożewski, który bardzo dobrze śpiewał partię Stefana. Później spotkałem go w Filharmonii Berlińskiej, w której śpiewałem. Odwiedził mnie po koncercie, a ja przypomniałem mu tamto przedstawienie. Bardzo się ucieszył. To był artysta, który postanowił zostać za granicą, wybrał wolność i liczył, że tam zrobi karierę, bo śpiewał naprawdę dobrze. No, ale się nie udało. Niemniej „Straszny dwór" w wykonaniach mamy, w czasie okupacji, u nas w mieszkaniu, zawsze mam w pamięci. (…)

Wraca pan dziś na ulicę Ząbkowską?

– Chętnie, choć jest to już inny świat. Przez jakiś czas utrzymywałem kontakt z kolegą, który był kierowcą autobusu. Trochę mu pomagałem, bo miał dużą rodzinę. Teraz zrobiło się tam luksusowo, ekskluzywnie. Ale jest jeszcze trochę klimatu. Nie dość, że nie ma mojej kamienicy, to nawet numer mojego domu – 48 – znajduje się na innym bloku. A dom stojący w miejscu mojej kamienicy ma jeszcze inny numer. Znalazłem tylko trzepak z podwórka pod numerem 50, zaniedbany, stary. Myśmy na tym trzepaku wykonywali różne akrobacje. Bardzo lubiłem także jeździć na Bazar Różyckiego, bo tam można było wszystko kupić. Najbardziej fascynowały mnie obrazy. Wtedy uważałem, że są piękne, dziś pewnie miałbym inne zdanie. Pamiętam pana Władzia, który sprzedawał obrazy i miał też kwiaty. Bardzo podobał mi się obraz „Pogrzeb leśniczego", na którym cztery niedźwiedzie niosły trumnę, zając grał na trąbce, a lis na puzonie. Był to uroczy obraz, podpisany: Jan Matejko. Byłem wtedy w szkole w Bolkowie…

…czyli w szkole plastycznej…

– …więc mówię: „To nie jest Matejko". A na to pan Władzio: „Matejko, od niego to wziąłem". Ja na to: „Ale Matejko nie żyje". A pan Władzio: „Rany boskie, co ty mówisz, przecież jeszcze wczoraj z nim piwo piłem, mieszka tu na Brzeskiej, pod szesnastką". Lubiłem zawsze chodzić na Pragę i obserwować. Była tam kostka na jezdni. Zaczęła znikać, bo postanowiono zalać ją asfaltem. Prażanie i nie tylko oni nie mogli się z tym pogodzić i tak powstał Komitet Ochrony Ulicy Ząbkowskiej. Tam działaliśmy z Olgierdem Budrewiczem. Udało się, wydzielony został odcinek na ulicy Ząbkowskiej ze starą kostką. Ślad po dawnej nawierzchni pozostał. (…)



Fragmenty książki *Artysta życia. Wiesław Ochman* literowany przez Agnieszkę Malatyńską-Stankiewicz, Czytelnik, Warszawa 2025. Partnerem wydania publikacji jest Samorząd Województwa Mazowieckiego.

eprasa.pl 30e64a71d6



NA EKRANACH

Testament Ann Lee

reż. Mona Fastvold, prod. USA/Wielka Brytania, już w kinach

Najnowszy musical/dramat Mony Fastvold nie należy do udanych i podzieli widownię. Tytułowa bohaterka, grana przez Amandę Seyfried, staje na czele sekty – Ann Lee jest postacią historyczną, odpowiedzialną za założenie ruchu szejkersów. Opowiadała się m.in. za równością społeczną i równouprawnieniem płci. I miała charyzmę, dzięki której zwolennicy ją pokochali, a przeciwnicy – znienawidzili. Ann Lee uznano za kobiecą wersję Chrystusa, co nie podobało się bardziej konserwatywnym wyznawcom wiary. W filmie obserwujemy tragiczne losy kobiety, która nigdy nie miała okazji zaznać spokoju. To biografia spekulatywna, a zatem pewnego rodzaju wyobrażenie życia – stąd tak silny nacisk na wstawki musicalowe i zbiorowe wykonania tradycyjnych utworów. Ciekawy eksperyment, ale nic poza tym. *Jan Tracz*



KURTYNA W GÓRĘ



Michał Bałucki, „Klub kawalerów", reżyseria i opracowanie tekstu Krystyna Janda, Och-Teatr w Warszawie, premiera 11 lutego 2026

Jandy śluby kawalerskie

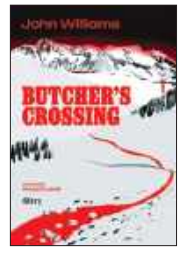
„Klub kawalerów" garściami czerpie ze „Ślubów panieńskich" Fredry – panny broniące się przed zamążpójściem zastępując kawalerami, wrogami ożenku. To doskonały materiał dla teatru. Świetnie zdaje sobie z tego sprawę Krystyna Janda, która po raz kolejny bierze na warsztat komedię Bałuckiego – „Klub kawalerów" reżyserowała już w Teatrze TV (2001).

O sile tego przedstawienia decydują wykonawcy. Błyszczą tu w dobrej formie dawni aktorzy Teatru Montownia, na czele z Rafałem Rutkowskim jako Piorunowiczem, gwałtownikiem i zazdrośnikiem. Dopełnia to męskie grono kreacja Tomasza Drabka, znanego z kabaretu Pożar w Burdelu, i taneczna wręcz rola Michała Zielińskiego, który jako Motyliński przemienia się z wroga kobiet w ich dozgonnego wielbiciela. Równie wyraziście prezentują się kreacje kobiet. Ze stonowaną rolą Marii Seweryn jako zatroskanej mamy wdowy kontrastuje Pelagia Dziudziulińska Izabeli Dąbrowskiej, zawsze tworząca atmosferę napięcia i zamieszania swoją energią, niczym petarda przelatująca przez scenę, aby odsłonić naturę kobiety, która wie wszystko – i zawsze wie, jak się nie zachować. *Tomasz Miłkowski*

MIĘDZY OKŁADKAMI

John Williams
Butcher's Crossing

tłum. Maciej Stroiński
Filtry, Warszawa 2026



William Andrews, młody absolwent Harvardu, porzuca wygodne życie, by odnaleźć siebie w świecie pozbawionym cywilizacyjnych podpór. W miasteczku Butcher's Crossing dołącza do wyprawy na bizony, prowadzonej przez doświadczonego i bezwzględnego Millera. Równie brutalna i dzika jak ludzie okazuje się przyroda, pełnoprawna bohaterka książki – skwar prerii i chłód gór poddają uczestników wyprawy nieustannej próbie. To historia o rozczarowaniu, konfrontacji z własnymi słabościami i odkrywaniu, że poznanie siebie bywa bolesne. Ten antywestern jest debiutem powieściowym Johna Williamsa – pisarza, który pośmiertnie zyskał rozgłos jako autor „Stonera". W 2022 r. „Butcher's Crossing" doczekało się ekranizacji. *Rafał Pikuła*

Mariusz Maszkiewicz
Podarowana

Fundacja Ośrodka KARTA, 2025



Jeśli w zapowiedzi książki czytamy, że Maszkiewicz „podejmuje próby odtworzenia losów swojej matki, ocalałej prawdopodobnie z rzezi wołyńskiej", zaintryguje nas niepewność tej sytuacji. Jak to, autor nie wie, czy matka przeżyła tamten koszmar? Okazuje się, że nie ma na to twardych dowodów, co implikuje ciąg dalszy historii, przedstawionej w formie autobiografii, z domieszką reportażu i rodzinnej kroniki, a trochę powieści detektywistycznej. Ważnymi bohaterami są członkowie rodziny Pepolów, która po wojennej zawierusze znalazła się na Warmii i dała się tu poznać z dobrej strony (występują też w relacjach Ewy i Władysława Siemaszków w pracy o rzezi wołyńskiej). To ta rodzina w 1943 r. adoptowała małą Danusię – choć tak naprawdę znaleziona na polu dziewczynka miała na imię Hana. Ale czy na pewno? Niektórych wątków autorowi nie udało się wyjaśnić, lecz i tak trzeba docenić jego odwagę w wielu wątkach. To już jednak historia, na którą możemy dziś spojrzeć chłodnym okiem. *Marek Książek*

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (5)

eprasa.pl 30e64a71d6

Brasiliana w Poznaniu

Pucharowe ambicje Polaków poskromione

Wojciech Kuczok

Spodziewanie Lech Poznań przegrał pierwszy mecz w europejskiej Lidze Konferencji, choć niespodzianie uległ drużynie… brazylijskiej. Konkretnie zaś ekipie brazylijskich juniorów, którzy wyszli na Lecha w sile siedmiu, a po szybkiej kontuzji ukraińskiego pomocnika w ośmiu, i uzupełnieni trójką naszych wschodnich sąsiadów stanowili narodowościową większość na boisku. To obrazek zaskakujący dla mniej wnikliwych kibiców piłkarskich, wszyscy postronni mieli prawo być w czwartek takimi proporcjami zdumieni. Zwłaszcza że jesienią, kiedy słabująca Legia odniosła swoje ostatnie istotne zwycięstwo właśnie nad Szachtarem, po boisku nie biegało aż tylu Canarinhos.

Zmyłka była więc podwójna: wszystkim się zdawało, że skoro Legia ograła drużynę doniecką, uczynić to może każdy polski zespół, tym bardziej zaś aktualny mistrz Polski, walczący o obronę tytułu. Uważniejsi obserwatorzy mieli się na baczności, bo w Krakowie, który z powodu wojny w Ukrainie jest w tym sezonie miejscem pucharowych potyczek Szachtara, zagrały donieckie rezerwy. Poważne i zamożne kluby, a takim jest bez wątpienia ostatni w historii zdobywca Pucharu UEFA (w 2009 r., skądinąd z Mariuszem Lewandowskim w składzie), w fazie ligowej po prostu się oszczędzają i – świadome swojego potencjału – dają się ogrywać zawodnikom drugiego i trzeciego planu.

Tym razem Szachtar wyszedł na galowo, no, może nieomal na galowo, bo wskutek kontuzji opoka donieckiej i reprezentacyjnej obrony, Mykoła Matwijenko, musi pauzować. Różnica klas okazała się drastyczna – Szachtar doszczętnie zmiótł z murawy poznańskie marzenia o pucharach, a symboliczne sceny wydarzyły się pod koniec meczu. Kiedy jedyny zryw Lechitów przyniósł gola zdobytego przez największą poznańską gwiazdę, 32-letniego Szweda Ishaka (czytaj: Isaka), rywale wprowadzili do gry swojego Isaqua, 19-latka z Brazylii, który odpowiedział golem z przewrotki. Nasz Ishak wyceniany jest na 800 tys. euro, wartość rynkowa młokosa ściągniętego na Ukrainę z Fluminense jest dziesięciokrotnie wyższa.

Szachtar od dekad ma sprawdzoną strategię, która zaowocowała największymi sukcesami w Europie jeszcze za czasów rozkochanego w brasilianie trenera Mircei Lucescu – doskonały skauting w Kraju Kawy pozwala sprowadzać młodziutkie talenty, które potem sprzedawane są do klubów Europy Zachodniej z wielokrotnym zyskiem. Dość przypomnieć, że swego czasu z Doniecka odchodzili za ciężkie miliony Luiz Adriano, Fred, Fernandinho, Willian, David Neres czy Douglas Costa, ale zanim odeszli, stanowili o sile pomarańczowo-czarnych (Luiz Adriano zdobył nawet kiedyś pięć goli w jednym meczu Ligi Mistrzów).

Od lat właścicielem klubu jest najbogatszy Ukrainiec, oligarcha Rinat Achmetow, który wciąż, pomimo uszczuplenia majątku w wyniku strat wojennych, dysponuje miliardami, hojnie dofinansowuje armię, a ostatnio zyskał szczególny szacunek ze względu na swój gest podczas zimowych igrzysk. Ukraiński skeletonista został zdyskwalifikowany za to, że chciał startować w kasku z podobiznami poległych sportowców, Achmetow wsparł swojego rodaka po tej haniebnej decyzji równowartością premii za złoty medal olimpijski.

Szachtar ma obecnie w kadrze 12 perełek sprowadzonych z Brazylii, z czego oprócz doświadczonego stopera Marlona i napastnika Pedrinha to sami gracze w wieku juniorskim – zapewne kilku to przyszłe gwiazdy kadry narodowej. Na tle irytująco niezgrabnych Poznaniaków zaiste wyglądali, jakby przyjechali zabawić się na sambodromie, dość zresztą bezczelnie, bo karnawał dawno zakończony – smagli chłopcy tańczyli z piłką, dosłownie ośmieszając gospodarzy. Wynik nie oddaje gigantycznej przewagi technicznej i motorycznej przy jednoczesnej dyscyplinie zespołowej – podopieczni Ardy Turana byli zespołem z innej galaktyki, to był poziom Champions League, w której zresztą Szachtar od 20 z górą lat gra rokrocznie, z rzadka tylko wpadając do niższych rangą rozgrywek.

Lech Poznań uległ drużynie… brazylijskiej. A konkretnie ekipie brazylijskich juniorów, którzy wyszli na Lecha w sile siedmiu.

Od początku meczu Szachtar grał piłką, a Lechici tylko za nią biegali; kiedy się zmęczyli, zaczęli popełniać niewymuszone błędy, razić niechlujnymi, ryzykownymi podaniami i niebezpiecznymi stratami – przy tak silnym rywalu to nie mogło się skończyć dobrze. Lecha mi nie żal ani trochę, bo piłkarsko to jest ekipa przeciętna i chimeryczna nawet w polskiej lidze, a kibicowsko to już niestety signum postępującego zbydlęcenia: pamiętam, jak w 2022 r. przebojem na naszych stadionach było solidarnościowe z Ukrainą skandowanie „Putin chuj!", teraz chłopcy Nawrockiego ogłaszają chóralnie, że trzeba „jebać UPA i Banderę", co jak rozumiem wyrażać ma zmienność nastrojów społecznych między Odrą i Bugiem. Podsycane są one wszak nie tylko przez rodzimą prawicę, której ruska onuca nie śmierdzi, ale i przez

eprasa.pl 30e64a71d6



Mecz jednej ósmej finału Ligi Konferencji między Lechem Poznań a Szachtarem Donieck. Poznań, 12 marca 2026 r.

Trumpa, bo dla niego prezydent Zełenski jest większą przeszkodą na drodze do pokoju niż Putin.

Raków jechał do Florencji bardziej rozochocony wyczynem Jagiellonii (przypomnijmy – wygrała z Fiorentiną na wyjeździe, odpadła dopiero po dogrywce) niż własną mocą. Po odejściu trenera Papszuna drużyna wciąż nie złapała właściwego rytmu, w lidze gra w kratkę, w Pucharze Polski omal się nie zbłaźniła, potrzebując dodatkowych 30 minut, aby wyeliminować trzecioligowca ze Świdnika.

Dla trenera Łukasza Tomczyka to był debiut na europejskich arenach. Raków zaczął zaskakująco żwawo, Fiorentina zaś, skupiona przede wszystkim na utrzymaniu się w Serie A, nie szafowała siłami. Z czasem jednak większa kultura gry Włochów zaczęła się uwidaczniać, gospodarze przejęli inicjatywę i nie objęli prowadzenia tylko dlatego, że Raków bronił bardzo szczęśliwie pod wodzą wyjątkowo dobrze dysponowanego rumuńskiego stopera Bogdana Racoviţana. Nieoczekiwanie po przerwie to Częstochowianie wyszli na prowadzenie po kontrze zwieńczonej celnym strzałem Brunesa, ale odpowiedź Violi była natychmiastowa.

Mniej więcej 20 minut przed końcem trener ekipy z Florencji zaczął wprowadzać swoje gwiazdy oszczędzane na niedzielny mecz z głównym rywalem zespołu i Raków zaczął wyraźnie walczyć już tylko o dowiezienie remisu. Byłoby się udało, gdyby nie pechowe zagranie ręką na linii pola karnego już w doliczonym czasie gry – ostatecznie Włosi wygrali 2:1 i choć Raków w rewanżu nie jest bez szans, mam złe przeczucia: Częstochowianie są jednak znacznie lepsi w bronieniu wyniku niż wtedy, gdy mają go gonić.

Mecze naszych czołowych ligowców z ledwo zipiącą w Serie A Fiorentiną sprowadziły nas boleśnie na ziemię: najpewniej żaden z polskich klubów nie byłby w stanie utrzymać się we włoskiej lidze, z czego można wysnuć wniosek, że podobnie rzecz miałaby się w przypadku pozostałych lig europejskiego Top 5. Nasze harce w Lidze Konferencji są więc niewiele wartą nagrodą pocieszenia, mącącą nam w głowach – gdy przychodzi skonfrontować swoją wartość sportową z co najwyżej solidnymi ekipami europejskiej czołówki, w najlepszym razie udaje nam się podjąć z nimi w miarę wyrównaną walkę bez happy endu.

Mecze jednej ósmej Ligi Mistrzów nie przyniosły rozstrzygnięć sensacyjnych, faworyci z reguły wygrywali lub remisowali, być może jako sensację należy postrzegać fakt, że faworytami w meczach przeciw Sportingowi i Liverpoolowi były odpowiednio norweski Bodø/Glimt i turecki Galatasaray. Może tylko Real nadspodziewanie łatwo rozbił Manchester City za sprawą hat tricka fenomenalnego Urugwajczyka Federica Valverdego.

Najbardziej jednak z minionego tygodnia zapadnie w pamięć koszmar młodego Czecha Antonína Kinskiego, którego debiut w Champions League trwał ledwie kwadrans. Rezerwowego bramkarza Tottenhamu dosłownie sparaliżowała trema, w krótkim czasie dwukrotnie poślizgnął się na piłce, prokurując dwa gole dla rywali, a w międzyczasie po błędzie obrony wpuścił jeszcze jedną bramkę. Przy stanie 0:3 po kwadransie gry trener ściągnął chłopaka z boiska. Jako ojciec dziesięcioletniego piłkarza, przeżywający wszystkie jego wzloty i upadki, przeżywam takie dramaty ze wzmożoną empatią. Kinský dostaje teraz wyrazy wsparcia z wielu stron, słowa pocieszenia wysłał mu nawet idol i autorytet Peter Schmeichel, ale tych potwornych chwil wstydu, upokorzenia i rozpaczy cofnąć się nie da. Pozostaje mieć nadzieję, że Kinský się podniesie i jeszcze pokaże swój talent. ■

FOT. ŁUKASZ GDAK/EAST NEWS

eprasa.pl 30e64a71d6

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- elementarne wiadomości
- odtwarzacz płyt winylowych
- tojad inaczej
- kolekcja cennych gipsowych rzeźb
- dawniej sprawiany kłopot, przykra sytuacja
- z niej wygłaszane kazania
- atak szału lub zapamiętanie się w czymś
- „Bitwa o…”, film Kena Annakina
- mleczny – z daniami jarskimi
- dzielimy z nią Puszczę Białowieską
- czasem ktoś plecie, jakby się go objadł
- tkanina ze złotą nicią lub lśniące drobinki
- głębokie zmarszczki na twarzy
- obejmują nozdrza i część górnej wargi konia
- Wilde lub Słowacki jako elegant
- statek wikingów
- szczapka, klocek
- genealogiczne – historia rodu
- dawniej wystawa, ekspozycja towarów
- strzelona bramka
- egipski święty ptak
- pracownik administracji od spraw gospodarczych
- grymaśna panna
- przyprawiony sos pomidorowy
- ozdobny stolik pod lustrem
- rachunek osobisty w banku
- pierwszy król Belgów
- groźny wyraz twarzy
- chodzi z głową w chmurach
- nazwa, określenie, tytuł
- niechętny ludziom, stroniący od nich
- klasztor prawosławny lub greckokatolicki
- warstewka rdzy, pleśni
- biegowe, zjazdowe lub wodne
- kapa na tapczanie
- czarnoszyi lub lodowiec – duży ptak wodny
- skraj, krawędź
- obcięty kawałek drewna, mięsa
- zestaw opon samochodowych, rowerowych
- okres ośmiu dni
- przesłania oko pirata
- można ją nad kimś roztoczyć
- kolorowy nad daszkiem rogatywki
- piwonia inaczej
- odtwarzała utwory z taśmy perforowanej
- katarzynka albo lukrowane serce
- walki, widzenia lub do skoszenia
- dolna, tylna część czaszki
- odpakowywany po otrzymaniu
- i cecha charakterystyczna, i pobieżny opis
- zając albo przeciętniak
- dawne określenie karczmy, knajpy
- próba urządzenia, produktu
- papieska korona w herbie Watykanu
- zaloty niektórych ptaków
- powieściowa chłopka zakochana w Tadeuszu Mrozoczyńskim
- to, czego ktoś chce, co postanowił
- coś na niego – do przegryzienia
- wykwalifikowany rzemieślnik poligraficzny
- zaręczyn, kontaktu, z nałogiem

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1265”. Do rozlosowania książki „Psie serce” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 22 marca 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1262” z nr. 9: *O dobrym prędko się zapomina*. Nagrody otrzymują: Sławomir Fiszer z Poznania, Anna Kotłowska z Poznania, Elżbieta Putowska z Lublina.

eprasa.pl 30e64a71d6

Czy taki deal interesuje Nawrockiego?

Wojna o ambasadorów, jeżeli się skończy, zaowocuje jakimś dealem. Jakimś mniej lub bardziej formalnym podziałem, który pozwoli prezydentowi mieć kilku „swoich".

Tak to wygląda. Do tej pory funkcjonuje w polskiej dyplomacji kilku ambasadorów wyznaczonych przez Andrzeja Dudę. Mówił o tym zresztą otwartym tekstem minister Sikorski: „W Pekinie, w Watykanie, w Kanadzie, w Rumunii nadal mamy ambasadorów prezydenta Dudy, w tym sensie, że prosił, żeby ich zostawić". Dodalibyśmy do tego Krzysztofa Szczerskiego, ambasadora przy ONZ.

Ale wróćmy do wymienionej przez Sikorskiego czwórki. Czy w jakiś sposób polską dyplomację wzmacniają, czy nie za bardzo?

Najbardziej znany jest Jakub Kumoch, ambasador w Pekinie, doktorant Szczerskiego. Do MSZ dostał się poprzez pracę w Narodowej Radzie Rozwoju przy Prezydencie RP, i to od razu na stanowisko ambasadora w Szwajcarii. A tam wylansował się, nagłaśniając odkrycie polskich dziennikarzy na temat tzw. grupy Ładosia, czyli polskich dyplomatów, którzy załatwili paszporty państw Ameryki Łacińskiej tysiącom polskich Żydów. Potem był ambasadorem w Turcji, krótko, bo powrócił do Warszawy na stanowisko szefa Biura Polityki Międzynarodowej Kancelarii Prezydenta w stopniu sekretarza stanu. Był nim do stycznia 2023 r. I do końca nie wiadomo, dlaczego został odwołany. Czy dlatego, że jego biuro skompromitowało prezydenta, łącząc go z rosyjskimi prankstерami, którzy udawali Emmanuela Macrona, czy z tego powodu, że z niemal wszystkimi ministrami prezydenta zdołał się potężnie skłócić… W każdym razie Duda wysłał go w sierpniu 2023 r. do Chin – i nastąpiła cisza. Wiadomo, że Pekin to placówka pisowska, a MSZ to znosi.

W Watykanie z kolei urzęduje Adam Kwiatkowski. To były poseł PiS, a także były szef Gabinetu Prezydenta RP w randze sekretarza stanu. Od kwietnia 2022 r. pełni funkcję ambasadora przy Stolicy Apostolskiej, a jego najbardziej widoczną aktywnością jest zajmowanie się prezydentem i prezydenckimi urzędnikami, gdy przyjeżdżają do Watykanu i do Włoch – tak, żeby nie spotkali się z Ryszardem Schnepfem.

Do Kanady zaś Andrzej Duda skierował Witolda Dzielskiego, syna Mirosława Dzielskiego, filozofa związanego z opozycją. Dzielski do 2007 r. uczył w Krakowie angielskiego. Potem został wysłany do ambasady RP w Waszyngtonie. Później krótko pracował w centrali MSZ, by w roku 2015 zostać dyrektorem Biura Spraw Zagranicznych (od 2021 r. Biura Polityki Międzynarodowej) w Kancelarii Prezydenta. I z tej posady wiosną 2022 r. wyjechał do Kanady jako ambasador.

Najpoważniejszą postacią w tej czwórce jest jednak Paweł Soloch. Od zawsze związany z prawicą, u Andrzeja Dudy był szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego. I to długo, bo do października 2022 r. W czerwcu 2023 r. wyjechał jako ambasador do Rumunii.

Jak więc widzimy, dla Andrzeja Dudy i jego ekipy MSZ było ministerstwem synekur. Które dostawało się albo w nagrodę, albo na otarcie łez. I teraz pytanie: czy ta perspektywa, kilku stanowisk ambasadorskich i znacznie większej liczby stanowisk mniej eksponowanych, może skusić Karola Nawrockiego?

W MSZ na tak postawione pytanie kręcą na razie głowami. Że szanse na taki deal są małe. Z prostego powodu: dla Nawrockiego to mało atrakcyjna propozycja. Bo kogo miałby do MSZ wpychać? Kolegów ze stadionu?

Attaché



Przedstawiciele siedmiu Pierwszych Narodów z Kanady, sygnatariuszy zawartego z Koroną traktatu nr 6 z 1876 r., na audiencji w Pałacu Buckingham, 11 marca 2026 r. Nz. od lewej: Joey Pete, wielki wódz Konfederacji Traktatu nr 6, wodzowie Edwin Ananas i Daryl Watson, król Karol, wódz Larry Ahenakew, radny Gary LaPlante, wodzowie Christine Longjohn i Desmond Bull.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 30e64a71d6









PENETRACJE

ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

Jako zodiakalny Bliźniak lubię ruch i zmiany. To, co szybkie i nowe, często wydaje mi się lepsze od starego i znanego. Równie mocno jak zmianę cenię wierność sobie. Dlatego robimy kolejny numer – 301. I tak od ponad trzech dekad trwam nad tą medialną rzeką jak stary kamień przy brzegu: patrzę, jak mijają mody, jak zmieniają się media, a woda unosi ze sobą wszystko, co wydawało się kiedyś nie do ruszenia. A my trwamy. I za to jestem wdzięczny. Światu, sobie – a nade wszystko ludziom, którzy przez lata współtworzyli „Press". Szczególnie tym, którzy byli z nami w najtrudniejszych chwilach. To zaszczyt, że nikt z Was nie odszedł wtedy, gdy okazja do tego wydawała się najlepsza.

PROF. ELŻBIETA MĄCZYŃSKA,
HONOROWA PREZES POLSKIEGO TOWARZYSTWA EKONOMICZNEGO

Z art. 3.1 ustawy o NBP wynika, że „podstawowym celem działalności NBP jest utrzymanie stabilnego poziomu cen, przy jednoczesnym wspieraniu polityki gospodarczej rządu, o ile nie ogranicza to podstawowego celu NBP". Stąd też w sytuacjach zagrażających bezpieczeństwu finansowemu NBP może stosować narzędzia zapobiegawcze, np. poprzez operacje otwartego rynku. W praktyce nie można jednak wykluczyć, że argumenty ekonomiczne mogą przegrywać z interesami politycznymi. Takie przypadki odnotowywano już w wielu krajach. We wszystkich krajach demokratycznych zauważalny jest chociażby syndrom terroru wyborczego, czyli podporządkowywanie decyzji ekonomicznych interesom polityczno-wyborczym. Dotyczy to m.in. niektórych kwestii emerytalnych, regulacji rynku pracy, oskładkowania pracy itp. Dlatego serca ekonomistów nierzadko krwawią, a politycy i tak robią swoje.

MARCIN PROKOP,
DZIENNIKARZ, PREZENTER TELEWIZYJNY

Zapomnieliśmy, że Ameryka jest krwawym mocarstwem ufundowanym na kolonialnej przemocy – wobec Hawajów, Alaski, Portoryko, Wenezueli, Iraku. Wszystkie te wojny stoczone w ostatnich kilkudziesięciu latach mają dobry PR, bo wierzyliśmy, że dzieją się w imię wartości, demokracji, ocalenia naszej cywilizacji, a teraz spadają nam klapki z oczu i widzimy Amerykę taką, jaka jest – przemocowe mocarstwo jak Rosja czy Chiny. Tłumaczy światu, że to, co robi, robi w imię naszych wspólnie wyznawanych wartości, że wojna z Wenezuelą to wojna z terroryzmem i narkotykami, a nie walka o zasoby, ropę i kontrolę nad Ameryką Południową. Dlatego pokazuję, co się stało w miejscach, które zostały dotknięte amerykańskim kolonializmem. Negatywny sentyment w stosunku do Ameryki wciąż tli się tam do tego stopnia, że ludzie na Hawajach i Alasce zapytani, kim się czują, często nie mówią, że Amerykanami, tylko Hawajczykami czy Alaskanami.

JULIA PIETRUCHA,
AKTORKA, WOKALISTKA

Kobieta przewidywalna? Nie ma mowy. Mogę tylko przewidzieć, że nadal będzie mi zależało na dobrym życiu, w zgodzie ze sobą. Ale jak się ono potoczy, nie wie nikt. A na pewno nie ja. Ciekawi mnie nieprzewidywalność, zmiany, ruch. Daję na to przyzwolenie. Mam wspaniałą, bezpieczną przystań – rodzinę i przyjaciół, którzy nie pozwalają mi odfrunąć i stracić z oczu tego, co najważniejsze – zawsze to miłość. Przyszłość? Niech będzie nieznana i stopniowo odkrywa się przed nami. Jestem jej ciekawa, ale lubię tu i teraz. Wszystko i tak dzieje się samo, ważne, by zanadto nie przeszkadzać.

FOT. AMEM (2), SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl 30e64a71d6

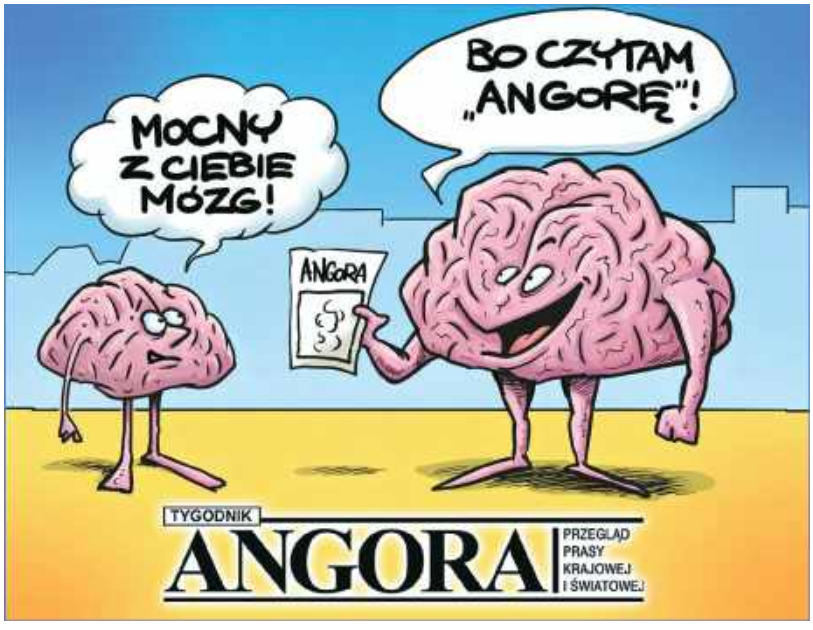
ZMIKSOWANE LITERY

Ułóż litery w każdym rzędzie, dodając jedną z podanych obok, tak by otrzymać wyrazy odpowiadające objaśnieniom.

* z bladymi twarzami — E E N R T W ___
* oblicze w ramach — E O P R T T ___
* kwitną wiosną — A N R Y Y Z ___
* z biegunami — A K Ł O S Y ___

K C R S

ROZWIĄZANIA: WESTERN, PORTRET, NARCYZY, KOLYSKA



Aby język giętki…

MARCIN PALADE
O KANDYDACIE PiS NA PREMIERA

Tym ruchem Kaczyński ośmieszył siebie i swoją partię. Taki pomysł to nic innego jak pisanie patykiem po wodzie.

BOGUSŁAW GRABOWSKI
O KAROLU NAWROCKIM

Zawetuje wszystkie ustawy, które mogą umożliwić wzrost wpływów do budżetu, i zgłosi własne projekty, które powiększą deficyt.

JAN ENGLERT O KOMPROMISIE

Cenię kompromis. Niczego w życiu nie zrobi się bez kompromisu.

SZYMON MAJEWSKI O ŻONIE MAGDZIE

Magda była w moich oczach idealnym combo, jakbym czekał na nią całe życie.

MAGDA MAJEWSKA O MĘŻU SZYMONIE

Szymon jest tak nieoczywisty, że nudy przy nim nie ma. A ja lubię, jak się dzieje, lubię zmiany. I, paradoksalnie, ja te zmiany mam z jednym człowiekiem.

JACEK OZDOBA
O KATARZYNIE KOLENDZIE-ZALESKIEJ (PO PROCESIE SĄDOWYM)

Pani Kolenda-Zaleska jest rzetelną i profesjonalną dziennikarką.

EWA WOYDYŁŁO O SPRAWNOŚCI FIZYCZNEJ

Mam prawie 86 lat i wciąż gram w tenisa, jeżdżę na nartach, chodzę na wielokilometrowe wędrówki.

GRZEGORZ TURNAU O TĘSKNOCIE

Codziennie staram się tęsknić, bo życie bez tęsknoty jest pozbawione sensu.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 30e64a71d6





Utkane z emocji

Twórczość Małgorzaty Sęk jest zmysłowa, energetyczna i spontaniczna. Wykształcenie związane z tkaniną artystyczną i projektowaniem ubioru wpływa na charakter jej kompozycji. Plamy koloru zdają się zszywane niczym fragmenty materiałów. Choć przedstawienia są różnorodne, układają się w osobistą opowieść o tożsamości i emocjach. Artystka często wraca do motywu autoportretu – niezależnie od tego, czy maluje kobietę, czy kwiat, w obrazie można znaleźć ślady jej własnych przeżyć. W prezentowanym cyklu portretów postacie są wyraziste, bohaterki odsłaniają całe spektrum uczuć: od melancholii i rozczarowania po radość i euforię.

Apteka Sztuki
Warszawa,
Aleja Wyzwolenia 3/5
do 31 marca





FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 30e64a71d6

FOO FIGHTERS

TAKE COVER TOUR 2026

ROYEL OTIS *And* OTOBOKE BEAVER



15 CZERWCA

WARSZAWA, PGE NARODOWY

BILETY: TICKETMASTER.PL / LIVENATION.PL

ANTYRADIO LIVE NATION

TEATR CAPITOL

NAJLEPSZE KOMEDIE • PIKANTNE FARSY • GWIAZDORSKIE OBSADY



Kiedy kota nie ma...

KULTOWA FARSA, KTÓRĄ POKOCHAŁY TYSIĄCE WIDZÓW W CAŁEJ POLSCE!

GRAMY W CAŁEJ POLSCE • KUP BILET TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 30e64a71d6